RAPORT „DO RZECZY”

Nie ma na co czekać: pora wyjść z Unii Europejskiej

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 2/662 2026 5–11 STYCZNIA 2026
CENA **13,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)

„Gazeta Wyborcza” i OKO.press, czyli sztuka manipulacji



Chiny i Stany Zjednoczone walczą o port w Gdyni. Gdzie w tym interes Polski?

Prawdziwa przyczyna wojny w PiS



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850260 02

PHALS

Polish–Hungarian–American Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026



A NEW STAGE OF COOPERATION

Nowy etap współpracy | Az együttműködés új szakasza

BUSINESS • SECURITY • INNOVATION
15–17 MARCH 2026

EVENT VENUE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
MIEJSCE WYDARZENIA: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
RENDEZVÉNY HELYSZÍNE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON

Register now — limited capacityScan the QR

Zarejestruj się — liczba miejsc ograniczona
Regisztrálj most — korlátozott férőhely

www.PHALS.pl

eprasa.pl 7deb5b8e48

Agentka Putina na czele wywiadu USA?



PAWEŁ LISICKI

Szkoda, że opublikowany dwa tygodnie temu wpis szefowej Agencji Wywiadu USA, Tulsi Gabbard, na temat potencjalnych celów i możliwości Rosji, co się tyczy wojny na Ukrainie, nie wywołał w Polsce poważnej refleksji. Wiem, nie mogło być inaczej.

Nie mogło być inaczej, skoro to, co napisała Gabbard, ośmiesza i kompromituje przekaz większości polskich ekspertów, publicystów i analityków. Przecież od lat powtarzają oni niczym mantrę jeden, ten sam i niezmienny tekst: celem Moskwy jest podbicie całej Ukrainy, a następnie atak na Zachód. Każde porozumienie z Rosją, która nie zostanie pokonana, prowadzić musi do agresji na cały Zachód i całe NATO. Wszyscy oni są przekonani, że inaczej być nie może, bo Rosja, by istnieć, musi podbijać i zdobywać.

Otóż problem polega na tym, że to, co napisała pani Gabbard, radykalnie kłóci się z tą wizją. Gdyby nie była to szefowa wywiadu USA, jestem pewien, że polscy znawcy, którzy to zaludniają większość mediów, ogłosiliby, że jej słowa są przejawem prorosyjskiej propagandy, a ona sama jest agentką Putina. A tak mają twardy orzech do zgryzienia. Jak tu ogłosić, że pani Gabbard jest rosyjską agentką, skoro za nią stoi Donald Trump, a bez USA wizja wojny z Rosją, jakby to powiedzieć, traci na atrakcyjności? Straszny to jest dylemat, na miarę Hamleta, i nic dziwnego, że z niewielkimi wyjątkami ogół znawców uciekł się do ulubionego manewru, czyli zamulenia. Mimo że pani Gabbard pod nazwiskiem i jasno napisała to, co napisała, polski odbiorca dowiedział się jedynie, że informacje amerykańskiego wywiadu są sprzeczne. Jedni tak, inni siak, a jak jest naprawdę, wyjaśnią polscy stratedzy.

Pani Gabbard: „Amerykański wywiad ocenia, że Rosja nawet nie ma zdolności podbicia i okupowania Ukrainy, a co mówić o »atakowaniu i okupowaniu« Europy" […]. Podżegacze wojenni z tzw. głębokiego państwa (deep state) i ich media propagandowe znów próbują podważyć wysiłki prezydenta Trumpa na rzecz zaprowadzenia pokoju na Ukrainie – i w istocie w Europie – fałszywie twierdząc, że »amerykańskie środowisko wywiadowcze« popiera punkt widzenia UE/NATO, zgodnie z którym celem Rosji jest inwazja/podbicie Europy (by zdobyć poparcie dla swojej polityki prowojennej)". Trudno jaśniej odrzucić opublikowane przez Reutersa rzekome doniesienia (sześć źródeł!) o prawdziwych planach Putina, zgodnie z którymi przygotowuje się on do podbicia całej Ukrainy i następnie zaatakowania Zachodu. Innymi słowy, Reuters, podobnie jak ogół zachodnich (i polskich) ekspertów, opowiada bzdury. Nie jest prawdą, że Rosja zamierza (lub zamierzała) podbić całą Ukrainę, i tym bardziej nie jest prawdą, że zamierza dokonywać kolejnych aktów agresji – przynajmniej według szefowej wywiadu USA tego typu opinie rozpowszechniają podżegacze wojenni (w polskich warunkach zdecydowana większość tzw. ekspertów).

Co najważniejsze, słowa pani Gabbard to nie jej prywatna opinia, ale stanowisko ogółu amerykańskich służb. Nie wiem oczywiście, na czym jest ono dokładnie oparte, ale i bez tego wiem, że opowieści o zagrożeniu bezpośrednią inwazją rosyjską na NATO są przejawem irracjonalizmu. Nie dlatego, by Władimir Putin nie myślał w kategoriach imperialnych, ale dlatego, że nie jest samobójcą i szaleńcem. Zaatakował Ukrainę w 2022 r. właśnie dlatego, że nie była ona członkiem NATO, i zrobił to, zapewniwszy sobie wcześniej wsparcie Chin. Cały przebieg konfliktu wyraźnie pokazuje, że unika sytuacji, w której do wojny byłyby zmuszone przystąpić inne państwa Zachodu.

Ustalenia wywiadu USA są zatem potwierdzeniem zdrowego rozsądku: Moskwa nie ma możliwości zrobienia tego, o co nieustannie ją oskarża rzesza różnej maści znawców. Nie sposób pojąć, dlaczego licząca 150 mln mieszkańców Rosja, największe – co się tyczy powierzchni – państwo na świecie, miałaby uderzyć na wielokrotnie od niej silniejszy blok militarny? Jaką korzyść miałaby odnieść? Jakie terytorium i po co zdobyć? Dlaczego prezydent Putin miałby ryzykować wojnę, a być może nawet konflikt atomowy z Zachodem? Gdyby Rosjanie działali tak, jak im to przypisuje większość zachodnich znawców, nigdy nie byliby w stanie stworzyć swojej potęgi.

Ale jeśli tak się mają sprawy, to skąd powszechne, wojenne wzmożenie? Ano właśnie stąd, że rozniecanie strachu przed Moskwą stało się głównym narzędziem globalistycznej polityki zachodniej. Tylko w ten sposób – opowiadając o groźbie bezpośredniej wojny – można doprowadzić do centralizacji Unii i osłabienia suwerenności narodowej. Dlaczego ten projekt popiera liberalna lewica, wroga wobec istnienia państw narodowych, doskonale rozumiem. Co jednak w obozie podżegaczy wojennych robi odwołująca się do suwerenności i niepodległości polska prawica, nie pojmuję. Czy to antyrosyjskość tak bardzo zaćmiła mózgi jej zwolenników? ©℗

eprasa.pl 7deb5b8e48



TEMAT TYGODNIA

14 ROZMOWA Z MARCINEM PALADE
PRAWDZIWA PRZYCZYNA WOJNY W PIS
Nowy podział: obrońcy UE kontra antysystem

17 ŁUKASZ WARZECHA
NOWA ROLA BYŁEGO PREMIERA

KRAJ

20 ROZMOWA Z BOGDANEM ŚWIĘCZKOWSKIM
DEMOKRACJA W POLSCE JEST ZAGROŻONA
To już koniec demokracji liberalnej

24 KRYSTIAN KRATIUK
„GAZETA WYBORCZA" I OKO.PRESS, CZYLI SZTUKA MANIPULACJI

28 RADOSŁAW WOJTAS
POKOLENIE XXL. POLSKIE DZIECI WAŻĄ ZA DUŻO

RAPORT

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
UCIECZKA DO NIEPODLEGŁOŚCI
Nie polexit, ale polescape

32 TOMASZ CUKIERNIK
PLAN POLEXITU

KULTURA

36 MONIKA MAŁKOWSKA
WIDOKI Z TRYBUN
Ile znaczą stadiony

39 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BUSOLA WSKAZUJE WATYKAN

40 PIOTR GOCIEK
POŻEGNANIE Z RZEMIOSŁEM

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 KONRAD SMUNIEWSKI
ZYSKAĆ NA HANDLU Z CHINAMI
Waszyngton i Pekin rywalizują o port w Gdyni

49 PAWEŁ CHMIELEWSKI
GERMANIZACJA KOŚCIOŁA W POLSCE

52 FILIP MEMCHES
DONALD TUSK CZYTA PISMA CARLA SCHMITTA

HISTORIA

54 WITOLD MĘDYKOWSKI
CZY PRAWDA POTRZEBUJE OBROŃCÓW?
Jan Grabowski broni historyka dezawuującego Polaków

56 PIOTR SEMKA
„ŁAD" – TYGODNIK Z AMBICJAMI

ŚWIAT

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
UKRAIŃCY, CZYLI ROSJANIE
Wielokulturowość według Putina. Założenia nowej strategii polityki narodowościowej

64 WITOLD REPETOWICZ
POLSKA W JĄDRZE CIEMNOŚCI

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
WIELKI KRYZYS WIELKIEJ BRYTANII
Coraz więcej Polaków porzuca Zjednoczone Królestwo

72 PIOTR WŁOCZYK
LIBERTARIANIE TWORZĄ SWÓJ RAJ

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
KOBIETA I ŻYCIE
Codzienność w PRL

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 7deb5b8e48

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Leszek Szymański, Piotr Polak, Szymon Pulcyn/PAP**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Alarm dla szkoły", Jan Pospieszalski, „DRz" nr 1/2026

Szanowna Redakcjo,
już jakiś czas temu doszedłem do wniosku, że to, co wcześniej brałem za chaotyczne, nieprzemyślane ruchy urzędników, w istocie układa się w logiczną i przerażającą całość. Wizja szkoły, która rezygnuje z kanonu lektur i twardej wiedzy na rzecz „kształtowania postaw", brzmi jak ponury żart, ale niestety dzieje się naprawdę. Zamiast Sienkiewicza czy Prusa, którzy budowali naszą tożsamość, serwuje się uczniom coachingowe frazesy o „poczuciu własnej skuteczności". Obawiam się, że hodujemy pokolenie narcyzów przekonanych o swojej wyjątkowości, a jednocześnie całkowicie bezbronnych intelektualnie, bo pozbawionych narzędzi do krytycznej oceny rzeczywistości i znajomości własnej historii.

Najbardziej jednak uderzył mnie fragment o systemowym odcinaniu ucznia od wychowania domowego. To budzi mój sprzeciw nie tylko jako konserwatysty, ale przede wszystkim jako ojca. Szkoła, zamiast wspierać autorytet rodzica, zdaje się ustawiać w roli „wyzwoliciela" dziecka z oków tradycji i kultury narodowej. Tworzenie abstrakcyjnego „Europejskiego Obszaru Edukacyjnego" kosztem polskiego kodu kulturowego to inżynieria społeczna czystej wody. Jeśli pozwolimy, by nasze dzieci żyły w świecie wyobrażonym, oderwanym od prawdy i realnych korzeni, to obudzimy się w kraju ludzi znikąd.

Mariusz Góral

Władcy much

Szanowni Państwo,
zazwyczaj w rozmowach pokojowych biorą udział zaangażowane w wojnę mocarstwa, przy okazji starając się zrobić złoty interes. Obecnie o pokoju na Ukrainie rozmawiają Stany Zjednoczone i Rosja. Do negocjacji stara się podczepić również Unia Europejska pod postacią tzw. koalicji chętnych. Wnioskując z profesji amerykańskich negocjatorów, chodzi o konkretny kawałek torturu: dostęp do surowców, przemysł, handel. Tymczasem stronę europejską reprezentują wysocy rangą politycy, będący twarzami centralizmu, klimatyzmu, genderyzmu oraz katastrofy gospodarczej. Najwidoczniej ich interes polega na zaszczepieniu na Ukrainie unijnych porządków, chociaż – pozbawieni ojcowskiej pieczy USA – właściwie nie mogą nic.

Na dodatek reprezentują zaledwie część jednego procenta globu, który stanowi kontynent europejski. Właściwie można by postawić zakład, kto okaże się skuteczniejszym żyrantem pokoju i spokoju na Ukrainie: czy mocarstwo nuklearne gotowe zainwestować potężny kapitał w zrujnowany kraj czy dość groteskowy twór, który pozbawiony kontroli „dorosłych" zajmuje się tak infantylnymi sprawami jak uczłowieczanie zwierząt, przytwierdzanie zakrętek do butelek, liczenie płci, mowa nienawiści, a przy okazji likwiduje górnictwo, hutnictwo i rolnictwo. Niektórzy powinni czym prędzej odświeżyć sobie „Władców much" Williama Goldinga.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Prawo gospodarza

[...] Odnoszę wrażenie, że w ostatnich latach zapalanie świec chanukowych w instytucjach państwowych przestało być gestem międzykulturowego szacunku, a stało się pewnego rodzaju politycznym sakramentem, probierzem „europejskości", któremu każdy urzędnik musi się poddać, by nie zostać wykluczonym z towarzystwa.

Karol Nawrocki, jako historyk i strażnik pamięci narodowej, doskonale rozumie proporcje. Pokazał, że gospodarz w swoim domu ma prawo do własnej hierarchii świąt i symboli, a szacunek dla gości czy mniejszości nie musi oznaczać abdykacji z własnej tożsamości. Jego postawa to jasny sygnał: Polska jest gościnna i tolerancyjna, ale jej serce bije w rytmie chrześcijańskim i polskim.

Dziękuję Bogu, że są jeszcze w życiu publicznym ludzie, którzy nie tańczą tak, jak zagra im „Gazeta Wyborcza", a jednocześnie potrafią zachować powagę urzędu, nie uciekając się do tanich prowokacji. To jest właśnie ten rodzaj nowoczesnego, pewnego siebie konserwatyzmu, którego nam dzisiaj jak tlenu potrzeba.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

eprasa.pl 7deb5b8e48



PIOTR SEMKA

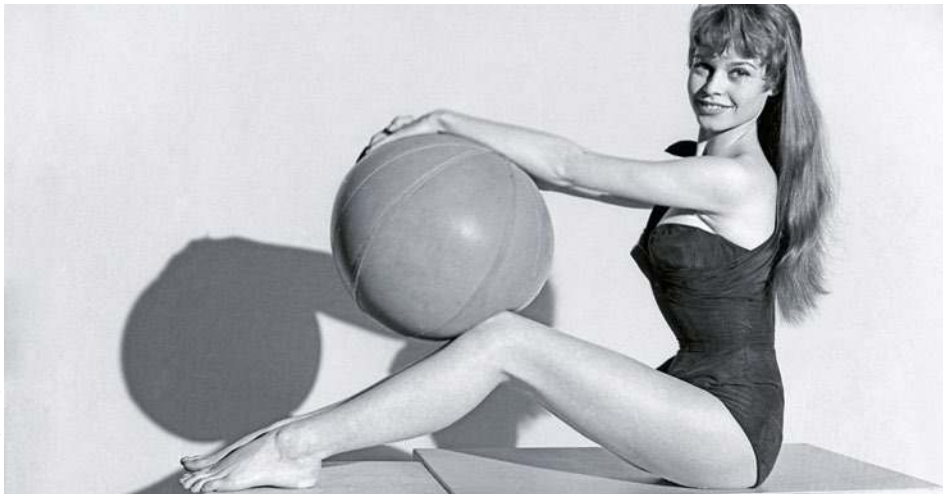
NA PIERWSZY OGIEŃ

Niemieckie tabu

Ilekroć zwiedzam kraj naszych zachodnich sąsiadów, lubię zaglądać do lokalnych niemieckich gazet. Czytając o problemach w skali mikro, można wyrobić sobie opinię, czym żyją nasi sąsiedzi zza Odry. I gdy przeglądałem właśnie parę miejscowych gazet – uderzyła mnie liczba dołączanych do nich folderów reklamujących warunki życia w domach pogodnej starości. Wkładki prześcigają się w kolorowych zdjęciach uśmiechniętych seniorów i sympatycznego personelu.

Za tymi ofertami stoi trywialna sugestia. Oddajcie swoich rodziców do naszego domu. Owszem, zapłacicie sporo, ale będziecie mieli święty spokój z ludźmi, którzy miewają nieprzyjemne nawyki, trzeba się kłopotać, kto ma im zapewnić opiekę w razie świątecznego wypadu wakacyjnego na Malediwy czy Zanzibar. Formalnie w niemieckich domach opieki według danych z lipca 2024 r. przebywa prawie 800 tys. osób. Niemcy mają stosunkowo wysoki wskaźnik pracowników opieki. Starzejące się społeczeństwo generuje ogromne zapotrzebowanie na opiekunki z zagranicy, w tym z Polski, a także np. z Bułgarii, Rumunii czy Czech. Co więcej, rośnie zjawisko umieszczania niemieckich seniorów w polskich domach opieki, co wynika z niższych kosztów utrzymywania. Te reklamują się obietnicą sporych oszczędności pozwalających na korzystanie z lepszych warunków za niższą cenę. Reklamy przemilczają fakt, że wyjazd do Polski wiąże się dla wielu seniorów z rzuceniem w świat zupełnie obcy kulturowo i językowo. Wysłanie swojego dziadka czy pradziadka na polską stronę wiąże się zazwyczaj wyłącznie z chęcią wydania jak najmniej pieniędzy na bądź co bądź najbliższe sobie osoby. I seniorzy zazwyczaj się tego domyślają.

Przeglądając te efektowne foldery, przypomniałem sobie, że w Niemczech co rusz przeprowadzane są jakieś akcje na rzecz pogłębienia świadomości społecznej. Są akcje walki z uprzedzeniami rasowymi, są kampanie przypominające o konieczności segregowania śmieci. Często zetknąć się można z akcjami wzywającymi do reagowania na wypadek agresji na ulicy czy też molestowania kobiet w miejscu pracy. Ale nigdy nie spotkałem się z żadną akcją któregoś z niemieckich ministerstw zachęcającą choćby do rozważenia zalet wynikających z mieszkania pod jednym dachem ze starszymi, najbliższymi sobie osobami. Nie słyszałem o żadnej kampanii przypominającej o wartości kontaktu najmłodszych ze starszym pokoleniem, walorach przekazu kulturowego, który wiąże się z rozmowami wnucząt z dziadkami. Nikt nie przypomina o roli dziadków jako osób, które mogą np. pomóc rozwiązywać konflikty rodzinne. „Ostatniej instancji" rodzinnej, której zwierzyć się mogą niezrozumiani przez rodziców nastolatkowie. Bardzo często to dziadek czy babcia mogą najszybciej zauważyć, że coś złego dzieje się z młodym człowiekiem, i uczulić na to rodziców. W domu bez dziadków tego bezpiecznika nie ma. Tak jak nie ma kampanii wyczulających na to pokolenie 40- i 50-latków. Dlatego nigdy nikomu w żadnym niemieckim ministerstwie nie przyszło to do głowy? ©℗



FOT. TOPFOTO/TOPFOTO/FORUM

BRIGITTE BARDOT NIE ŻYJE

28 grudnia w wieku 91 lat zmarła legendarna francuska aktorka, piosenkarka i ikona światowego kina. Brigitte Bardot, nazywana francuską Marilyn Monroe, zagrała w niemal 60 filmach i zaśpiewała ponad 80 piosenek. Światową sławę zdobyła dzięki roli w „I Bóg stworzył kobietę" z 1956 r. Generał Charles de Gaulle nazwał ją „francuskim artykułem eksportowym równie ważnym jak samochody Renault". W latach 70. porzuciła karierę i poświęciła się walce o prawa zwierząt. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 7deb5b8e48

dwaj panowie g

Witamy nowy rok, żegnamy Okrągły Stół! Nie, to nie jest nagłówek z przełomu lat 1989 i 1990, a powinien być. Niestety, chodzi jedynie o mebel zdemontowany nareszcie z Pałacu Prezydenckiego z polecenia prezydenta Karola Tadeusza. Realnie bowiem układ zwany Okrągłym Stołem rządzi dziś Polską zamaskowany jako Koalicja 13 grudnia. Jest tylko jedna różnica – przy Okrągłym Stole oprócz komunistów byli chociaż jacyś pojedynczy antykomuniści oraz przedstawiciele Kościoła. W Koalicji 13 grudnia nie ma ani jednych, ani drugich.

Jak wiadomo, wszyscy Polacy dostali w prezencie na święta nowe słowa. Wszystko dzięki Dziadkom i Babciom Mrozom z Lewicy, które zamieniły stolarzy w osoby stolarskie, a śmieciarzy, cóż, chyba w osoby śmieciarskie. Jesteśmy w kłopocie, bo nie wiemy, jakimi teraz my jesteśmy osobami. Nibypisarskimi, bo piszemy. Ale także czytamy, więc chyba czytarskimi. Na szczęście nasze wiewiórki pozostają wciąż wiewiórkami, przynajmniej dopóty, dopóki osoby sejmowe z Lewicy nie przygotują kolejnej ustawy.

Ponieważ święta były w tym roku bardzo długie, trochę się nudziliśmy, więc czytaliśmy z nudów serwisy sportowe. Znaleźliśmy w nich informację, że osoby LGBTQWERTY+ nie czują się komfortowo na stadionach piłkarskich. Ponieważ byliśmy kilka razy na stadionie piłkarskim i mieliśmy okazję ocenić panującą tam atmosferę, śpieszymy z wiadomością, że osoby HETERO+ też się na stadionach nie czują komfortowo.

Poświąteczne wieści dotarły do nas z Konfederacji. Otóż zawieszenie broni na czas łamania się opłatkiem było chwilowe i aktualnie obie strony szykują na siebie haki, które – co gorsza – zamierzają ujawnić. Jak mówią złe wiewiórcze języki, bosakowcy mają w zanadrzu coś o interesach Mentzena, a mentzenowcy na Bosaka – jakąś obyczajówkę, ale starą. Wątpimy w skuteczność haków. Zwolennicy Mentzena wiedzą, że lubi on pieniądze. A zwolennicy Bosaka – że jest atrakcyjny. Ujawnienie zatem tych faktów niczego nie zmieni.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Àpropos haków. Dotarły do nas także wieści, jakoby ich kolekcję posiadał również Zły Donald z Sopotu, który w ten sposób gwarantuje sobie spójność koalicji na linii spawu z Peezelem. Haki rzekomo wymierzone są osobiście we Władka Kosiniaka-Kamasza. Ich użyciem zagrożono już rzekomo raz, jesienią 2024 r. Wtedy to rozmaici nieodpowiedzialni osobnicy podpowiadali Władkowi, by zagrał ostro i zażądał dla siebie teki premiera, jak to zwykle bywa w koalicjach, których nie da się skleić bez mniejszościowego partnera w kolorze zielonym. Władek podobno miał poprosić, by nie lansowano publicznie tej narracji, gdyż będzie miał z tego powodu kłopoty.

Oczywiście nie wierzymy w powyższy stek bzdur wyssanych z brudnego wiewiórczego palucha. Władek po pierwsze jest skromny i o zaszczytach nie marzy. Po drugie, kocha Polskę. Po trzecie – kocha Polskę i o zaszczytach nie marzy.

Wieści z prowincji. W Krakowie został uruchomiony nowy salon. Miejscówkę odpalił w swoim podwawelskim lokum Tomek Sakiewicz, a gościem honorowym był Andrzej Duda, zwany obecnie bPAD-em. Literka „b" oznacza „były". Gości się nalazło tyle, że o następne zaproszenia zabiegają również ci, którzy przed nazwiskiem nie mają jeszcze literki „b".

W ogóle to bPAD szuka aktywnie swojego miejsca na ziemi. Próby objęcia ważnej funkcji międzynarodowej na razie spełzły na niczym, więc osoba byłej głowy państwa na razie dorabia – jak jego poprzednicy – udzielając się na rozmaitych imprezach. Obiecaliśmy, że nie powiemy, jakie są stawki, bo wciąż podlegają negocjacjom. Możemy jednak zdradzić, że kwoty są wyższe niż u Kwaśniewskiego i Komorowskiego, ale niższe niż u Wałęsy. Na pocieszenie możemy dodać, że Wałęsa zwykle zapraszany jest w jedno miejsce dwa razy: pierwszy i ostatni. Po pierwszym razie ludzie zachodzą w głowę, jak ktoś taki mógł dostać Nobla. Ale to właśnie Nobel jest tym czynnikiem, który powoduje, że Wałęsa jest lepiej płatny od pozostałych. Od razu wyjaśnijmy – u Sakiewicza Andrzej Duda był bezpłatnie.

Kontynuujemy podróż po prowincji. Wrocław. Miasto piękne, bo nasze. Rodzinne. Wiele hałasu zrobiła podana przez nas wiadomość, że o schedę po Sutryku ubiegać się będzie Grzegorz Schetyna. Jacek Sutryk tymczasem stał się dla dawnej PO, obecnie KO, takim trochę Adamowiczem bis. Podobnie jak nieboszczyk zerwał się z łańcucha platformerskiego i jest chłopcem do bicia tuskoidów i ich mediów. Mamy nadzieję, że Sutryk będzie omijał owsiakowe imprezy i dożyje procesu sądowego. Bo podobnie jak w przypadku Adamowicza jest go za co sądzić. Nie życzymy Sutrykowi, by w ślad za Adamowiczem stał się platformerskim świętym.

Na koniec zagranica. Ciekawe informacje nadeszły zza Atlantyku. Czy pamiętacie, jak przez lata mówiono nam, że w zamieszkach w Waszyngtonie 6 stycznia 2021 r. brali udział biali, niewykształceni z małych ośrodków? Okazało się, że schwytany główny podejrzany o podłożenie dwóch bomb jest czarny, z dużego ośrodka i bardzo oczytany. Najbardziej lubi czytać o historii Irlandzkiej Armii Republikańskiej, z której dziejów zaczerpnął pomysł na konstrukcję bomb. Zawsze uważaliśmy, że wprowadzenie powszechnej edukacji było błędem. ©℗

eprasa.pl 7deb5b8e48



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

PiS-owski dipstejt, znowu

W ramach „rozliczeń" z poprzednią władzą wytropiono, że PZU SA za rządów PiS zatrudniało „fikcyjnych doradców". Zapewne było ono skutkiem polecenia, które – co ciekawe, napisał o tym prorządowy „Newsweek", i to w tonie afirmatywnym – wydał premier swym podwładnym, poprzez ministra aktywów, Wojciecha Balczuna. Polecenia, by skoro wykrzaczają się „rozliczenia" prokuratorskie, tym usilniej „rozliczać" w spółkach Skarbu Państwa.

Rolę prymusa „rozliczeń" zapragnął odegrać Balczunowy – wtedy jeszcze – „wice", Robert Kropiwnicki. Tak, ten od licznych mieszkań i agencji towarzyskiej, wsławiony zgłoszeniem swego czasu pomysłu wyboru „na zaś", dopóty, dopóki jest większość, PO-wskich członków Trybunału Konstytucyjnego, których prawo wybrać miał dopiero Sejm następnej kadencji. Wywołany tym kryzys ciągnie się z najgorszymi skutkami dla Polski do dziś.

Aby zapisać się w historii partii raz jeszcze, rozpętał Kropiwnicki aferę „fikcyjnych doradców" w PZU. Usłużne media podchwyciły od razu, padły konkretne nazwiska, okrzyki o setkach tysięcy wypłaconych za nic… aż nagle, jak w „Towarzyszu Szmaciaku" Szpotańskiego: „w tropieniu gospodarczych przestępstw w taki szlachetny popadł zapał, że się dopiero opamiętał, gdy się za własną rękę złapał". Z papierów wyszło, że owych doradców nowy zarząd, ludzie Kropiwnickiego właśnie, nie tylko spłacił, lecz także podpisał z nimi ugody o zrzeczeniu się wszelkich roszczeń. I to po zarządzonej po przejęciu władzy – jakżeby inaczej – kontroli.

Wiadomość o tym, że poseł Kropiwnicki nie jest już wiceministrem od aktywów państwowych, bo „został skierowany do innych zadań", podana była bardzo dyskretnie i mało kto ją zauważył. Najśmieszniejsza jest teraz sytuacja ministra Balczuna, który już uruchomił rozliczeniowe (w tej sytuacji „autorozliczeniowe") procedury. Bo „rozliczanie", wiadomo, „trwa i trwa mać"! ©℗

#WARTO

Upaństwowiona pula genów



JAN POSPIESZALSKI

Ona – korpulentna blondynka, przytula się czule, próbując mu włożyć czekoladkę do ust. On – niebieskooki młodzian o jasnych, krótko przyciętych włosach, rozchyla wargi. Jeszcze siedzą na kanapie, ale wygląda na to, że za chwilę będą leżeć. Szybka zmiana kadru i widzimy zbliżenie twarzy eksperta. Okulary, marynarka, z manierą wykładowcy akademickiego tłumaczy młodym, że pierwsza populacja Grenlandii wyginęła, bo ludność rozmnażała się w wąskiej puli genetycznej. Za to Duńczycy rozkwitali, ponieważ ich genotyp zasiliła ludność z Europy Wschodniej i Azji. Teraz kamera ukazuje zmieszane twarze młodych, a naukowiec konkluduje: w trosce o zdrowie i przyszłość populacji ojca dla swojego potomstwa należy szukać wśród egzotycznych przybyszów.

Ta reklama w duńskiej telewizji nie tylko ukazuje typowe dla Skandynawów pojmowanie roli państwa, z jego prymatem nad jednostką i rodziną, lecz także jest próbą postracjonalizacji czegoś, co wytłumaczyć się da. Mimo że Dania, wchodząc do UE, zastrzegła sobie klauzulę opt-out w zakresie polityki dotyczącej wolności, bezpieczeństwa i sprawiedliwości (co umożliwia jej własne rozwiązania w kwestiach migracji), otrzeźwienie przyszło zbyt późno. Tak zwane dzielnice niezachodnie, czyli muzułmańskie getta, jak np. Mjølnerparken w Kopenhadze, Duńczycy musieli wyburzyć, żeby mieć pretekst do przesiedlania mieszkańców, aby rozproszyć „społeczeństwo równoległe". Różnorodność kulturowa Danii manifestuje się m.in. statystyką gwałtów – 45 zdarzeń na 100 tys. mieszkańców. Nie wiem, czy reklama promująca ubogacenie puli genetycznej zakłada aż taki sposób mieszania krwi. A może chodzi o to, by ofiary przemocy seksualnej swoje traumatyczne doświadczenie potraktowały jako wkład w potencjał zdrowotny państwa?

Czy Polacy wyciągną wnioski z faktu, że u nas statystyka gwałtów nie przekracza wskaźnika 1,4 (na 100 tys. mieszkańców)? ©℗

eprasa.pl 7deb5b8e48

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Żurka data ważności



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Może nawet nie tyle zaimponował, ile wprowadził w zdumienie ten Żurek, minister Żurek. Stop. Otóż panu Żurkowi podlega Fundusz Sprawiedliwości, który ma pomagać ofiarom przestępstw i co do którego jest moc zastrzeżeń zaprzeszłych, że znaczy się podobno źle, a nawet przestępczo funkcjonował za czasów PiS, ale nie Żurek, tylko ten Fundusz. Stop. Się z powodu tego Funduszu ludzi związanych z PiS do aresztu wsadzało i się zarzuty formułowało i się ściga, bo było ponoć źle, oj bardzo źle, a teraz miało być dobrze. Stop. To teraz uwaga: oferty na pomoc pokrzywdzonym powinni sprawdzić i ocenić urzędnicy ministerstwa Żurka, ale podobno mają stracha, żeby ich w przyszłości nie wsadzili, więc Żurek wziął i wynajął zewnętrzną firmę za bańkę, znaczy się za milion złotych. Stop. W przetargu na robótkę za milion ile firm wystartowało? Stop. Ano jedna i ona akurat wygrała, cóż za przypadek nie sądzę... Stop. Firma nie zdąży do stycznia, kiedy pomoc miała ruszyć, bo ponoć nie dostała dokumentów. Stop. A teraz najlepsze, ta prywatna firma próbowała zatrudnić panią Karolinę, która pracowała w MS przy tym funduszu i którą za Bodnara właśnie za tę pracę przy Funduszu Sprawiedliwości aresztowano, ale już wypuszczono. Stop. Więc jest tak, że pośrednio Żurek chce zatrudnić panią do pracy przy Funduszu, którą żurkowcy chcą skazać za pracę przy Funduszu Sprawiedliwości. Stop. Mistrzostwo Wszechświata!

Ej, dobra, jeszcze raz dziś o tym Żurku, bo to jest, proszę państwa, ananas pierwsza klasa. Stop. Sędzia Łubowski uchylił Europejski Nakaz Aresztowania wobec Romanowskiego z PiS, który nawiał przed Tuskiem na Węgry. Stop. Uchylił to uchylił, ale sytuacja jest taka, że on w uzasadnieniu rozjechał Żurka i Tuska, następnie wrócił i jeszcze raz rozjechał, i tak przez parę bitych stron A4. Stop. Z najciekawszych fragmentów, które poszły w świat, przytoczę, że sędzia uznał słowa ministra Żurka o przywożeniu Romanowskiego w bagażniku za nikczemne, a rządy Tuska i chłopców z jego ferajny ni mniej, ni więcej za kryptodyktaturę. Stop. Dodał, że wszystkie te niegodziwości popełniane są przy akceptacji Unii Europejskiej. I Żurek tak się zagotował, że w nerwach zamiast mównicy przytaszczył kwietnik (nie żartuję), aby przy nim przemawiać, że sędziego trzeba odsunąć, bo mu się orzeczenie sędziego nie podoba. Stop. Mnie się tak wydaje, że data ważności Żurka właśnie się kończy... ©℗

eprasa.pl 7deb5b8e48



GWIAZDOBZDUR

PANI JOANNA OD ANTYPISIZMU

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

Smutny przypadek aktorki, o której nikt już właściwie nie pamięta, że jest aktorką, bo znacznie ważniejsza stała się polityka. Joanna Szczepkowska od dłuższego czasu bawi się w polityczny aktywizm (domagała się np. ponownego liczenia głosów po drugiej turze wyborów prezydenckich, stając po stronie najbardziej zapalczywych zwolenników teorii spiskowych rozsiewanych przez Romana Giertycha). We wpisie na Facebooku połączyła wątek polityki



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

z duchowością. Przypomina, że została wychowana „w duchu katolickim, którego podstawą jest katechizm". Wspomina PRL, gdy Kościół był dla wielu Polaków „namiastką niezgody z ideą narzuconą przez Związek Radziecki". Jednak wraz z upływem lat Szczepkowska zaczęła odczuwać poważny rozdźwięk. „W miarę dorastania zaczęła mi się rozjeżdżać idea chrześcijaństwa wpajana na religii z tym, co mogłam zaobserwować w samym Kościele. Chrześcijaństwo samo w sobie uważam za piękną ideę, tak sam Kościół okazał się atrapą" – przekonuje. Aktorka zauważa, że sens chrześcijaństwa to pomoc, wybaczenie, miłość i tolerancja. Jednak jej zdaniem w Polsce został on wypaczony. „Znam w Polsce więcej ludzi niewierzących, którzy żyją po chrześcijańsku, niż prawdziwie chrześcijańskich katolików" – stwierdza „odkrywczo", a dalej przechodzi do polityki i krytyki prawicy (szok!). Joanna Szczepkowska przywołała program TVN24 „Kawa na ławę", gdzie obserwowała starcie polityków różnych opcji. „Piszę o tym dlatego, żeby kolejny raz zwrócić uwagę na tę »religijność« i »obronę wartości chrześcijańskich«, które niesie na sztandarach polityczna prawica. Obejrzałam sobie teraz program »Kawa na ławę«. Można tam po prostu i posłuchać, i przyjrzeć się przedstawicielom skrajnie różnych opcji. Dla mnie szczególnie możliwość przyjrzenia się ma wartość. Słucham słów posła Wójcika, który broni stanowiska, że Ukraińcy są nam coś winni za pomoc. I patrzę na zgorszoną minę posła Treli. To który z nich broni »wartości chrześcijańskich?«" – pyta oburzona. „Aktorka zaangażowana" kończy wpis gorzkim pytaniem: „Gdzie słowa Karola Nawrockiego, posła Wójcika mają odpowiednik w dziesięciu przykazaniach? Z tym prostym pytaniem zostawiam na dobrą noc wierzących i niewierzących, ale głównie tych, którzy wciąż jeszcze wierzą, że prawica i chrześcijaństwo, to jedno". Ależ to głębokie!

REFLEKSJE NOWOROCZNE

U Edzi na szczęście stabilnie, czyli mądrości filozoficzno-astralne plus minidramy w show-biznesie. W rozmowie z Pomponikiem Edyta Górniak poruszyła wątek trwającego od lat sporu z Justyną Steczkowską. Od czego się zaczął, nie pamiętają nawet najstarsi górale, ale na szczęście wokalistka ogłosiła, że złość i niechęć do koleżanki z branży należą już do przeszłości. Zwróciła uwagę, że każdy z nas w innym momencie dochodzi do refleksji, że nie warto pielęgnować negatywnych emocji. – Gdyby ludzie mieli taką wyrozumiałość, że każdy ma swój rytm życia i uczy się... I tak się każdy musi nauczyć tego samego, tylko każdy to robi w innym tempie i innym czasie. I nie trzeba się na siebie złościć. Ja już się nie gniewam na Justynę – wyznała. To, w jaki sposób [ludzie – przyp. red.] patrzą na życie, na świat, na innych, na siebie, jest narzuconym systemem myślowym [...]. Jak to zrzucimy i wyobrazimy sobie, że zeszliśmy np. na ziemię przed chwilą i nie mamy żadnej nauki... to jak byśmy patrzyli? [...] Doświadczenia nam dają inną percepcję – podkreśla diwa. Górniak przyznała również, że mijający rok skłonił ją do głębokich przemyśleń nad relacjami międzyludzkimi. Gwiazda musiała zakończyć pewne znajomości i współprace, które od dłuższego czasu budziły w niej niepokój. Edzia wyznała, że przez lata ignorowała swój wewnętrzny głos, co w końcu doprowadziło do konieczności zmierzenia się z trudnymi sytuacjami. – Zignorowałam intuicję, która mnie też goniła od kilku lat. W tym roku był rozbłysk sytuacji różnych [...]. Trzeba się było zmierzyć z ludźmi – zauważyła. I takiej mądrości, jaką ma Edzia, życzę państwu na ten nowy 2026 r.

CARPE DIEM, KEROLAJN

Skoro życzenia, to może warto, aby każdy z nas przejął choćby cząstkę tego poczucia, że zasługujemy na wszystko, co najlepsze (i najdroższe), z jakim idzie przez życie Caroline Derpienski? – Ja jestem księżniczką, księżniczki potrzebują księcia – oświadczyła Caroline, czyli Karolina z Białegostoku, której „ściemniona" kariera w Ju Es Ej to temat na niezłą komedię. Celebrytka przyznała, że nie ogranicza się z wydatkami. Jej ukochany musi mieć gest, by fundować podróże, hotele czy torebki Birkin. – Uważam, że trzeba się cieszyć życiem i pieniądze to jest wspaniała energia. Trzeba się tym chwalić, dlatego jestem na biznesowym wydarzeniu dzisiaj, ponieważ jestem bizneswoman – ogłosiła celebrytka. W wywiadzie dla Pomponika przyznała, że szasta pieniędzmi na prawo i lewo, bo na to zasługuje, a w ciągu roku wydała „na pewno więcej niż milion". Pytanie, czy mówimy o dolarach czy złotówkach. ©℗

eprasa.pl 7deb5b8e48



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, za nami sylwestra, czyli ten jedyny wieczór w roku, kiedy wszyscy udajemy, że zmiana daty w kalendarzu nas cieszy. O północy wznieśliśmy kieliszki prosecco z Biedry, składając życzenia członkom kolektywu, a sobie obiecaliśmy rzeczy, których już niestety nie pamiętamy, iż postanowienia noworoczne nie były nigdy naszą mocną stroną xD.

Pomyśleliśmy sobie także, iż początek roku jest dobrą okazją, aby złożyć życzenia ważnym osobom publicznym w tym kraju. I tym, z którymi się zgadzamy, i tym, z którymi się nie zgadzamy – iżby pokazać, że jesteśmy inkluzywni. A zatem czego życzy kolektyw Mwizwo u progu kolejnego roku pod rządami krwawego Nawrockiego i uśmiechniętej koalicji (też dostrzegacie tę dychotomię noc – dzień, zło – dobro, mrok – jasność, fashysm – antyfashysm?).



Donaldowi Tuskowi – czegóż można życzyć człowiekowi, który ma wszystko? Ma koalicjantów, uśmiechnięty rząd, silną pozycję na arenie międzynarodowej, szacunek i autorytet, a także realizację kej pi ajów na poziomie równym bądź zbliżonym do wyniku wyborczego (dla Podkarpacia: KPI, czyli Key Performance Indicators, a więc kluczowe wskaźniki efektywności, na podstawie których rozlicza się czyjąś pracę w korpo). Chyba tylko tego, aby wreszcie udało się odsunąć pis od władzy, rozliczyć, wsadzić do więzienia Kaczafiego, a następnie podnieść poziom realizacji KPI do 127 proc., czyli zrealizować z nadwyżką oczekiwania społeczeństwa, a w przypadku wąsatych januszów nawet je przekroczyć i zapewnić sobie poparcie umożliwiające samodzielne rządzenie po kolejnych wyborach. A także szerokiego uśmiechu wobec koalicjantów, którzy może nie w porę się zorientują, iż jest to uśmiech nadpływającego rekina.

Poza tym chcieliśmy premierowi życzyć nieco więcej wyrozumiałości ze strony społeczeństwa na drodze do realizacji celów, iż serce nam krwawi na widok sondaży, w których premier jest oceniany nisko i w których padają zarzuty dotyczące zawiedzionego zaufania, jest to strasznie smutne i naszym zdaniem zupełnie niezasłużone, iż opozycja – jak wiemy – okropnie przeszkadza.

Karolowi Nawrockiemu – życzymy odrzucenia pozy toksycznej męskości i odkrycia w sobie czułej chłopackości, która nie wstydzi się łez na seansie „Listów do M.", potrafi się przyznać, iż coś jest dla niej za ciężkie – nie tylko w sensie metaforycznym, lecz także przy martwym ciągu. Takiej chłopackości, która pozwoli umawiać się nie tylko z nastolatkami na kebsa, ale też z kolektywem młodszych millennialsów w wegerestauracji przy burgerze z chlebowca i ramenie z tofu, i to nie w jakimś mniejszym ośrodku, ale np. u nas, w Krakowie na Zabłociu, albo w Warszawie w jakimś modnym miejscu, sorry, ale my się zatrzymaliśmy na czasach Zbawixa, a to już pewnie jest passé.

Osobie piastującej stanowisko prezydenta życzymy również, iżby znalazła sobie inne hobby niż stadionowa toksyczna piłka nożna, i to jeszcze w wykonaniu Lechii Gdańsk. Może zainteresowanie takimi dyscyplinami jak łyżwiarstwo figurowe i curling, które uczą estetyki i cierpliwości?

A jeśli mowa o cierpliwości – to życzymy jej wobec ustaw. Naprawdę nie wszystko trzeba wetować, czasem to trzeba na spokojnie posiedzieć, pomyśleć albo wejść na X i zobaczyć, co do powiedzenia mają autorytety.

A nam wszystkim, kochani, życzymy takiego nowego roku, w którym więcej powodów będziemy mieć do śmiechu niż do lamentu. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Wrócić do korzeni

Jarku, mam pomysł, jak możemy wrócić na kurs.

Mateusz, ale przecież my jesteśmy na kursie, idziemy po 40 proc.

No tak nie bardzo. Ale to wszystko dlatego, że ja nie jestem premierem.
Nie jesteś m.in. dlatego, że nie rządzimy.

I właśnie musimy wrócić do korzeni!

Do tego, co robiło z nas potęgę!
Czyli?

Mam taki plan: ogłaszamy milion samochodów elektrycznych w Polsce do 2028 r., jeśli wygramy najbliższe wybory!
Przejadłeś się w święta. Mówiłem, żebyś golonki nie jadł. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Zajęcie Zaolzia przez sanację było debilizmem na miarę dyplomatołków z PiS, którzy współpracowali z Orbánem w czasie wojny ukraińskiej".

ROMAN GIERTYCH, *poseł KO, na X*

eprasa.pl 7deb5b8e48



FOT. JONATHAN ERNST/REUTERS/FORUM

FOT. XINHUA/ZUMA PRESS/FORUM



ROZMOWY O POKOJU W „ZIMOWYM BIAŁYM DOMU”

Amerykański przywódca Donald Trump i prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski ogłosili w Mar-a-Lago na Florydzie, że plan pokojowy jest gotowy „w 90–95 proc.”. Było to już dziewiąte spotkanie twarzą w twarz Trumpa i Zełenskiego. Wciąż nie udało się jednak rozstrzygnąć kluczowych dla ewentualnego porozumienia „drażliwych kwestii”. – Uważam, że mamy podstawy do zawarcia porozumienia w sprawie Ukrainy, korzystnego dla wszystkich – oznajmił jednak Trump podczas konferencji prasowej w należącej do niego rezydencji Mar-a-Lago (swą hiszpańskojęzyczną nazwę zawdzięcza położeniu między Atlantykiem i laguną Lake Worth Lagoon).

Historia tej ogromnej nieruchomości – ma obecnie 5810 mkw. powierzchni, 126 pokojów, spa, basen i salę balową – sięga lat 20. ubiegłego stulecia. Drugą największą posiadłość na Florydzie i 22. rezydencję pod względem wielkości w całych USA zbudowała Marjorie Merriweather Post, salonowa lwica i jedna z najbogatszych Amerykanek XX w. Po jej śmierci w roku 1973 posiadłość znajdującą się na liście pomników dziedzictwa kulturowego USA przejął rząd Stanów Zjednoczonych. Miała ona odgrywać rolę „zimowego Białego Domu”. Ze względu na wysokie koszty i trudności z zapewnieniem bezpieczeństwa na terenie posiadłości zwrócono jednak Mar-a-Lago do Fundacji Postów. Ta wystawiła rezydencję na sprzedaż za 20 mln dol. Ostatecznie, w roku 1985, za 10 mln dol. kupił ją Donald Trump, który w latach 90. przekształcił rezydencję w prestiżowy klub dla elit.

Podczas swej pierwszej kadencji w Mar-a-Lago prezydent Donald Trump gościł w posiadłości na Florydzie m.in. premiera Japonii Shinzo Abe, prezydenta Brazylii Jaira Bolsonaro czy przywódcę Chin Xi Jinpinga. Po wygraniu po raz drugi wyborów prezydenckich gościł na Florydzie m.in. premier Włoch Giorgię Meloni oraz szefa rządu w Budapeszcie Viktora Orbána. W marcu 2025 r. zaprosił zaś do „zimowego Białego Domu” prezydenta Finlandii Alexandra Stubba (z którym zagrał też w golfa na pobliskim polu Trump International Golf Club). Z Wołodymyrem Zełenskim w niedzielę 28 grudnia rozmawiał o pokoju na Ukrainie, a w poniedziałek 29 grudnia gościł w Mar-a-Lago premiera Izraela Beniamina Netanjahu, aby dyskutować o rozejmie w Strefie Gazy, a także szerzej – o pokoju na Bliskim Wschodzie (z uwzględnieniem spornych kwestii izraelsko-irańskich). ***(jap)*** ©℗



Z Marcinem Palade, socjologiem polityki
rozmawia Ryszard Gromadzki

Prawdziwa przyczyna wojny

RYSZARD GROMADZKI: Czy w związku z możliwą frondą Mateusza Morawieckiego i grupy jego zwolenników PiS znalazł się na granicy rozłamu czy to tylko kolejna ruchawka, którą Jarosław Kaczyński zdoła zdusić?

MARCIN PALADE: Patrząc w przeszłość, ale nie tak odległą jak czasy Porozumienia Centrum, Jarosław Kaczyński miał już kilka podtopień na pokładzie swojego statku, czyli Prawa i Sprawiedliwości. Swoje partie postanowili założyć Zbigniew Ziobro – czyli Solidarną Polskę – oraz Joanna Kluzik-Rostkowska i Paweł Kowal – czyli Polska Jest Najważniejsza. Jedni jako ci pierwsi synowie marnotraw-

eprasa.pl 7deb5b8e48



Mateusz Morawiecki i Jarosław Kaczyński w Sejmie, 28 kwietnia 2022 r.
FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

w PiS

ni wrócili, ci drudzy przeszli na drugą stronę politycznej barykady. Ale to był PiS jeszcze przed ośmioletnimi rządami, formacja odwołująca się do programu, kreatywna, a nie – jak jest obecnie – partia, która przypomina mocno doświadczoną uczuciowo kobietę, mocno przypudrowaną, po przeżyciach, patrzącą w lustro z wciąż powracającym pytaniem: Dlaczego przestałam podobać się mężczyznom? To za sprawą postrzegania z zewnątrz inna partia – z liderem wciąż posługującym się schematami, które przestały być efektywne, bo nastały inne czasy, inne uwarunkowania, no i z powiększającą się w PiS grupą krytyków tej, jakże widocznej, niemocy płynącej z Nowogrodzkiej, niekoniecznie wszystkich gotowych zgromadzić się pod sztandarem byłego premiera Mateusza Morawieckiego. Ale świadomych, jak wymieniony, że okienko czasowe dla radykalnych zmian się zamyka. Perspektywy na kolejne zmiany nie ma. Ale to rzeczony Mateusz Morawiecki i jego ludzie w PiS postanowili się wyraźnie postawić centrali. O tym, w jak beznadziejnej sytuacji znalazł się, w dużej mierze z własnej winy, PiS, świadczy fakt, że twarzą ostrej potyczki słownej ze zbuntowanym Morawieckim stał się Jacek Kurski, człowiek niestrawny dla niemal wszystkich w PiS, ale z niedającą się logicznie uzasadnić carte blanche od Kaczyńskiego. Sytuacja jest dynamiczna i nie wykluczyłbym wariantu z opuszczeniem pokładu PiS przez byłego premiera oraz jego ludzi. Im bardziej partia będzie niezdolna do zatrzymania negatywnego trendu w sondażach, tym buntowników będzie przybywać. Kaczyński się nie zmieni. Ci, którzy mogliby rehabilitować partię, a nie są związani z Morawieckim, czekają na cud. Sytuacja jest patowa. Bo mamy scenariusz z rozłamem z jednej strony lub jakąś formą kompromisu Kaczyńskiego z buntownikami z drugiej. Ale ani jedno, ani drugie rozwiązanie nie przybliża PiS do bycia formacją zdolną czynić sondażową ekspansję.

O Morawieckim zawsze mówiło się, że nie ma zaplecza w PiS. Czy jego projekt polityczny ma szansę zaistnieć na prawicy wobec fatalnej reputacji byłego premiera wśród jej wyborców?

To nie jest tak, że Mateusz Morawiecki jest nieakceptowalny dla całej prawicy. Owszem, jest oceniany bardzo krytycznie przez twardą prawicę, spod znaku Konfederacji i Korony, zarówno polityków, jak i sympatyków obu tych formacji. Ma swoich wrogów w samym PiS. Ale to wszystko, co na prawo od centrum, jest zróżnicowane i są w tym wielkim namiocie także tacy, którzy byłego premiera oceniają pozytywnie. Czy to oznacza, że poszliby za Morawieckim, gdyby ten zdecydował się na budowanie czegoś swojego? Część tak, ale inni uznaliby, że mają czas na podjęcie decyzji wobec perspektywy wyborów za niecałe dwa lata. Momentum nie jest po stronie pozytywów byłego premiera. Co oznacza w praktyce, że sondażowy start partii Mateusza Morawieckiego nie musiałby wypaść zauważalnie pozytywnie. A to ważne w kontekście rozwoju tej inicjatywy na przyszłość, bo inauguracja w sondażach, co pokazuje przeszłość bytów innych niż PO-PiS, miała wpływ na klasyfikowanie formacji w kategorii liczącej się, z perspektywami bądź nie.

Czy w istocie akcja podjęta przez Morawieckiego obliczona nie jest na wypełnienie luki po Trzeciej Drodze i usytuowanie się w centrum? Gdyby do tego doszło, mogłaby to być sytuacja groźna w skutkach dla perspektyw potencjalnej prawicowej koalicji po wyborach 2027 r.

To pewnie byłaby próba zbudowania czegoś, co sytuuje się na prawo od Koalicji Obywatelskiej, a sięgałoby tam, gdzie jest PiS. Prawicowego światopoglądowo, prorynkowego i eurorealistycznego. Czy jest zapotrzebowanie na taką formację? Jak najbardziej. Bo mamy sieroty po wspomnianej przez pana Trzeciej Drodze. Nie wszyscy ekswyborcy Polski 2050 uciekli do Konfederacji. Nie wszyscy też widzą partię Szymona Hołowni jako mały dodatek do wielkiej Koalicji Obywatelskiej w wyborach roku 2027. Jest też PSL, które choć zapowiada samodzielny start, to wie, że to działanie obarczone dużym ryzykiem nieznalezienia się w następnym Sejmie. Słowem: jest 1 mln do 2 mln wyborców, co dawałoby w wyborach od 5 proc. do 10 proc., w szerokim centrum, mających dosyć dwóch najpopularniejszych emerytów nad Wisłą: Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska. Gdyby pod jednym sztandarem, co będzie niezwykle trudne, udało się zebrać kilka środowisk, to otwierałoby to perspektywę powyborczej koalicji KO, części Konfederacji i tegoż centrum. Oznaczałoby to znalezienie się poza burtą PiS, narodowej części Konfederacji, Korony z jednej strony oraz Lewicy i Razem z drugiej.

eprasa.pl 7deb5b8e48

Ewentualna fronda Morawieckiego oznaczałaby koniec, a przynajmniej marginalizację PiS i polityczny upadek Kaczyńskiego?

Na pewno byłaby gwoździem do trumny. Bo przypadłaby na moment dekoniunktury tej formacji. Jak się ma 40 proc., to odprysk, choć widoczny dla oka, nie zabija. Jak się ma mniej niż 30 proc., to wyjęcie kilku klocków może istotnie naruszyć fundament budowli. A właśnie to zabranie przez Morawieckiego pięciu–sześciu punktów procentowych Kaczyńskiemu, przy jednoczesnym dalszym skutecznym łowieniu wyborców PiS przez Grzegorza Brauna, prowadziłoby prostą drogą do poszukiwania sondażowej równowagi w okolicach 20 proc. Ale bez gwarancji jej utrzymania, bo mit o jedynym, skutecznym, chroniącym przed Tuskiem Kaczyńskim, jego jedynie patriotycznej partii, jest już mocno passé. Kolejny poziom poniżej którego, przy funkcjonującym wciąż w polityce Kaczyńskim, jego formacja nie powinna przekroczyć w dół, to wynik z wyborów roku 2001. To już miejsce, gdzie nie ma nikogo poza najtwardszym z najtwardszych wyborców PiS. Tych, którzy z Kaczyńskim są na wieki wieków. Ale akurat by ten wariant wyniku około-dwucyfrowego mógł się zmaterializować, musiałoby dojść do wolty wpływowego środowiska Republiki, której szefostwo od lat przebiera nóżkami, by być w stopniu co najmniej równym, co do ważności na centroprawicy, w stosunku do PiS. Czarnym scenariuszem dla Kaczyńskiego jest zatem kumulacja wszystkich tych zjawisk. Bo oznaczałoby to stanie się formacją co najwyżej średniej wielkości czy o średnim znaczeniu w polskiej polityce i byłoby trudnym do akceptacji dla samego Kaczyńskiego zwieńczeniem jego aktywności w polskiej polityce od ponad trzech dekad. Kończyć tam, skąd się startowało, mając w pamięci absolutną dominację, nie tak odległą, jak w latach 2015–2023? Tego nie przeżyłby bez psychicznego wstrząsu chyba żaden z polityków.

USA budują nową architekturę w Europie, w tym w naszej części kontynentu. A PiS nie jest zdolny do zrewidowania swojej rusofobicznej linii, podobnie jak korekty w postrzeganiu Białorusi z jej obecnym prezydentem. Tymczasem Rosja i Białoruś stają się partnerami USA, a za chwilę pewnie sporej części krajów Europy Zachodniej

Wobec niemożności rewizji strategii ślepego trwania przy Unii Europejskiej pomimo coraz bardziej brutalnego deptania przez nią polskiej suwerenności PiS bez względu na akcję Morawieckiego z własnej winy stanie się formacją schyłkową?

Problemem PiS jest to, że rysuje nam się zupełnie nowa oś podziału w obszarze, w którym partia Kaczyńskiego od lat poruszała się dosyć swobodnie. I czerpała z tego tytułu polityczne zyski. Mam na myśli stosunek Warszawy do Brukseli, styk między eurorealizmem a kiełkującym eurosceptycyzmem. To niemała grupa tych, którzy sytuują się ze swoimi poglądami na prawo od centrum. Ale wobec znaczącego wzrostu nastrojów antyunijnych, a w najbliższych miesiącach i latach będziemy obserwować nasilenie tego zjawiska, ten mimo wszystko prounijny, niegotowy do powiedzenia „polexit" PiS może za chwilę nie być za bardzo komukolwiek potrzebny. Do tego dochodzą geopolityka i całkowite bankructwo ważnego filaru PiS, czyli tego, co określa się mianem dziedzictwa Lecha Kaczyńskiego. PiS, uchodzący za ugrupowanie proamerykańskie czy też trzymające się klamki ambasady USA w Warszawie, za chwilę może nie być komukolwiek do czegokolwiek potrzebny także z zewnątrz. USA budują nową architekturę w Europie, w tym w naszej części kontynentu. A PiS nie jest zdolny do zrewidowania swojej rusofobicznej linii, podobnie jak korekty w postrzeganiu Białorusi z jej obecnym prezydentem. Tymczasem Rosja i Białoruś stają się partnerami USA, a za chwilę pewnie sporej części krajów Europy Zachodniej. Kto tego nie dostrzega, nie przewiduje, będzie skansenem. A do skansenu idzie się pooglądać coś, co było, a nie jest i nie będzie.

Prezes Kaczyński w ostatnich tygodniach atakował Grzegorza Brauna z równą zajadłością jak Tusk, Radosław Sikorski czy Włodzimierz Czarzasty. Nie sądzi pan, że dziś zasadnicza linia politycznego podziału w Polsce nie przebiega pomiędzy Kaczyńskim a Tuskiem, PiS a KO czy PiS a Konfederacją, ale pomiędzy „Zjednoczonym Frontem Gaśnicowym" a „Zjednoczonym Frontem Magdalenkowym"? To między nimi rozegra się kolejna bitwa o Polskę.

Ataki Kaczyńskiego na Brauna, które oglądam z niemałym rozbawieniem, pokazują bezradność jego formacji i jego jako lidera. To przeświadczenie, że jak zakomunikujemy, że to my jesteśmy jedynymi patriotami, to wszyscy, którzy nas opuścili, bo się pogubili, szybko do nas powrócą. A tu nie o to chodzi. Idzie nowe, o czym przed chwilą mówiłem. Nowe na zewnątrz, a to nie jest bez znaczenia dla naszej polityki, którą będą też determinować zmiany wewnątrz. Systemowość po 2005 r., z głównymi aktorami, odgrywanego na potrzeby społeczeństwa spektaklu przedstawiającego rzekomy spór, czyli spór Kaczyńskiego i Tuska, się kończy. Bo jedna ze stron słabnie, wypierana przez Konfederację i Koronę. A także dlatego, że do końca tej dekady miliony Polaków staną przed koniecznością odpowiedzenia sobie na najważniejszą kwestię: być czy nie być dalej w UE. A to oznacza, że ku zaskoczeniu wielu w jednym obozie nagle mogą się znaleźć obrońcy UE i demokracji w Polsce, w drugim zaś antysystem – ten z Konfederacją i Koroną. Pierwszym testem może być powyborcze rozdanie w 2027 r. W jego wyniku może się okazać, że niektórzy politycy czy media z nimi związane były tylko werbalnie przez niemal 40 lat antymagdalenkowe. A w kluczowym momencie jak na agendzie będzie obrona zdobyczy III RP, w trosce, by nie zostały sponiewierane przez Sławomira Mentzena, Krzysztofa Bosaka i Grzegorza Brauna, da nam to, o czym otwarcie mówię od jakiegoś czasu. Niekoniecznie z Kaczyńskim i Tuskiem, których ambasadorowie ważnych krajów mogą poprosić, by przeszli na zasłużoną emeryturę. Koalicję młodszych i pragmatycznych, KO i sporej części PiS.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Marcin Palade *– socjolog polityki. Od roku 1997 prowadził Ośrodek Badań Wyborczych, a w 2003 r. współtworzył Polską Grupę Badawczą.*

eprasa.pl 7deb5b8e48

Nowa rola dla Morawieckiego



Łukasz Warzecha

Można sobie wyobrazić, że partie głównego nurtu – Koalicja Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość – już bez swoich obecnych liderów postanowią połączyć siły, wspólnie jednocząc się przeciwko antyunijnym „populistom". Jeśli prześledzić praktykę polityki PiS, a także niektóre wątki retoryki tej partii, to okaże się, że pole do porozumienia jest. Zwłaszcza wobec egzystencjalnego zagrożenia dla głównego nurtu, które stanowią partie pochodzące spoza niego

Wiele osób, z którymi rozmawiam w Sejmie, również z PiS, mówi mi, że wyjście Mateusza Morawieckiego z tej partii to już nie jest kwestia »czy«, ale »kiedy«" – powiedział mi jeden z polityków Konfederacji. Pytani o to samo politycy Prawa i Sprawiedliwości zaprzeczają, aby cokolwiek było na rzeczy, ale oczywiście nawet oni nie są w stanie przekonywać, że w PiS nie trwa ostry spór. W takim samym stopniu zarówno personalny, jak i programowy. Jednym zaś z liderów spierających się obozów jest właśnie były premier.

Z kolei jednym z przekazów, którymi uderzali w niego jego przeciwnicy, były słowa Mateusza Morawieckiego o tym, że mógłby on stworzyć wspólny rząd z Koalicją Obywatelską. A dla PiS-owskich ortodoksów jest to przecież jeden z najcięższych zarzutów, którym regularnie atakowali również Konfederację – tylko dlatego, że jej politycy mówili, zgodnie z zasadami politycznej pragmatyki, że dwa lata przed wyborami nie są w stanie wykluczyć żadnego scenariusza.

Sprawa jest jednak bardziej złożona, a zarazem znacząca. Mowa o fragmencie wywiadu, którego były szef rządu udzielił Grzegorzowi Sroczyńskiemu z Gazeta.pl. Już samo to, że Morawiecki poszedł na Czerską, dało amunicję jego przeciwnikom, którzy jednak naciągali nieco fakty. Sroczyński nie tylko nie jest bowiem dziennikarzem „Gazety Wyborczej", jak twierdzili wrogowie byłego premiera, lecz także portalu Gazeta.pl, a to odrębna redakcja. Na dodatek jest na Czerskiej czarną owcą – jednym z najbardziej otwartych i idących najbardziej pod prąd tamtejszych publicystów. Wielokrotnie wymierzał celne ciosy obozowi wspieranemu przez jego własny tytuł.

Kolejny smaczek to fakt, że fragment o wspólnym rządzie wybił sam Mateusz Morawiecki, umieszczając go na swoim profilu na X. I z całą pewnością nie był to przypadek – w takich sprawach nie ma przypadków, a już zwłaszcza u polityków tak świadomie budujących swój wizerunek jak były premier.

Wreszcie warto dokładnie zacytować, co właściwie w tym fragmencie rozmowy padło – nie jest to bowiem ani prosta deklaracja stworzenia rządu z Donaldem Tuskiem, ani też – jak chcieliby obrońcy Morawieckiego – nie ograniczała się ona jedynie do sytuacji ekstremalnej.

Sroczyński: „Czy gdyby wybuchła wojna tutaj i Rosjanie by tu weszli, czy pan sobie wyobraża, że PiS i KO tworzą wspólny rząd jedności narodowej czy ze »zdrajcami« nie?".

Morawiecki: „Wyobrażam sobie, że wtedy tworzymy rząd jedności narodowej, wszystkie partie, tak jak to było w 1920 r. Wyobrażam sobie tę sytuację, tym bardziej że w czasie dwóch gigantycznych kryzysów, które występowały w czasie, kiedy ja byłem premierem, zapraszałem pana, wówczas przewodniczącego, Tuska, zapraszałem wszystkich liderów opozycji i mieliśmy co najmniej kilka spotkań, a w różnych konfiguracjach, na poziomach ministerialnych, a także premierowskim, kilkanaście takich spotkań, a przecież to nie była żadna jeszcze wojna, prawda? COVID nie był wojną, atak na Ukrainę nie był wojną w Polsce, a jednak doprowadzaliśmy do takich spotkań i nie mam tutaj na myśli spotkań u pana prezydenta Andrzeja Dudy, Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Mam na myśli spotkania w KPRM-ie, które ja organizowałem, dążąc do wypracowania wspólnych mianowników. A więc podkreślam tutaj, że skoro na taki krok stać mnie było w czasach pokoju, to tym bardziej stać mnie by było w czasie wojny".

ŚCIGANIE SIĘ NA RADYKALIZM

Warto się nad tą wypowiedzią zatrzymać, ponieważ kryje się w niej ciekawy podtekst. Morawiecki oczywiście nie zadeklarował – jak zarzucali mu jego twardzi przeciwnicy – że gotów jest natychmiast tworzyć rząd z głównym politycznym przeciwnikiem. Wyraźnie była mowa o czasie wojny z odwołaniem do gabinetu Wincentego Witosa. (Przy czym zawsze trzeba pamiętać, że ówczesna narodowa jedność szybko się po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej rozpadła, a po przewrocie majowym los wielu bohaterów wojny, takich jak gen. Tadeusz Rozwadowski czy sam Witos, był nie do pozazdroszczenia).

Jednak zaraz potem Mateusz Morawiecki przywołał własne działania z czasów sprawowania urzędu, których nie sposób wyjąć poza nie tylko obecny

eprasa.pl 7deb5b8e48

kontekst, lecz także kontekst zarzutów, które stawiają PiS wyborcy, którzy od poparcia dla tej partii odeszli. A jest to przecież także przedmiot sporów między frakcją „harcerzy" a frakcją „maślarzy": jak duża jest odpowiedzialność Morawieckiego za spadek poparcia. Przywołanie swoich spotkań z przeciwną stroną, w tym z Donaldem Tuskiem, ma dwa walory. Po pierwsze – wyraźnie ustawia Morawieckiego w kontrze do tej grupy, która domaga się prowadzenia bardziej konfrontacyjnej polityki. Były premier mówi: „Zobaczcie, ja nie jestem jak ten Czarnek, ja umiem rozmawiać z każdym, jeśli trzeba i sytuacja jest trudna". Jednak zarazem potwierdza poniekąd opinie krytyków na własny temat. Przecież jednym z najcięższych zarzutów wobec rządu PiS w latach 2017–2023 było to, że w wielu sprawach szedł ręka w rękę z ówczesną PO, a nawet

Elektorat Konfederacji jest na Mateusza Morawieckiego uczulony, a tym bardziej Grzegorz Braun, dla którego były premier to uosobienie globalizmu i synonim uzależnienia Polski od Unii Europejskiej

ścigał się z nią na radykalizm. Chodzi przede wszystkim o dwa okresy, o których właśnie w swojej wypowiedzi były premier wspomina: czas pandemii oraz wojnę na Ukrainie. Faktem jest, że w obu tych sprawach polityka rządu Mateusza Morawieckiego była odbiciem oczekiwań Platformy Obywatelskiej, która jedynie zawsze retorycznie chciała więcej. Odkładając jednak na bok retorykę – rząd PiS prowadził w latach 2020–2022 politykę sanitaryzmu, zgodną z linią PO, a w latach 2022–2023 politykę maksymalnie proukraińską, także zgodną z linią największej ówczesnej partii opozycyjnej.

Czy zatem teoretycznie możliwy jest scenariusz, w którym bez wojny te dwie formacje łączą siły i tworzą wspólny rząd? Wydaje się to dzisiaj wariantem z dziedziny fantastyki politycznej. Ale czy na pewno? Gdyby przyjąć, że trwa obecny układ, a więc na czele PiS stoi Jarosław Kaczyński, a na czele KO Donald Tusk, na sojusz raczej nie ma co liczyć. Nie tylko dlatego, że obaj panowie ze wzajemnego zwalczania się zrobili rdzeń firmowanej przez siebie polityki i ustawili siebie nawzajem w partyjnym przekazie w roli uosobienia zła, lecz także z powodu prywatnej animozji – a ta jednak również ma w polityce znaczenie. Prezes PiS winiwszak przewodniczącego KO za śmierć swojego brata.

PIS: UNIKNĄĆ KOALICJI Z KONFEDERACJĄ

Gdyby jednak z tej układanki zniknął choć jeden z panów – układ może się zmienić. Wynik wyborów w 2027 r. jest mocno niepewny, a przyjmowany jeszcze kilka miesięcy temu jako oczywistość wariant sojuszu PiS z Konfederacją wcale nie jest gwarantowany. Choć ataki ze strony PiS na ugrupowanie Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka nieco osłabły, to z punktu widzenia strategii Jarosława Kaczyńskiego nic się nie zmieniło: nadal pełna koalicja rządowa z Konfederacją nie jest dla niego wariantem wymarzonym, a nawet więcej – można założyć, że jest wariantem, którego prezes PiS będzie się starał na wszelkie sposoby uniknąć. Można sobie zatem wyobrazić, że w pierwszej kolejności nastąpi próba dokooptowania do większości brakujących posłów – czy to z klubu Konfederacji, czy Konfederacji Korony Polskiej, czy ewentualnie obecnych koalicjantów KO – jeśli znajdą się w Sejmie – czy właśnie nawet z klubu KO. Jeżeli ubierze się to w odpowiednią retorykę, to chętni mogą się znaleźć mimo radykalnie głębokiego podziału. Takie pojedyncze przypadki już były, choć nie dotyczyły samej PO – by wspomnieć przede wszystkim poseł Monikę Pawłowską, która dołączywszy do klubu PiS, pracowicie kasowała swoje dawne wpisy z czerwoną błyskawicą, a na pytanie o dawną aktywność w SLD i Wiośnie Roberta Biedronia dostawało się od niej w mediach społecznościowych bana.

Jeżeli rację ma cytowany przeze mnie na początku poseł Konfederacji i jeśli faktycznie zrealizuje się wariant z odejściem Mateusza Morawieckiego z PiS, to zrobi się naprawdę ciekawie. Nie sposób powiedzieć, jak zachowa się wówczas twardy elektorat partii Jarosława Kaczyńskiego – wszak Morawiecki był wielokrotnie przedstawiany jako filar i znakomity premier. Jego ewentualne nowe ugrupowanie może utknąć na poziomie poniżej progu wyborczego, ale możliwe, że głosy na PiS by się podzieliły, a wówczas moglibyśmy mieć w Sejmie po umownej prawej stronie przedstawicieli PiS, partii Morawieckiego, KKP Grzegorza Brauna oraz Konfederacji Bosaka i Mentzena. Po drugiej stronie mogłyby być KO oraz Nowa Lewica – sondaże nie dają na razie konsekwentnie szans na przekroczenie progu PSL oraz Polsce 2050. Przy takim układzie Kaczyński miałby zarazem łatwiej i trudniej. Łatwiej – bo prościej byłoby dobierać sojuszników z bardziej rozdrobnionych reprezentacji innych ugrupowań lub żonglować nimi w roli koalicjantów. Trudniej – ponieważ siłą rzeczy reprezentacja PiS byłaby mniejsza, a więc więcej głosów brakowałoby do większości. Jeżeli dzisiaj z szacunków wynika, że jej rozmiar byłby najwyżej taki, jak w wyniku ostatnich wyborów, czyli byłoby to ok. 170 posłów, to przy podziale



Trwają spekulacje, czy Mateusz Morawiecki wystąpi z PiS i stworzy własną partię FOT. MARCIN OBARA/PAP

eprasa.pl 7deb5b8e48



i odejściu Mateusza Morawieckiego od tej liczby trzeba by odjąć zapewne przynajmniej kilkanaście mandatów.

Czy jednak nie jest możliwe, że przy takim składzie Sejmu doszłoby do kopernikańskiego przewrotu i ugrupowanie Mateusza Morawieckiego stałoby się sojusznikiem Koalicji Obywatelskiej? Klub KO byłby w sytuacji podobnej jak PiS po wyborach z października 2023 r. – byłby największy, ale nie mógłby samodzielnie rządzić. Gdyby skład Sejmu okazał się balansować na ugrupowaniu środka, stworzonym przez Morawieckiego, jego wsparcie byłoby dla KO bardzo cenne i pozwoliłoby utrzymać władzę. Z kolei drugiej stronie były szef rządu mógłby postawić zaporowy warunek, co do którego nie byłoby zgody pozostałych koniecznych koalicjantów, czyli dwóch Konfederacji – ten mianowicie, że miałby wrócić na stanowisko premiera. Trudno sobie wyobrazić, aby zgodzili się na to politycy Konfederacji, której elektorat jest na Morawieckiego uczulony, a tym bardziej Grzegorz Braun, dla którego polityk ten to uosobienie globalizmu i synonim uzależnienia Polski od Unii Europejskiej.

SYTUACJA PODBRAMKOWA

Bez trudu można sobie wyobrazić, jaką opowieść zaserwowaliby wyborcom politycy koalicji KO-Morawiecki-Lewica. Usłyszelibyśmy, że to kwestia odpowiedzialności za Polskę, trochę jak w hipotetycznej sytuacji wojennej, wspomnianej przez Morawieckiego w rozmowie ze Sroczyńskim. Za plecami Grzegorz Braun, tuż obok nieodpowiedzialny fiskalnie Sławomir Mentzen, a na czele PiS starzejący się Jarosław Kaczyński, który pewnie z powodu wieku – jak argumentować by mógł Morawiecki – nie wykluczałby koalicji z nimi dwoma, gdyby większość udało się osiągnąć dzięki dokooptowaniu do niej Morawieckiego i jego posłów. Ale to się na szczęście nie stanie, ponieważ w tej podbramkowej sytuacji Morawiecki wybiera odpowiedzialność i mimo różnic decyduje się na wejście do rządu z KO. Choć pewnie niekoniecznie z Tuskiem jako premierem – to już mogłoby nie przejść. Ale pamiętać trzeba, że panowie się znają. W końcu Mateusz Morawiecki był swego czasu doradcą Donalda Tuska.

Żeby taki scenariusz w ogóle był prawdopodobny, musiałoby dojść do wyjścia Morawieckiego i jego ludzi z PiS, a następnie w Sejmie musieliby się oni znaleźć w XI kadencji w liczbie większej niż dwie czy trzy osoby. Lecz wybiegnijmy myślą dalej, poza czas obecności w polityce obu arcyrywali – Tuska i Kaczyńskiego. Nie trzeba sięgać dziesięciolecia naprzód, wystarczy pomyśleć o wyborach w 2031 r. Donald Tusk miałby wtedy 74 lata, a Jarosław Kaczyński 82 lata. Obydwaj oni mogą już nie stać na czele ich formacji, za to można założyć, że pogłębią się do tego czasu tendencje, które dzisiaj zaznaczają się coraz mocniej.

Być może najważniejszą z nich widać w dwóch sondażach, które w ostatnich tygodniach przyniosły niemal identyczny wynik. Pierwszy był sondaż ośrodka Eurobazooka dla francuskiego magazynu „Le Grand Continent", a drugi – IBRiS dla Wirtualnej Polski. W obu tyle samo, czyli 25 proc. respondentów, chce opuszczenia przez Polskę Unii Europejskiej. To radykalny wzrost tej grupy w stosunku do stanu, który w naszym kraju utrzymywał się przez lata. Można raczej bezpiecznie założyć, że grupa zwolenników polexitu będzie się powiększać, bo za rogiem czekają nas coraz większe koszty absurdalnych unijnych polityk, przede wszystkim polityki klimatycznej z ETS2 czy dyrektywą budynkową. Co za tym idzie, będzie najpewniej rosło poparcie dla ugrupowań stawiających na coraz bardziej radykalny kurs względem UE. PiS, mimo retoryki, był zawsze i pozostanie ugrupowaniem jednoznacznie opowiadającym się za członkostwem w Unii Europejskiej. Dlatego nie jest wcale nie do wyobrażenia, że partie głównego nurtu – Koalicja Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość – już bez swoich obecnych liderów postanowią połączyć siły, wspólnie jednocząc się przeciwko antyunijnym „populistom". Jeśli prześledzić praktykę polityki PiS, a także niektóre wątki retoryki tej partii, to okaże się, że pole do porozumienia jest. Zwłaszcza wobec egzystencjalnego zagrożenia dla głównego nurtu, które stanowią partie pochodzące spoza niego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7deb5b8e48



FOT. TOMASZ TOŁŁOCZKO

Demokracja w Polsce jest zagrożona

Z Bogdanem Święczkowskim, prezesem Trybunału Konstytucyjnego

rozmawia Karol Gac

eprasa.pl 7deb5b8e48

KAROL GAC: Mija rok, od kiedy objął pan urząd prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Jakie były największe wyzwania?

BOGDAN ŚWIĘCZKOWSKI: Przyszło mi objąć urząd prezesa Trybunału w momencie, kiedy ustrojowy zamach stanu, skierowany m.in. wobec TK, przełożył się na konkretne działania, w tym finansowe, związane z brakiem środków na bieżące funkcjonowanie Trybunału, w tym na wynagrodzenia sędziów. Rok ten to czas intensywnej pracy wszystkich sędziów Trybunału Konstytucyjnego nad podjęciem wielu istotnych orzeczeń czy rozstrzygnięć, mających znaczenie dla państwa polskiego i jego obywateli. Pomimo braku środków finansowych Trybunał pracuje i orzeka.

Dużym wyzwaniem było też funkcjonowanie TK w ograniczonym składzie wskutek niewybierania nowych sędziów przez Sejm, a także bezprawne działania polegające na niepublikowaniu orzeczeń TK przez Rządowe Centrum Legislacji podległe premierowi. Co istotne, wbrew działaniom władz duża część sądów w Polsce wykonuje orzeczenia Trybunału.

Był to więc niezwykle trudny rok z powodu umyślnych działań władzy wykonawczej i ustawodawczej, które miały doprowadzić do wyeliminowania kilku konstytucyjnych organów w Polsce, w szczególności Trybunału, Krajowej Rady Sądownictwa i Sądu Najwyższego, a przynajmniej części jego izb. Nie było dnia, w którym nie spotkaliśmy się z kolejnym elementem ustrojowego zamachu stanu.

Na początku roku złożył pan zawiadomienie do prokuratury w związku z przeprowadzeniem zamachu stanu w Polsce. Faktycznie mieliśmy z nim do czynienia? Jak wobec tego ocenia pan stan demokracji w Polsce?

Gdybym nie uważał, że w Polsce doszło do ustrojowego zamachu stanu, który w mojej ocenie ciągle trwa, to nie złożyłbym zawiadomienia o uzasadnionym podejrzeniu popełnienia przestępstwa. To był „rejtanowski gest" prezesa Trybunału jako przedstawiciela organu, którego zadaniem jest ochrona Rzeczypospolitej Polskiej i jej konstytucji, a także dbanie o to, aby była ona najwyższym prawem. Złożyłem zawiadomienie również po to, żeby w przyszłości żadna z osób, które uczestniczą w tych działaniach lub zaniechaniach, nie mówiła, że nie miała o tym świadomości. Są osoby kierujące grupą, która przeprowadza ten zamach, ale są też setki lub tysiące osób, które biorą w tym udział. Do lutego 2025 r. mogły powiedzieć: „Nie zdawałem sobie z tego sprawy", ale od mojego zawiadomienia każda z tych osób wie, że jeżeli podejmuje tego rodzaju działania lub zaniechania prowadzące do zmiany ustroju Rzeczypospolitej Polskiej, to uczestniczy w zamachu stanu.

W sytuacji, gdy sprawujący władzę próbują zmieniać ustrój pozaprawnymi metodami, demokracja w Polsce jest jak najbardziej zagrożona. Na pewno nie jest to już demokracja liberalna w rozumieniu tej opisanej w konstytucji. Trwa proces zawłaszczania państwa przez grupę rządzących i wasalizacji Polski wobec struktur UE, które wbrew traktatom europejskim przejmują kompetencje poszczególnych krajów Unii.

Jeżeli próbuje się uchwałami zmieniać konstytucję czy ustawy, jeżeli próbuje się wmówić obywatelom, że prawo tworzone przez instytucje międzynarodowe, np. przez UE, jest prawem nadrzędnym nad konstytucją, to oczywiste są wątpliwości, czy mamy jeszcze do czynienia z demokratycznym państwem prawa czy też jakąś inną formą władzy, np. oligarchią.

Był pan w przeszłości prokuratorem krajowym. Czy osoby, które pan wskazał w swoim zawiadomieniu, powinny zostać osądzone? To się stanie, jeżeli zmieni się władza w Polsce?

Celem mojego zawiadomienia było wyjaśnienie, czy do tych przestępstw doszło. W moim przekonaniu tak, więc stoję na stanowisku, że sprawcy powinni ponieść bardzo dotkliwą odpowiedzialność karną. Mówimy przecież o przestępstwach zagrożonych karą dożywotniego pozbawienia wolności. Poza zdradą ojczyzny to jest najpoważniejsze przestępstwo. Wierzę, że gdy w Polsce zostaną przywrócone rządy prawa, to te osoby poniosą odpowiedzialność karną. Jeżeli nie dojdzie do ich rozliczenia, to Polska przestanie się rozwijać i stanie się swego rodzaju latyfundium dla różnych grup interesów.

Wspomniał pan o pozbawieniu sędziów TK wynagrodzenia. Jak się do tego odnoszą?

Sędziowie TK to wybitni przedstawiciele polskiego środowiska prawniczego o wysokim stopniu etyki oraz moralności. Wbrew oczekiwaniom rządzących nie ulegli presji. Zadeklarowali, że będą wykonywać swoje obowiązki dla Rzeczypospolitej, nawet nie otrzymując wynagrodzeń. Nie próbowali w żaden sposób ograniczyć swojej aktywności, a wręcz ją zwiększyli. Plan, aby pozbawiając sędziów wynagrodzeń, doprowadzić do paraliżu Trybunału, spalił więc na panewce. Sędziowie ciężko pracowali przez cały rok. Efekty tej służby dla państwa już widać w statystykach.

Jak pan patrzy na stan wymiaru sprawiedliwości? Mija dekada sporu o tzw. praworządność. Z perspektywy przeciętnego człowieka wygląda to tak, że spór się tylko pogłębia. Nie mamy do czynienia z węzłem gordyjskim? Czy to wszystko nie zaszło już za daleko?

Geneza problemu, a więc początek zła sięga jeszcze 1989 r. i „grubej kreski", kiedy zaniechano reformy wymiaru sprawiedliwości w Polsce. Próby gruntownych zmian, podjęte w 2017 r. przez ówczesnego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę i rząd, zostały powstrzymane m.in. przez weta prezydenta. A to, co dzieje się od 2023 r., to jeden wielki chaos i klęska władz w zakresie wymiaru sprawiedliwości. Dlatego w przyszłości konieczne są jego głęboka reforma i uzdrowienie. Powinno temu towarzyszyć rozliczenie osób uczestniczących w ustrojowym zamachu stanu, poczynając od odpowiedzialności dyscyplinarnej i finansowej, a kończąc na karnej. W przeciwnym razie nie przywrócimy funkcjonowania państwa prawa i konstytucji.

Na ile jest to kwestia polityczna, a na ile po prostu kwestia samego środowiska?

Jedno i drugie. Sędziowie i sądy są także narzędziem polityków, którzy wykorzystując ich, realizują własne cele taktyczne i strategiczne. Kto na tym korzysta? Cui bono? Takie pytanie zadaje każdy prokurator, prowadząc śledztwo. Moim zdaniem rządzący, poddając się bezprawnemu dyktatowi unijnych instytucji, prowadzą do zmarginalizowania Polski jako suwerennego państwa.

W stan spoczynku przeszli niedawno prof. Krystyna Pawłowicz, a także dr hab. Michał Warciński. To oznacza, że w TK liczba wakatów wynosi sześć. Czy nie oznacza to paraliżu Trybunału, jeśli chodzi o rozpatrywanie spraw w pełnym składzie?

Żałuję, że odeszło dwoje wybitnych prawników. Niezależnie od wszystkich

eprasa.pl 7deb5b8e48

przeszkód, Trybunał będzie jednak funkcjonował dalej. Większość spraw może być rozpoznana w składach trzy- i pięcioosobowych. Oczywiście zależy mi, żeby TK orzekał w pełnym składzie, dlatego cały czas namawiam rządzących do wyboru nowych sędziów, którzy wniosą do Trybunału swoją wrażliwość prawną.

Ostatnie sygnały z obozu władzy są takie, że w styczniu zostaną podjęte decyzje w tej sprawie.

Liczę na to, ponieważ jestem człowiekiem o nastawieniu propaństwowym. Mam nadzieję, że Sejm wybierze nowych sędziów, a następnie złożą oni ślubowanie przed prezydentem oraz stawią się w Trybunale. Są to warunki niezbędne, aby objęli urząd. Nie widzę problemu, by współpracować z ludźmi, którzy będą rzetelnie realizować swoje konstytucyjne obowiązki i nie będą prowadzić polityki. Nowa wrażliwość prawna na pewno przyniesie pozytywne efekty. Nie pozwolę natomiast na to, żeby Trybunał stał się polem walki politycznej. W Trybunale Konstytucyjnym nie ma miejsca dla polityków w togach. Oczekuję, że nowi sędziowie będą rzetelnie wykonywać swoje obowiązki i służyć Rzeczypospolitej, a nie interesom określonej grupy politycznej.

Mówi pan, że jest pan propaństwowcem. Zapewne zgodzimy się, że sytuacja, w której Sejm celowo nie wybiera sędziów do Trybunału Konstytucyjnego, nie jest optymalna. To efekt ułomności naszej konstytucji czy jednak mamy tu do czynienia z czymś więcej?

To drugie. Uważam, że jest to działanie stricte polityczne i wręcz kryminalne. Twórcom konstytucji z 1997 r. nie przyszło do głowy, że choć zgodnie z nią orzeczenia Trybunału są ostateczne i wymagają bezzwłocznej publikacji, to ktoś, w tym wypadku premier Donald Tusk, uzna, że konstytucja nie obowiązuje, i nie będzie publikował orzeczeń, a Sejm nie będzie wybierał sędziów wbrew konstytucyjnemu obowiązkowi.

To ostatni wątek. 18 grudnia Wielka Izba TSUE wydała wyrok w sprawie skargi Komisji Europejskiej na Polskę. Zdaniem TSUE „polski Trybunał Konstytucyjny nie spełnia wymogów niezawisłego i bezstronnego sądu". Tym samym TSUE w całości uwzględnił skargę KE i stwierdził, że Polska uchybiła swoim zobowiązaniom wynikającym z prawa Unii. TSUE uznał m.in., że działania polskiego TK naruszyły zasadę skutecznej ochrony sądowej, a także pogwałciły pierwszeństwo, autonomię, skuteczność oraz jednolite stosowanie prawa UE. TSUE wskazał również na naruszenie wiążącego charakteru jego własnych orzeczeń. Co pan na to?

Geneza problemu sięga jeszcze 1989 r. i „grubej kreski", kiedy zaniechano reformy wymiaru sprawiedliwości w Polsce

Decyzja TSUE zapadła całkowicie poza kompetencjami tego organu. Do TSUE nie należy ocena polskiej konstytucji ani polskiego Trybunału Konstytucyjnego. Najwyższym prawem w Rzeczypospolitej Polskiej jest konstytucja, a nie decyzje zagranicznych organów. Polska nie zrzekła się tego, wstępując do UE. Nie przekazała unijnym organom kompetencji dotyczących władzy sądowniczej i wymiaru sprawiedliwości.

Skarga KE z 2023 r. była reakcją na dwa wyroki Trybunału, który w 2021 r. uznał za niekonstytucyjne przepisy unijnych traktatów, podważając zasadę pierwszeństwa prawa UE i orzeczenia TSUE. To nie jest kolejna odsłona tego samego sporu, który trwa od lat, czyli próby zagarnięcia przez TSUE kolejnych kompetencji i zmuszenia państw członkowskich do uznania, że mamy prymat prawa unijnego nad konstytucją?

Zgodnie z europejskimi traktatami i polską konstytucją pierwszeństwo prawa międzynarodowego dotyczy jego kolizji z ustawami. Tego nie kwestionują Trybunał Konstytucyjny ani przedstawiciele doktryny czy praktyki polskiego prawa. Podpisując traktaty, jako państwo oddaliśmy część swojej suwerenności – uprawnień. Jednak to konstytucja jest w Polsce najwyższym prawem i nigdy od tego nie odstąpiliśmy. I to Trybunał Konstytucyjny ma kompetencje do oceniania zgodności umów międzynarodowych z polską konstytucją. Tego dotyczą orzeczenia TK, o których pan wspomina. Były wyrokami zakresowymi. Trybunał ocenił zgodność przepisów traktatowych z polską konstytucją, podtrzymując 20-letnią linię orzeczniczą.

Są wprawdzie kraje Unii Europejskiej, w których w konstytucjach wpisano wyższość prawa unijnego nad ich konstytucjami. Obywatele tych państw mają do tego prawo. Zrzekają się jednak w ten sposób najistotniejszej części swojej suwerenności. Nasza obecna konstytucja nie zakłada jednak prymatu nad nią prawa międzynarodowego. Dopóki konstytucja nie ulegnie zmianie, dopóty kwestionowanie jej postanowień, w tym funkcjonowania organów konstytucyjnych, może oznaczać wyłącznie chęć ograniczenia suwerenności państwa polskiego i jego niepodległości.

To mocna ocena. Czy to orzeczenie, z punktu widzenia Trybunału Konstytucyjnego, ma jakiekolwiek znaczenie?

Dla Trybunału Konstytucyjnego – nie, ponieważ TK działa na podstawie konstytucji i ustawy, która normuje jego funkcjonowanie. Decyzje TSUE nie mają żadnego wpływu na funkcjonowanie Trybunału. Gdyby było inaczej, powstałby poważny problem w relacjach Polski z UE. Być może przyjdzie także czas, że polski Trybunał Konstytucyjny pochyli się nad konkretnymi decyzjami czy działaniami pozasądowego organu, jakim jest TSUE, jeśli uzurpowałby sobie prawo, aby być sądem nad Polską i polską konstytucją.

Zgodnie z unijnymi przepisami Polska powinna niezwłocznie zastosować się do wyroku TSUE. Rządzący zapewne będą chcieli wykorzystać to orzeczenie. Mogę się założyć, że od razu usłyszymy, iż Trybunał nie jest już Trybunałem itd. Nie obawia się pan, że to pogłębi jeszcze obecny chaos?

Poradzimy sobie. Na straży konstytucji oraz suwerenności i niepodległości państwa polskiego stoi prezydent RP. Jestem przekonany, że nie pozwoli na to, aby organy ponadnarodowe próbowały nam meblować ustrój państwa i prowadziły wrogie wobec Polski działania, które są sprzeczne z naszą konstytucją i racją stanu.

Rozmawiamy na przełomie roku. Czego życzy pan sobie i Trybunałowi, jeśli chodzi o 2026 r.?

W nadchodzącym roku składam Państwu najserdeczniejsze życzenia, wszelkich łask Bożych oraz zdrowia, bo ono jest najważniejsze. Niech rok 2026 przyniesie nam spokój i stabilizację. Życzę też sobie, Trybunałowi i wszystkim Polakom życia w państwie, w którym jest przestrzegana konstytucja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7deb5b8e48

ZDOBYWCZYNI OSCARA®
JESSICA CHASTAIN

ZDOBYWCA ZŁOTEJ PALMY
MICHEL FRANCO

GENIALNY TANCERZ
ISAAC HERNÁNDEZ

DREAMS

BEZWZGLĘDNA DOMINACJA CZY ROMEO I JULIA?



„FASCYNUJĄCY I SZOKUJĄCY”
The Hollywood Reporter

★★★★
„PORUSZAJĄCY”
The Guardian

„PROWOKUJĄCY”
VARIETY

„NAŁADOWANY ZMYSŁOWYM NAPIĘCIEM”
FILMWEB / Adam Kruk

Berlinale 75 Internationale Filmfestspiele Berlin Competition

TYLKO W KINACH od 9 STYCZNIA

ZOBACZ ZWIASTUN ▶

eprasa.pl 7deb5b8e48

Zjedzone dziecko rewolucji



Krystian Kratiuk

Cokolwiek by sądzić o sprawie Marcina Kąckiego i o nim samym, głos ze środka redakcji „Gazety Wyborczej” i ze środka rewolucji MeToo ma swoją wagę

Minęły prawie dwa lata od oskarżenia przez dziennikarkę Karolinę Rogaską reportera „Gazety Wyborczej” Marcina Kąckiego. Poszło o rzekome – nazwijmy to delikatnie – nieobyczajne zachowania, których miał się dopuścić w jej towarzystwie. Kącki wraca teraz z książką opisującą tamtą sprawę, ale – co znacznie ciekawsze – również swoje środowisko, kolegów z redakcji i stadne reakcje znajomych i nieznajomych. W niniejszym tekście zajmę się właśnie tym wątkiem, gdyż o nieznanych mi szczegółach relacji Kącki – Rogaska pisać nie chcę, to bowiem typowa sytuacja słowo przeciw słowu. Dodajmy tylko, że Kącki oskarżeniom zaprzecza, pisząc nawet, że to kobieta była wobec niego napastliwa, np. siadając mu na kolanach przy jego małoletniej córce.

Zresztą w nowej książce Marcina Kąckiego sprawa oskarżenia ze strony Rogaskiej wcale nie jest najciekawsza. Niezwykle interesujący jest natomiast proces degeneracji mediów wydawanych przez wielkie korporacje, który redaktor „GW” widział od środka i który obrazowo opisuje.

MICHNIK SCANCELOWANY

Zacznijmy od krótkiego przypomnienia – Marcin Kącki to doświadczony reporter i redaktor mediów Agory, mający na koncie godne uznania śledztwa dziennikarskie, m.in. szokujące opisy pedofilskich praktyk Wojciecha Kroloppa, dyrektora chóru Poznańskie Słowiki. Wiele spośród jego publicystycznych, literackich i dramaturgicznych poglądów – na temat Kościoła, mężczyzn, prawicy itp. – można jednak uznać za wyjątkowo wredne. Pozostaje bowiem człowiekiem o tożsamości głęboko lewicowej. Widać to także w książce „Bez znieczulenia”, którą opublikował własnym nakładem, nie znalazłszy wydawnictwa chcącego wziąć to na siebie.

Z tego powodu to właśnie insiderska wiedza i refleksje Kąckiego wydają się ciekawe, jego książka nie stanowi bowiem prawicowej krytyki mediów Michnika i jego środowiska, ale głos z wewnątrz.

A jest to głos utyskujący m.in. na praktykę brand safety – a więc działanie redakcji mające zapewnić, że nazwa danej firmy pojawia się w medium wyłącznie w „bezpiecznym” kontekście. Kącki wprost opisuje sytuację, jak koleżanki

eprasa.pl 7deb5b8e48



W nowej książce Marcina Kąckiego sprawa oskarżenia ze strony Rogaskiej wcale nie jest najciekawsza. Niezwykle interesujący jest proces degeneracji mediów wydawanych przez wielkie korporacje, który redaktor „GW" widział od środka i który obrazowo opisuje

FOT. PIOTR LAMPKOWSKI/SE/EAST NEWS

z portalu Gazeta.pl, a potem i szefowie proszą go o przearanżowanie strony głównej internetowej wersji „Wyborczej" tak, by zniknął z niej nieprzychylny tekst o Allegro. „Chodzi o brand safety. To nasz główny reklamodawca" – czyta w e-mailu. „Od dziś przestajemy pisać o tym, co godne potępienia, a ci, których nie potępimy, będą płacić nam pensje. I zapraszam wszystkich na mój jacht" – zgryźliwie komentuje autor.

Zwraca także uwagę na to, czym stają się media w dobie Internetu, gdy ich linią redakcyjną zaczynają de facto rządzić subskrybenci, terroryzujący redaktorów zapowiedziami rezygnacji z prenumeraty w rozhisteryzowanych komentarzach. „Kiedy »Wyborcza« w 2024 r. opublikowała po raz pierwszy od wyborów przegranych przez PiS tekst krytyczny wobec Rafała Trzaskowskiego, czytelnik, lub raczej prenumerator, o pseudonimie axolek napisał, ignorując nawet to, że Trzaskowski był wtedy u władzy: »Proszę się lepiej zająć aferami PiS! Nie życzę sobie atakowania opozycji demokratycznej z mojego abonamentu!«" – podaje jeden z wielu przykładów. Ale jeszcze ciekawiej o czytelnikach „GW" świadczy inny opis Kąckiego, z którego wynika, że czytelnicy subskrybenci wręcz zastraszyli zaproszonego na łamy „Wysokich Obcasów" przyrodnika, autora tekstu o kotach domowych, w którym ostrzegał, że puszczane wolno mordują w Polsce ok. 120 mln ptaków rocznie. Spotkał się z lawiną hejtu miłośników kotów… Ale żeby była jasność – Kącki chwali też swych kolegów – gdyż odmówili kiedyś publikacji nadesłanego przez czytelnika nekrologu… psa.

Ale to przykłady anegdotyczne. Poważniejsze są przykłady zmieniania redakcji w korporację: „Zarząd Agory chce dorzucić »Wyborczą« do portalu Gazeta.pl w ramach »optymalizacji na rynku cyfrowym i dalszego rozwoju branży«, co rozumieliśmy jako wywalenie części dziennikarzy, bo wyniki finansowe jak każdej na świecie gazety świecą na czerwono. I wybucha bunt, a intrygi i plotki prowadzą do paranoi – na stołówce uważamy, co mówimy, bo obok może zajadać się naszym strachem ktoś z Gazety.pl albo zarządu – i może to słuszne obawy, a może to tylko czarna dziura przerażenia. Nie chodzę już na kluczowe spotkania

eprasa.pl 7deb5b8e48

redakcyjne, bo nie mogę patrzeć na ten strach, ale też słuchać o »ewaluacji« i »raportowaniu decyzji«, a za chwilę kolejne zwolnienia grupowe i każdy się modli, by przyszli po sąsiada".

Nie obeszło się też bez obrony czci Adama Michnika, którego Kącki uważa za swój wielki autorytet. Opisując sytuację, w której szefowie Agory odmówili spotkania z Michnikiem, pisze, że „to fascynujące, że człowiek, który walczył o wolną prasę, który nie dał się nawet komunie cwelić, a gen. Kiszczaka nazwał w liście spod celi »pustym jak ukraiński step durniem i świnią«, teraz musi prosić o spotkanie ludzi, o których historia i teraźniejszość nie wiedzą nic poza tym, że mają konta na LinkedIn". Michnika zresztą – jak pisze autor – również spotkał rodzaj cenzury we własnym medium, gdy jeden z redaktorów portalu „ukrył" tekst wywiadu z naczelnym, w którym ten chwalił Kościół i Jana Pawła II, gdyż „tak mu podpowiadało sumienie". „Oddaliśmy główną stronę »Wyborczej« w Internecie przestraszonym aktywistom, którzy od ginekologów z klauzulą sumienia różnią się tym, że wedle swojego sumienia dokonują aborcji tekstów" – komentuje.

KŁAMSTWA O IMIGRANTACH

Dostało się też redakcji OKO.press, którego redaktorzy według Kąckiego boją się publikować treści niezgodne z oczekiwaniami „środowisk aktywistycznych" – szczególnie tych związanych ze sprawą migracji na granicy polsko-białoruskiej. Szczegółowo opisuje np. interwencję słynnej grupy Granica w redakcji tego portalu. Chodzi o rozmowę Małgorzaty Tomczak z Witoldem Repetowiczem, ekspertem od dezinformacji, bezpieczeństwa i terroryzmu, publikującym w tygodniku „Do Rzeczy". Repetowicz ostrzegał, że kryzys na granicy jest narzędziem wojny hybrydowej Putina, a celem – skłócenie społeczeństwa i pogłębienie polaryzacji.

Oddajmy głos autorowi książki: „Tekst, jak powiedziała mi autorka, został zaakceptowany przez dwóch redaktorów, którzy ocenili go jako »ciekawy i mocno rezonujący«, ale po chwili od publikacji redakcja ściągnęła go z portalu, bo Repetowicz »obraża aktywistów«. Zaprzeczali, by była to cenzura ideologiczna, autorka przeczytała, że to »cenzura redaktorska« i nie ma możliwości wprowadzenia żadnych poprawek, bo tekst jest »nie do uratowania« […]. – W pewnym momencie jedna osoba z kierownictwa OKO.press napisała mi, że obawia się, iż tekst może wywołać wrażenie, że pomaganie na granicy nie ma sensu. Odebrałam to jako część większego procesu cenzurowania w OKO.press tekstów dotyczących migracji, czego doświadczałam przez kilkanaście miesięcy – mówiła mi Tomczak. – Moje artykuły i propozycje tekstów, np. o gangach, które tworzyły się w ośrodkach dla uchodźców, o nielegalności części działań aktywistów, o mieszaniu się działań przemytników i organizacji humanitarnych czy o mobbingu w jednej z grup aktywistów, były albo odrzucane, albo odkładane na wiele miesięcy »z przyczyn organizacyjnych«. Tomczak i dwoje jej znajomych dziennikarzy otrzymywali jednocześnie od aktywistów instrukcje, »o czym pisać nie mogą«, nocne SMS-y z informacjami, że »ten tekst nie powinien się ukazać, już interweniujemy w redakcji«, czy nawet groźby, że »ten materiał zostanie upier. olony«, a »takie teksty będą z OKO.press spadać«. W rozmowach między sobą aktywiści chwalili się też, że »udało im się zdjąć z łamów niekorzystne dla nich« publikacje. W końcu dziennikarze skontaktowali się z kierownictwem grupy Granica, której aktywiści słali te SMS-y, by poinformować, że nie będą tolerować takich zachowań, choć nie chcieli ich wtedy nagłaśniać, by nie szkodzić innym osobom, uczciwie działającym. W odpowiedzi dostali od Granicy dokument, w którym jasno wyłożono strategię wpływania na media. W raporcie tym napisano wprost, jak zdejmować (!) teksty, które nie służą sprawie aktywistów, w redakcjach".

Książka „Bez znieczulenia" wcale nie jest głównie o „Gazecie Wyborczej". Jest też przede wszystkim o ruchu MeToo, który ma na swoim koncie już wielu fałszywie osądzonych, w tym ofiary śmiertelne

O lewicowych aktywistach, z którymi autor zetknął się podczas swej pracy, pisze zresztą, że mają „wiarę religijną" w to, co robią, oraz że próbują stworzyć swoisty Kościół fałszywej empatii. I tu też podaje piorunujący przykład, o którym niby wszyscy wiedzieliśmy, ale informacja o tym od człowieka ze środka ma jednak inną wagę. Otóż pisze Kącki: „Empatia w połączeniu z zachowaniami zgodnymi z oczekiwaniami bańki społecznej też może prowadzić do krzywdy. Kiedy w 2020 r. zaczęła wzrastać w Warszawie liczba ataków seksualnych na kobiety w taksówkach na aplikacje, nie pisaliśmy w »Wyborczej« o pochodzeniu sprawców, którymi byli prawie wyłącznie cudzoziemcy ze Wschodu. Tak, baliśmy się represji wobec nich, zwłaszcza w social mediach. Także »Wysokie Obcasy«, które walczyły o poprawę losu kobiet, pomijały w artykułach o przestępczości w taksówkach problem różnic kulturowych. A zatem bezpieczeństwo kobiet poświęcaliśmy na rzecz poprawności politycznej i ze strachu przed atakiem aktywistów czy zarzutów o rasizm, choćby nieuzasadnionych". Sytuacja miała zmienić się dopiero w 2023 r.

HEJTERÓW POZNAJE SIĘ W BIEDZIE

Ale książka „Bez znieczulenia" wcale nie jest głównie o „Gazecie Wyborczej". Jest też przede wszystkim o ruchu MeToo, który ma na swoim koncie już wielu fałszywie osądzonych, w tym ofiar śmiertelnych. Jak Benny Fredriksson, szwedzki reżyser teatralny, który popełnił samobójstwo po tym, jak został oskarżony o nadużycia i surowo potępiony, zanim cokolwiek mu udowodniono. Presja medialna, izolacja i utrata reputacji okazały się dla niego nie do udźwignięcia, mimo że później żadne zarzuty się nie potwierdziły.

Publikacja Kąckiego to również bardzo ciekawe studium nienawiści, która wylała się na autora w mediach społecznościowych i tradycyjnych, włącznie z odcinaniem się od niego kolegów i koleżanek, dalszych i bliższych znajomych, nawet tych, którzy chwilę wcześniej gratulowali mu tekstu traktującego m.in. o relacjach z kobietami. Tekstu, który wzbudził reak-

eprasa.pl 7deb5b8e48



MARCIN KĄCKI „BEZ ZNIECZULENIA" DOM WYDAWNICZY PLUM 2025

cję wspomnianej na początku Karoliny Rogaskiej. Wspomina też o Szymonie Jadczaku, piszącym organizatorom festiwalu literackiego, na którego zaproszono Kąckiego, by go nie zapraszać, bo miał być „obrzydliwym molestatorem". A także – najwięcej – o stosunku do niego własnych kolegów z Instytutu Reportażu Mariusza Szczygła, który również zachwycił się literackim tekstem Kąckiego, ale dosłownie chwilę potem – na fali emocji społecznej w Internecie – przyłączył się do rytualnego potępienia kolegi.

Ciekawą psychologicznie, socjologicznie i literacko część książki stanowi też metoda Kąckiego, w końcu wziętego reportera, który postanowił skonfrontować się ze swoimi hejterami – również zupełnie mu nieznanymi – którzy np. życzyli mu śmierci. Dzwonił do nich i prosił o wyjaśnienia. Rozmawiał też np. z Iloną Łepkowską, która nie mając żadnych dowodów na rzekomą winę redaktora, również wydała na niego wyrok. To szczególnie pasjonująca lektura o mechanizmach powstawania masowego hejtu.

Autor opisuje też swoje boje ze zorganizowaną przez Agorę komisją mającą wyjaśnić jego sprawę oraz podaje kuriozalne przykłady podobnych komisji z innych miejsc na świecie. A także – co szczególnie ciekawe – reakcje lewicowych redakcji jak następująca, do której przytoczenia znów posłużę się dłuższym cytatem: „Małgorzata Tomczak, która pisała o aktywizmie w OKO.press, zaproponowała tej redakcji artykuł fact-checkingowy na temat mojej historii i analizę dezinformacji, która się wokół niej pojawiła. Ale OKO.press »nie widziało sensu takiego fact-checkingu«, choć opublikowało wtedy kilka tekstów wokół mojej sprawy, w tym feministyczny felieton wspomnianej Karoliny Felberg o moim narcyzmie. Ostatecznie jeden z redaktorów portalu dał Tomczak zgodę na napisanie takiego tekstu, mówiąc, że jest ciekaw, co tak naprawdę kryje się pod wszystkimi narracjami wokół mojej sprawy. Tomczak porozmawiała z kilkunastoma osobami i odkryła, że redaktor, którego »ciekawią wszystkie narracje«, jest prywatnie partnerem prawniczki z jednej z komisji compliance w Agorze, ale też komisji antymobingowej w OKO.press. A zatem redakcja pisząca o mobbingu, nadużywaniu władzy i stawiająca się zawsze po stronie ofiar, jak powiedziała mi Tomczak, nie widziała problemu w tym, że jej sprawy mobbingowe rozstrzyga partnerka jednego z jej pracowników. Ostatecznie Tomczak sama zarzuciła temat, bo – jak mi powiedziała – poziom obłudy w tej sprawie jest nie do ogarnięcia".

REWOLUCJA MUSI ZABIJAĆ

Kącki uważa się za ofiarę rewolucji MeToo, który to ruch jednak… popiera. Ale bez wypaczeń. Z książki wynika jednak, że nie popiera rewolucji. To warte odnotowania, bo prominentny do niedawna członek lewicowego dziennikarskiego establishmentu zauważył, do czego prowadzi to, przed czym prawica od dawna przestrzega. Cytuje m.in. Joannę Krakowską, lewicową krytyczkę kultury, która w 2017 r., gdy w Polsce właśnie na fali MeToo pojawiły się pierwsze oskarżenia, napisała: „Mamy, proszę państwa, rewolucję, a niestety rewolucje są zawsze bardzo nieprzyjemne. Pociągają za sobą ofiary, także niewinne, zjadają własne dzieci, zostawiają spaloną ziemię i psują stosunki społeczne".

Ale jeszcze bardziej szokują Kąckiego – i mnie również – słowa Sławomira Sierakowskiego, które przytacza: „Nawet jeśli pojawia się błąd, bo ktoś został źle i za szybko oceniony, to nie róbmy z tego »pars pro toto« dowodu na to, że »cancel culture« jest zła. Jak chcemy dać głos wykluczanym dotąd kulturom, jednostkom i podmiotom, to dajmy im też prawo i wolność, żeby zrobić czasem coś głupiego. Jeśli jednemu czy drugiemu facetowi stanie się krzywda po 5 tys. lat patriarchatu, bo został źle potraktowany przez MeToo, to nie jest to żaden problem. Albo jak jeden czy drugi biały będzie przy okazji skancelowany. To jest nic w porównaniu do Holokaustu rdzennych Amerykanów czy niewolnictwa".

Kącki komentuje: „Fascynujące, że Krakowska, choć bardziej wprost Sierakowski niczym Robespierre i Saint-Just powtarzają – w XXI w. – że jednostka nie ma znaczenia w obliczu szczęścia mas, że »jeden czy drugi«, czyli jednostki, znów się nie liczy, bo przecież ponownie chodzi o szczęście wszystkich, w przyszłości, i te jednostki to kolejny pył na wietrze zmian". I dodaje: „Gdy przeczytałem słowa Sierakowskiego, zrozumiałem też, dlaczego tak łatwo przyszło mu ogłosić zbiórkę na drona [Sierakowski urządził zbiórkę na drona dla Ukraińców – przyp. K.K.]. Gdyby uderzył w sklep, można by powiedzieć tym, co się złożyli, że przecież 20 niewinnych ofiar to nic w porównaniu z tym, że udało się zabić 200 Ruskich, którzy mordują Ukraińców".

Znamienne, że dopiero po osobistym doświadczeniu tej fali hejtu lewicowy reporter przyznaje – rzecz jasna nie wprost – rację konserwatystom, z definicji wrogom rewolucji, pisząc: „Jean-Paul Marat też na początku żądał kilku, ale potem się rozkręcił i chciał 100, a gdy ich ścięto na gilotynie, 100 tys. głów, bo jak pisał Joseph de Maistre, »rewolucje rozpoczęte choćby przez najmądrzejszych w imieniu niewinnych i wzgardzonych zawsze kończą szaleńcy«, bo przecież ta matka wszystkich rewolucji, czyli francuska, która nie działała w imieniu rdzennych mieszkańców ani przeciw patriarchatowi, a nawet kobiety dalej poniewierała, też miała piękne i lekkie hasła na początku, ale od razu zaczęła się od scen, które dzisiaj kopiują scenarzyści slasherów".

Marcin Kącki, opisując rzeczywistość społeczną XXI w. – i dostrzegając ją jeszcze wyraźniej po tym jak sam, wedle swej relacji, padł ofiarą rewolucji – wspomina też książkę „Nowy wspaniały świat" Aldousa Huxleya, zauważając, że ten opisał przyszłość trafniej niż Orwell. Wśród wymienionych przezeń dowodów na tę tezę są i następujące: „Szekspira nie chcą dzisiaj grać aktorki, bo to gloryfikacja patriarchatu, a seks zdaniem pokolenia Z jest po prostu niebezpieczny […]. Rozrywka, przed którą przestrzegał Huxley, czyli czuciofilmy produkowane taśmowo, to przecież Netflix i inne streamingi, a substytut przyjaźni to psychoterapeuci".

I zauważa, że „antagonistami są u Huxleya religijni ludzie z marginesu, którzy nie kontrolują seksu ani miłości, mają dzieci, chore i zdrowe". O tak, to się również sprawdziło. Co – o paradoksie! – potwierdza książka zdeklarowanego lewicowca, który lewicy nie porzucił, ale został porzucony, zjedzony, zmielony, strawiony i wypluty przez nią.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 7deb5b8e48



Pokolenie XXL

Radosław Wojtas

Co trzeci polski ośmiolatek waży za dużo. Prawie połowa ma podwyższony cholesterol całkowity. Pod względem problemu otyłości wśród najmłodszych zajmujemy ósme miejsce na kontynencie, ale jeśli nic z tym nie zrobimy, to w tym niechlubnym rankingu będziemy szli w górę. Polskie dzieci tyją najszybciej w Europie – alarmują eksperci

FOT. ADOBE STOCK

Wyobraźmy sobie szkolną klasę liczącą 30 uczniów. Dziesięcioro z nich już na starcie życia dźwiga bagaż, który – jeśli nic się nie zmieni – może skrócić ich życie, pogorszyć jego jakość, skazać na wieloletnią walkę z chorobami metabolicznymi. Z kraju, w którym jeszcze w latach 90. notowano relatywnie niskie wskaźniki nadwagi, „awansowaliśmy" do pierwszej dziesiątki państw Europy Zachodniej, w których problem otyłości wśród dzieci jest najpoważniejszy. Wyprzedzamy w tym samobójczym wyścigu kraje, które tradycyjnie kojarzyły się z otyłością, a gonimy „liderów" takich jak Wielka Brytania czy Grecja.

Alarmujący trend potwierdzają różne badania, w tym szeroko zakrojone analizy prowadzone w ramach programów: międzynarodowego Childhood Obesity Surveillance Initiative (COSI) i polskiego Diagnoza-Interwencja-Nadciśnienie--Otyłość (DINO-PL) realizowanego przez Instytut Matki i Dziecka (IMiD). Na grudniowej konferencji „Zdrowie dzieci w Polsce 2021–2025 – wiedza, która zmienia praktykę" przedstawiono raport podsumowujący kilkuletnie badania, które objęły kilkanaście tysięcy dzieci. Najnowsze zebrane dane pochodzą z lat 2022–2023 i są o tyle cenne, że po pierwsze obejmują dużą grupę, bo 6464 uczniów klas I–III, a po drugie deklaracje dotyczące np. aktywności fizycznej skonfrontowano z badaniami pomiarowymi. To pokazało, że rodzice nie zdają sobie sprawy z trybu życia swoich dzieci, w którym jest coraz mniej ruchu i spokojnego snu.

PROBLEM WAGI CIĘŻKIEJ

Dokładne dane gromadzone w ramach COSI pokazują, że od 2016 r., kiedy to Polska dołączyła do tego programu, problem otyłości wśród dzieci wczesnoszkolnej się nasila. I tak w 2016 r. nieprawidłowo wysoka waga dotyczyła 30,7 proc. ośmiolatków, w 2018 – 32,2 proc., a w roku 2021 – 35,3 proc. Przyspieszenie, spowodowane pandemią COVID-19, udało się opanować, ale nadal trend jest niepokojący. Najświeższe dane – z lat 2022–2023 – wskazują, że problem dotyczy 32,5 proc. dzieci, czyli nieco więcej niż przed pandemią. Przy czym sytuacja wśród dziewczynek uległa nieznacznej poprawie (29,1 proc. w roku 2016 i 28,7 proc. w latach 2022–2023), ale statystyki wśród chłopców dość wyraźnie się pogorszyły (z 32,4 proc. na 36,5 proc.).

– Mamy stały trend wzrostowy, co oznacza, że co trzeci chłopak w Polsce i co czwarta dziewczynka ośmioletnia to są dzieci z nieprawidłowo wysoką masą ciała. Co piąty chłopiec jest otyły i co dziesiąta dziewczynka. To są dane, które wymagają podjęcia działań interwencyjnych – mówiła podczas konferencji prof. Anna Fijałkowska, lekarz internista i kardiolog, zastępca dyrektora do spraw nauki Instytutu Matki i Dziecka.

Porównujemy tu dane dotyczące ośmiolatków, bo dzieci w tym wieku ujęte były we wszystkich badaniach COSI w Polsce. Z wiekiem problem otyłości jest częstszy. I o ile nieprawidłowo wysoka masa ciała dotyczy 27,6 proc. młodych Polaków rozpoczynających naukę w szkole, o tyle już po dwóch latach odsetek ten wynosi 34,8 proc. Dopiero w wieku nastoletnim sytuacja się popra-

eprasa.pl 7deb5b8e48

wia, niemniej jednak nadwaga na etapie wczesnoszkolnym pozostaje czynnikiem ryzyka rozwoju poważnych chorób.

Szczególnie alarmujące są dane dotyczące otyłości brzusznej, mierzonej obwodem talii. Wartości powyżej 90. centyla, wskazujące na wysokie ryzyko powikłań metabolicznych (takich jak insulinooporność czy stłuszczenie wątroby), odnotowano u 23,5 proc. siedmiolatków i aż 29,2 proc. dziewięciolatków. Oznacza to, że co trzeci dziewięciolatek znajduje się w grupie podwyższonego ryzyka sercowo-naczyniowego jeszcze przed wejściem w okres dojrzewania.

Na pojawienie się problemów ze zdrowiem wynikających z nadmiernej masy ciała nie trzeba czekać do dorosłości. U badanej grupy wiekowej dzieci rośnie średnie ciśnienie krwi. Już ok. 30 proc. polskich ośmiolatków ma je na nieprawidłowo wysokim poziomie. Prawie 46 proc. dzieci ma podwyższony cholesterol całkowity. Nieprawidłowe wartości LDL („zły cholesterol") stwierdzono u 17 proc. dzieci, a w grupie z nadmierną masą ciała – u 32 proc. Zaburzenia trójglicerydów dotyczą 35 proc. dzieci.

BATONIK I SMARTFON

Źródła problemu są oczywiste – to przede wszystkim zła dieta i brak ruchu. Tradycyjny, dwudaniowy obiad przygotowywany w domu stał się luksusem, na który „nie mamy czasu". Zastąpiły go gotowce, przekąski i wszechobecny cukier. Z raportu wynika, że zaledwie 38,1 proc. dzieci spożywa warzywa codziennie. To dramatycznie niski wynik. Warzywa, które powinny być podstawą piramidy żywieniowej, stały się w diecie naszych dzieci jedynie smutnym dodatkiem do mięsa i ziemniaków, często lądującym w koszu. Co piąte dziecko w wieku 7–9 lat nie je codziennie śniadania, za to co dziesiąte codziennie sięga po słodycze. Mimo wprowadzenia „podatku cukrowego" nawyk popijania posiłków kolorową wodą z cukrem trzyma się mocno. Co najmniej jedna piąta badanych dzieci każdego dnia pije słodzone napoje. Aż 36,5 proc. szkół nadal posiada automaty, w których uczniowie mogą zaopatrzyć się w produkty inne niż woda czy owoce. Szkoła, która powinna być twierdzą zdrowych nawyków, często kapituluje przed komercją i wygodą.

Nie bez znaczenia jest tu rola rodziców. Za otyłość dzieci odpowiadają przecież dorośli, którzy sami nie potrafią jeść zdrowo, a wokół jedzenia generują atmosferę nagrody i kary, często traktując słodycze jako motywator lub pocieszenie. Ośmiolatek nie idzie sam do sklepu i nie kupuje dwulitrowej butelki napoju gazowanego. Ktoś mu ją kupuje, ktoś wkłada do lodówki, ktoś daje przyzwolenie. Jeśli oboje rodzice są otyli, to ryzyko otyłości u dziecka wynosi aż 70 proc. Otyłość jest więc dziedziczna, ale nie tyle w sensie genetycznym, ile społecznym – dziedziczymy złe nawyki, lenistwo kulinarne i brak wiedzy. W dodatku w dobie permisywizmu postawienie dziecku granic, także tych żywieniowych, traktowane bywa niemal jak zamach na jego wolność. Kontroli tego, co i ile jemy, nie sprzyja też zanikanie etosu wspólnego posiłku przy rodzinnym stole. Badania pokazują wyraźnie: regularne posiłki spożywane w spokojnej atmosferze, bez rozpraszaczy, są kluczem do zachowania zdrowej wagi.

Drugim filarem tej katastrofy jest bezruch. Polska szkoła i polski dom wychowują inwalidów ruchowych. Światowa Organizacja Zdrowia zaleca dzieciom minimum 60 minut umiarkowanej lub intensywnej aktywności fizycznej dziennie. Jak wygląda to w Polsce? Tyle ruchu zażywa 40 proc. dzieci. Potwierdzają to dane pozyskane z akcelerometrów na nadgarstkach, które nosiła ponad 500-osobowa grupa dzieci. Gdyby wierzyć deklaracjom rodziców, mielibyśmy mocno zafałszowany obraz. Zdecydowana większość z nich – 80 proc. – stwierdziła w ankietach, że ich dzieci są wystarczające aktywne fizycznie.

Gdyby nie zajęcia wychowania fizycznego (60 tys. uczniów w 2025 r. korzystało z rocznych zwolnień, z krótszych zwolnień lekarskich – 30 proc.) i konieczność dotarcia do szkoły, wyniki byłyby jeszcze gorsze, bo w czasie wolnym młodzi uczniowie wybierają raczej fotele i kanapy niż boiska. W pozycji leżącej lub siedzącej dzieci spędzają średnio ponad dziewięć godzin dziennie! To także wiemy dzięki danym pomiarowym, bo rodzice deklarowali, że jest to ok. pięciu godzin. Co dzieci robią w tym czasie? Dane z raportu zbierano jeszcze wówczas, gdy prace domowe nie były w polskiej szkole zakazane. Co trzecie dziecko każdego dnia poświęcało ponad dwie godziny na ich odrabianie i na czytanie książek. Znaczna część 7–9-latków ogląda telewizję i korzysta z mediów elektronicznych dłużej niż zalecane dwie godziny dziennie. W dni szkolne czas ten przekracza ponad 38 proc. dzieci, a w weekendy – ponad 78 proc.

NIESPOKOJNE NOCE

Na to wszystko nakłada się kiepska regeneracja. Dzieci między 6. a 12. rokiem życia powinny regularnie spać od 9 do 12 godzin na dobę. Na taki luksus mogła pozwolić sobie tylko garstka – 1 proc.! – dzieci objętych badaniem z wykorzystaniem akcelerometrów. Miażdżąca większość spała krócej niż 9 godzin nie tylko ze względu na pory pójścia do łóżka i porannej pobudki, lecz także z powodu zaburzeń snu, niestety coraz powszechniejszych u najmłodszych. Liczne badania wskazują na związek czasu i intensywności użytkowania urządzeń ekranowych (telewizja, smartfon, komputer) z zaburzeniami snu. Korzystanie przez dzieci z technologii cyfrowych opóźnia zasypianie, zwłaszcza że skróceniu ulega również czas pomiędzy aktywnym korzystaniem z technologii cyfrowych a rozpoczynaniem snu. Część nastolatków budzi się w ciągu nocy, aby grać w gry, wysyłać wiadomości, korzystać z mediów społecznościowych.

– Sen bez wybudzeń to jest tylko niecałe 7,5 godziny na dobę. Sen z wybudzeniami to dalej niecałe 9 godzin. I wybudzenia to jest 1,5 godziny. To oznacza nieprawidłową higienę snu, która będzie się przekładała nie tylko na wzrost ryzyka rozwoju nieprawidłowo wysokiej masy ciała, lecz także na brak koncentracji i zaburzenia emocjonalne – ostrzegała prof. Anna Fijałkowska.

Po zebraniu danych powstały rekomendację, by – zgodnie z tytułem konferencji – „wiedza zmieniła się w praktykę". Rekomendacje ekspertów są jasne: potrzebujemy radykalnego ograniczenia czasu przed ekranem, powrotu do picia czystej wody i bezwzględnego egzekwowania aktywności fizycznej. Szkoła musi przestać być miejscem handlu cukrem, a dom – azylem dla cyfrowego lenistwa. Wiedza ta musi jednak przebić się przez mur naszych przyzwyczajeń.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7deb5b8e48

Ucieczka do Niepodległości



Rafał A. Ziemkiewicz

Godząc się, jak czyni to siłą rozpędu obecny lewicowo-liberalny rząd, na wchłanianie Polski przez „państwo europejskie", w istocie „zaszywamy się w worku z trupem". Projekt unijny jest martwy jak solony śledź, maskuje już tylko kolejną inkarnację niemieckiego, bismarckowskiego imperializmu. Czy nieskrywane odbieranie Polsce niepodległości obudzi wreszcie reakcję Polaków?



FOT. ADOBE STOCK

T.S. Eliot pisał, że świat kończy się nie hukiem, ale skomleniem. Dziś można te słowa odnieść do polskiej niepodległości. Kto sądzi, że utracić ją możemy tylko wskutek zbrojnej agresji, w huku armat, bomb i przy zgrzycie gąsienic najeźdźczych czołgów, mógł nawet nie zauważyć komunikatu, że to, co dotąd tylko sugerowano, zapowiadano i owijano w bawełnę, zostało wreszcie postawione ze stuprocentową jasnością. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej stwierdził, że przyjęcie członkostwa w Unii Europejskiej oznaczało zrzeczenie się przez Polskę suwerenności i poddanie się we wszystkich dziedzinach zarządzeniom instytucji wspólnotowych.

Dokładnie taki właśnie jest sens orzeczenia TSUE, jakoby polski Trybunał Konstytucyjny „przekroczył uprawnienia" wyrokiem, że na terenie Rzeczypospolitej Polskiej prawem najwyższym jest Konstytucja RP, a zarządzenia wspomnianych instytucji obowiązują tu tylko w tym zakresie, który przenieśliśmy na nie w podpisanych i ratyfikowanych przez parlament traktatach.

TSUE, co kluczowe, nie odwołuje się do traktatów. Swoje stanowisko opiera na własnym orzecznictwie. Podobnie traktuje to Komisja Europejska. „To, że prawo unijne stoi ponad prawem krajowym jest już oczywiste, wynika to z wielu orzeczeń TSUE" – mówi jeden z komisarzy w wywiadzie dla „Deutsche Welle". Niemal słowo w słowo tak samo wypowiada się minister sprawiedliwości Waldemar Żurek: „Musimy podporządkować się wyrokowi, bo zasada wyższości prawa europejskiego nad krajowym jest mocno ugruntowana w orzeczeniach TSUE".

KROK PO KROKU

Mamy więc z jednej strony ratyfikowane przez Polskę traktaty, zgodnie z którymi organy Unii Europejskiej mają nad nami tylko tyle władzy, ile na nie „delegowaliśmy", a z drugiej – uzurpację unijnej biurokracji (gdyż wbrew temu, co sugeruje nazwa „trybunał", TSUE nie może być uważany za sąd, jest ciałem politycznym, pochodzącym z nominacji eurokratów i niedającym żadnych gwarancji niezawisłości), która uważa Polskę już tylko za województwo w scentralizowanym „państwie europejskim", cieszące się pewną autonomią, ale w sprawach zasadniczych zobowiązane realizować „prawo europejskie" – choć niczego takiego jak prawo europejskie w istocie nie ma i pojęciem tym określane są arbitralne zarządzenia organów, które poczuły się unijnym „nadrządem", „nadsądem" i „nadparlamentem".

Dodajmy, że sposób powoływania tych organów nie ma nic wspólnego z deklarowaną jako zasada ustrojowa Europy demokracją i że – jak dowodzą tego coraz to nowe korupcyjne zarzuty, stawiane ich funkcjonariuszom, zresztą bez widocznych konsekwencji – nie ma żadnych mechanizmów rozliczania ich z jakości rządów ani nawet przestrzegania prawa.

Nie jest to sytuacja zaskakująca, szliśmy do niej krok po kroku od lat. Wielu wkładało jednak ogromny wysiłek w udawanie, że nic się dzieje i w końcu „jakoś się rozejdzie", a wielu innych – w oswojenie Polaków z oczekiwanym i postulowanym „rozpłynięciem się we wspólnocie europejskiej". Sposobem tego oswajania była propaganda, sączona latami, dzień po dniu, widzom, słuchaczom i czytelnikom, że „państwa narodowe to przeżytek", a „myślenie w kategoriach narodowych interesów to XIX-wieczny anachronizm" i dla kogo nie jest to oczywiste, najwyraźniej nie jest „człowiekiem na poziomie". Na tę nutę wypowiadali się zgodnie politycy, „eksperci" i „intelektualiści", ugruntowując przekonanie, że innej przyszłości niż w „strukturach europejskich" po prostu nie ma, a jakikolwiek lęk przed nieuchronnym rozpłynięciem się w nich to atawizm, irracjonalna fobia i przejaw ciemnoty.

Dla tych, którzy nie aspirowali do elit, propaganda „proeuropejska" miała drugi argument, mniej chętnie eksponowany, ale stale obecny w podtekście: w zamian za niepodległość, i tak będącą przeżytkiem, dostaniemy gwarancję dobrobytu. Dla wielkiej części wyborców przez długie

eprasa.pl 7deb5b8e48

lata był to argument rozstrzygający. Obiecane „300 mln z Unii Europejskiej", w połączeniu z sugestią, że PiS-owskie „podskakiwanie" dysponentom tych milionów, np. w związku ze Smoleńskiem, grozi zabraniem nam kasy, dało Donaldowi Tuskowi drugą kadencję w wyborach w 2011 r. A w 2023 r. PiS stracił władzę przede wszystkim dlatego, że wchodząc w tę samą opowieść, próbował „750 mld KPO" przelicytować Tuska w „załatwianiu kasy z Brukseli". Przyłączenie się przez PiS do narracji, że dobrobyt i przyszłość Polaków nie zależą od nich samych, a od łaski UE, musiało skłonić wyborców do oczywistego wniosku, że skoro tak, to trzeba odsunąć PiS na rzecz tych, którzy są z hojną ciotką Unią w lepszych stosunkach.

NIEUDANY SKOK

Po cichu, w kręgach władzy, narastało jeszcze inne przekonanie: że tylko Unia jest w stanie zapewnić życiowy sukces, awans i bogactwo uczestnikom polskiego życia publicznego. W wulgarnej, dosadnej formie znalazło to przekonanie wyraz na jednej z kelnerskich taśm: ech, dostać europejską fuchę jak Donald, być daleko od tego całego syfu, żyć jak człowiek i mieć szacunek… Za unijne pieniądze hodowano przez dwie dekady kadry zawodowych „Europejczyków" czy raczej „unijczyków", tresując ich w przekonaniu, że działalność w lokalnej, polskiej administracji jest tylko wstępem do prawdziwej kariery „tam" – dlatego realizując tu podejmowane tam decyzje, „implementując" i „dostosowując", trzeba robić to tak, by sobie na awans do centrali zasłużyć.

Otwarte stwierdzenie, że podpisane traktaty muszą ustąpić logice dziejów, a ta wymaga, by Polska podporządkowała się organom „państwa europejskiego", nie spadło zatem z nieba, zanegowanie polskiej niepodległości przygotowywano długo i metodycznie. Często rzeczywiście w najgłębszym przekonaniu, że to oczywisty proces historyczny, równie nieodparty, jak rozwój Internetu czy sztucznej inteligencji.

Ironia losu sprawiła, że do finalizowania podboju zabrały się eurokracja i skorumpowane przez nią lewicowo-liberalne salony akurat w momencie, gdy wszystkie elementy tego dyskursu rozsypują się w proch. Nawet ten najbardziej trywialny, którym było korumpowanie miejscowych elit pieniędzmi i karierami w Unii – okazuje się, że ze wszystkich państw wspólnoty, licząc proporcjonalnie, z Polski pochodzi najmniej unijnych urzędników i niemal wszyscy oni pozostali w niskich rangach.

Przede wszystkim kompletnie załamały się wizje europejskiego dobrobytu. Plan, artykułowany 10–15 lat temu w wywiadach i materiałach konferencyjnych i wciąż powielany w oficjalnych dokumentach UE, zakładał, że „Stany Zjednoczone Europy" dokonają cywilizacyjnego i technologicznego skoku, za którym pójdzie wielka przemiana społeczna. Przyjęta jako oficjalna ideologia UE „walka o klimat" i płynące z niej narzucenie Europie surowych i stale zaostrzanych „kryteriów klimatycznych" miały zmusić europejskie firmy i państwa, by stanęły na głowach, sprężyły się i wytworzyły gospodarkę nowej generacji, opartą na „zielonych technologiach", produkowanych tanio dzięki „zielonej energii". W ten sposób Europa miała przeskoczyć technologicznie USA i Azję, a osiągnięty dzięki zalaniu całego świata europejskimi, „niskoemisyjnymi" produktami wysoki poziom życia służyć miał łatwemu wychowaniu, na bazie rzesz ochoczo sprowadzanych migrantów, nowego, europejskiego człowieka – zakładano bowiem, że pod wpływem powszechnego dostatku migranci równie chętnie wyzbędą się swojej tożsamości islamskiej czy afrykańskiej, jak porzucili chrześcijaństwo i patriotyzmy rdzenni mieszkańcy kontynentu, a potęga opiniotwórcza liberalnej lewicy uczyni europejską „pierekowkę dusziej" szybką i łatwą.

Wszystko poszło inaczej. Poddany presji „zeroemisyjności" europejski przemysł zamiast wynajdować sposoby sprostania narzuconym restrykcjom, po prostu uciekł do krajów presji takiej niewywierających. „Tania zielona energia" okazała się potwornie droga, bo technologii, które według planu miały powstać – przede wszystkim tańszych i wydajniejszych baterii dla elektromobilności i wielkich, efektywnych „magazynów energii", bez której tzw. OZE nie mają sensu – nie udało się dotąd opracować. Cały świat, poza Unią, odszedł od redukowania CO_2, co znaczy, że gdyby nawet opracowała ona w końcu wymarzone produkty nowej „zielonej" generacji, pies z kulawą nogą nie jest już zainteresowany ich kupnem. A masy imigrantów zamiast się asymilować, poczuły się lepsze od gospodarzy i uprawnione do przejęcia ich krajów, mocą sprawiedliwości dziejowej za kolonializm.

A w końcu, dzięki sukcesowi Donalda Trumpa w USA, świat zaprzeczył także aksjologicznym podstawom integracyjnej utopii. Państwa narodowe, okazało się, nie są jednak przeżytkiem, ale nadal jedynymi podmiotami światowej polityki. Globalizacja została odwołana już wcześniej, a wraz z wycofywaniem się USA z roli światowego hegemona pojawił się „świat wielobiegunowy", nowa, poszerzona na cały świat wersja XIX-wiecznego, wiedeńskiego „koncertu mocarstw".

W WORKU Z TRUPEM

Godząc się, jak czyni to siłą rozpędu obecny lewicowo-liberalny rząd, na wchłanianie Polski przez „państwo europejskie", na co naciska, również siłą rozpędu, kompletnie oderwana od rzeczywistości eurokracja, w istocie „zaszywamy się w worku z trupem". Projekt unijny jest martwy jak solony śledź, maskuje już tylko – co najlepiej pokazują negocjacje w sprawie Mercosur – kolejną inkarnację niemieckiego, bismarckowskiego imperializmu. Ale i Niemcy, wyniszczone unijnymi szaleństwami, są już za słabe, by na dłuższą metę narzucić Europie swoje porządki – są jedynie w stanie nieco przedłużyć trwanie w złudzeniach poprzez zrabowanie zasobów mniejszych krajów i do tego zaczął się sprowadzać projekt „pogłębionej integracji". Tym samym prędzej czy później jego kontynuacja doprowadzić musi do katastrofy i bałkanizacji Europy, z najgorszymi dla niej skutkami. Jasno widzą to autorzy nowej amerykańskiej strategii bezpieczeństwa narodowego. Europejska klasa panująca natomiast, a tym samym i nasze, lokalne jej ekspozytury, wypiera to ze świadomości i uparcie usiłuje narzucić Europie wiarę, że jeszcze będzie, jak miało być.

Pozostaje więc nadzieja, że jawne, nieskrywane odbieranie Polsce niepodległości, w parze z którym idzie jej rabowanie, obudzi wreszcie reakcję Polaków, uśpionych dotąd wizjami płynącego z Europy dobrobytu. I zrodzi świadomość, że z tej walącej się konstrukcji trzeba pilnie uciekać. Bo tak właśnie trzeba to rozumieć: nie jako polexit, ale jako polescape.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7deb5b8e48



Tomasz Cukiernik

Plan polexitu

Nawet jeśli nie zamierzamy wychodzić z Unii Europejskiej, to powinniśmy mieć alternatywę i plan na wypadek rozpadu Unii



FOT. ADOBE STOCK

Redaktor Łukasz Warzecha przy okazji recenzji na tych łamach mojej książki „Dwadzieścia lat w Unii. Bilans członkostwa" wywołał mnie do tablicy. Otóż zarzuca mi, że nie przedstawiłem przekonującej alternatywy dla członkostwa Polski w Unii Europejskiej wraz z porządnym planem polexitu.

KOSZTY ZIELONEGO ŁADU

Poseł Marek Jakubiak zwraca uwagę, że w wyniku działalności UE straciliśmy praktycznie cały przemysł i handel detaliczny, a na dodatek Niemcy piszą nam historię. Mimo to, o ile jeszcze kilka lat temu można było porównywać zyski i straty związane z członkostwem, o tyle wraz z wdrażaniem Zielonego Ładu sytuacja jest jednoznaczna. Polityka, by do roku 2050 stać się krajem zdekarbonizowanym, prowadzi do dewastacji gospodarki i ubóstwa całego społeczeństwa. Najistotniejszym elementem Zielonego Ładu jest eliminacja CO_2 poprzez wymuszone publiczne i prywatne inwestycje, co według francuskiego Instytutu Rousseau ma kosztować Polskę corocznie 13,6 proc. PKB. Do tego dochodzą ETS i konieczność płacenia kilkunastu „zielonych" europodatków oraz wspólny dług (KPO), który trzeba będzie spłacić. Nie możemy zapominać o ograniczeniach wolności, takich jak zakaz samochodów spalinowych i konieczność przejścia na elektromobilność czy obowiązki związane z dyrektywą budynkową.

– Koszty obecności Polski w UE będą rosły w najbliższych latach bardzo drastycznie – właśnie z powodu realizowanej obecnie polityki klimatycznej. I to w transporcie, i w rolnictwie, i w budownictwie. Czy dyrektywa budynkowa, czy Zielony Ład w rolnictwie – to prowadzi do zmniejszenia produkcji żywności w UE, do wzrostu cen żywności i w konsekwencji do upadku polskich gospodarstw rolnych i uzależnienia się od importu żywności z krajów trzecich – powiedziała w rozmowie z RMF FM europosłanka Konfederacji Anna Bryłka.

Tymczasem członkostwo w UE jest obecnie takim dogmatem, jak w PRL był sojusz z ZSRS. Wbrew konieczności istnienia w demokracji nieskrępowanej debaty publicznej premier Donald Tusk domaga się nawet, by „nie podważać członkostwa w UE".

Teoretycznie Polska mogłaby zwyczajnie nie wdrażać obciążających euroregulacji, w tym również europodatków. Jednak w takiej sytuacji czekałyby nas dotkliwe kary finansowe ze strony Trybunału Sprawiedliwości UE. Niezapłacone kary zostałyby potrącone z funduszy unijnych (tak było w przypadku kary w kwestii Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego czy Turowa). Akurat to rozwiązanie nie byłoby złe, bo wszelkie dotacje, a w szczególności unijne, tak jak te w ramach tzw. Krajowego Planu Odbudowy, są dla nas szkodliwe. Świadomy rząd mógłby iść w tę stronę. Bruksela mogłaby nas ukarać jedynie do wysokości dotacji, które Polsce przyznaje. Wtedy

eprasa.pl 7deb5b8e48



jednak mogłyby pojawić się nie tylko silne naciski polityczne, których rządzący mogliby nie wytrzymać, lecz także jakieś sankcje polityczne czy ekonomiczne za niestosowanie się do wyroków TSUE, który – zdaniem prof. Genowefy Grabowskiej, byłej szefowej Katedry Prawa Międzynarodowego i Prawa Europejskiego na Uniwersytecie Śląskim – jest czymś w rodzaju zaplecza Komisji Europejskiej i niekoniecznie kieruje się obiektywną analizą obowiązujących traktatów, a tak interpretuje prawo, by umożliwić UE osiągnięcie celu.

Niektórzy politycy, którym nie podoba się polityka klimatyczna UE, argumentują, że Polska mogłaby zmienić Unię od środka. Niestety, to są fantasmagorie, i to z kilku powodów. Po pierwsze, Bruksela konsekwentnie i metodycznie realizuje pewien plan i pod wpływem jakiejś tam niewiele znaczącej Polski nie będzie go zmieniała. Po drugie, Polska nie ma ani siły politycznej, ani ekonomicznej, aby tego typu fundamentalne zmiany wymuszać. Nie jest w stanie nawet obronić się przed zwykłymi regulacjami, jak zakaz papierosów mentolowych, pakiet mobilności czy przymus przytwierdzania nakrętek do butelek, więc nie ma co mówić o kwestiach bardziej poważnych, jak cała polityka energetyczno-klimatyczna, w której w grę wchodzą znacznie większe pieniądze. Po trzecie, ani społeczeństwo, ani tym bardziej uśmiechnięta koalicja nie widzą potrzeby jakichkolwiek zmian Unii, bo uważają, że wszystko jest w najlepszym porządku, i przyjmują z Brukseli wszystko jak leci. Po czwarte, nawet gdyby była wola polityczna, to trzeba sobie zdać sprawę z tego, że, jak zauważył portal Politico, politycy z naszej części Europy są bardzo często pomijani przy nominacjach na najważniejsze stanowiska w instytucjach UE. Po piąte, nawet jeśli urzędnicy z Polski piastują decyzyjne stanowiska, to w swoich działaniach niekoniecznie biorą pod uwagę polski interes. Przykładem może być Polka z Komisji Europejskiej, która działała na niekorzyść polskiej firmy Smart Kid Belt.

PLAN EWAKUACJI

W takiej sytuacji jedynym rozwiązaniem jest wyjście Polski z Unii Europejskiej. Dlatego – rację ma redaktor Warzecha – powinniśmy mieć plan ewakuacji. I to nawet jeśli ostatecznie do jego realizacji nie dojdzie. Plan polexitu zwiększy polityczne możliwości negocjacyjne z Brukselą i może być skutecznym straszakiem, który być może wstrzyma przynajmniej niektóre przyszłe niekorzystne dla Polski rozwiązania. – Biorąc pod uwagę, w jakim stanie jest UE, czyli że przeżywa kolejne, coraz większe kryzysy i wstrząsy, a jednocześnie odpowiedzią na te kryzysy jest wzmacnianie władzy Brukseli, Berlina i Paryża w stosunku do wszystkich pozostałych państw członkowskich, zwłaszcza tych z Europy Środkowej, myślenie o alternatywnych scenariuszach jest jak najbardziej wskazane – mówi prof. dr hab. Tomasz Grzegorz Grosse z Katedry Polityk Unii Europejskiej na Uniwersytecie Warszawskim, zaznaczając, że przesuwamy się z tych dość oczywistych korzyści w stronę coraz większych kosztów.

Plan polexitu powinien składać się z kilku części. Po pierwsze, ustalenie stanu faktycznego – rzetelny bilans członkostwa Polski w UE. Ile Polska zyskuje na członkostwie, a ile traci?

eprasa.pl 7deb5b8e48

Po drugie, trzeba określić, jakie są perspektywy w przypadku dalszego członkostwa w Unii i czy na pewno są one gorsze niż polexit. Po trzecie, przygotowanie alternatywy w kwestiach prawnych, sprowadzającej się tak naprawdę do odrzucenia acquis communautaire, czyli dorobku prawnego UE, i opracowania na nowo całego polskiego systemu prawa. Co istotne – to byłaby szansa na obniżenie i uproszczenie podatków oraz przywrócenie wolności gospodarczej, z jakiej cieszyliśmy się na początku lat 90. Po czwarte, zdaniem prof. Grossego musimy zbudować bazę ekonomiczną, czyli przede wszystkim infrastrukturę i duże przedsiębiorstwa, bo to zapewniłoby nam miękkie lądowanie. Po piąte, według prof. Grossego strategię gospodarczą trzeba połączyć z wyzwaniami dotyczącymi bezpieczeństwa, czyli np. wspierać silne krajowe przedsiębiorstwa zbrojeniowe i całą infrastrukturę, która jest niezbędna do obrony kraju. Po szóste, konieczne byłoby przygotowanie korzystnych dla nas alternatyw dotyczących relacji handlowych z państwami trzecimi.

To nie jest tak, że będąc poza Unią, trafilibyśmy do czarnej dziury. Optymalnym rozwiązaniem dla Polski byłoby niezrywanie bliskich relacji gospodarczych z krajami UE. To się może udać nie dlatego, że byłoby to dla nas korzystne (członkostwo Polski w UE ma sens przede wszystkim z uwagi na dostęp do 415 mln konsumentów i współpracę z 26 mln firm funkcjonujących na wspólnym rynku), ale dlatego że byłoby to korzystne dla Niemiec. Bo to nie jest tak, że zyskuje tylko jedna strona relacji gospodarczych. Zyskują obie strony i Niemcy sporo by straciły, gdyby odciąć ich od naszej gospodarki. Dla Berlina jesteśmy istotnym krajem, w którym prowadzi on swoją imperialną politykę kolonizacyjną. Jesteśmy Niemcom potrzebni jako tani podwykonawcy biorący niskie marże, jako spory rynek zbytu niemieckich produktów i jako tania siła robocza. Niemcy łatwo nie wypuszczą takiego kąska z rąk. Zresztą nie tylko niemieckie koncerny sobie na to nie pozwolą, skoro tyle już w Polsce zainwestowały.

Będąc poza Unią, Polska poza bliskimi relacjami z krajami unijnymi mogłaby dowolnie kształtować współpracę z państwami trzecimi. Niekoniecznie chodzi o wstępowanie do bloków polityczno-handlowych, takich jak rozrastający się BRICS (40 proc. światowego PKB według parytetu siły nabywczej) czy Regional Comprehensive Economic Partnership, czyli blok państw azjatycko-oceanicznych wytwarzających 30 proc. światowego PKB (UE to niecałe 15 proc.), lecz także o możliwość zawierania bilateralnych umów handlowych, czego – będąc w Unii – robić nie możemy. Tak działa Wielka Brytania po brexicie. A może Polska mogłaby dołączyć do EFTA i w ten sposób poprzez Europejski Obszar Gospodarczy powrócić do bliskiej współpracy handlowej z UE?

Przeciwnicy polexitu twierdzą, że bylibyśmy bardziej narażeni na infiltrację przez służby rosyjskie. Ale w jaki sposób teraz Unia nas przed tym chroni? Sama jest głęboko penetrowana nie tylko przez służby rosyjskie, lecz także amerykańskie, chińskie czy arabskie

Zdaniem prof. Grossego naturalnym rozwiązaniem jest budowanie powiązań, silnych relacji w obrębie Europy Środkowej i Wschodniej lub tzw. wschodniej flanki NATO. – Naszymi naturalnymi partnerami w tym momencie są inne kraje naszego regionu, które generalnie rzecz biorąc, jadą na tym samym wózku, ale też te tradycyjne relacje transatlantyckie, czyli ze Stanami Zjednoczonymi, a także ze Zjednoczonym Królestwem – mówi prof. Grosse, dodając, że nasza część Europy ma ogromny potencjał, który dostrzegają zarówno Chińczycy, jak i Niemcy, a który przez nas nie jest jeszcze w wystarczającym stopniu wykorzystywany.

JAKIE SĄ PRZESZKODY

Ale czy polexit w ogóle jest możliwy? Z punktu widzenia uregulowań traktatu lizbońskiego, który wprowadził przepis umożliwiający opuszczenie bloku (art. 50 traktatu o UE), oraz z brytyjskiej praktyki wiemy, że polexit jest jak najbardziej możliwy. Przynajmniej teoretycznie. Ale czy praktycznie? Dla Niemiec opuszczenie Unii przez Wielką Brytanię było korzystne, bo wzmacniało pozycję Berlina. Całkowicie inaczej wygląda sytuacja z Polską. Niemcy zgodzą się na polexit tylko wtedy, jeśli będą mieli zapewnioną możliwość dalszej penetracji polskiej gospodarki. I z tym może być większy problem niż z ewentualnym sprzeciwem nieświadomej części polskiego społeczeństwa. – Strategia niemiecka polega na tym, żeby nie dopuścić do polexitu i obalić każdy eurosceptyczny rząd w Warszawie właśnie po to, żeby chronić swoje interesy – uważa prof. Grosse.

Przeciwnicy polexitu twierdzą, że bylibyśmy bardziej narażeni na infiltrację przez służby rosyjskie. Ale w jaki sposób teraz Unia nas przed tym chroni? Sama jest głęboko penetrowana nie tylko przez służby rosyjskie, lecz także amerykańskie, chińskie czy arabskie. Cała unijna polityka energetyczno-klimatyczna przed wybuchem wojny na Ukrainie była z korzyścią dla Rosji, bo jej efektem był wzrost importu surowców z tego kierunku. W 2024 r. wyszło na jaw, że łotewska europosłanka Tatjana Ždanoka była agentką rosyjskiej FSB co najmniej od 2005 r. Z kolei poprawki do unijnego rozporządzenia dotyczącego redukcji emisji metanu w sektorze energetycznym suflowała zielonym europarlamentarzystom dyrektor amerykańskiej organizacji Clean Air Task Force. Natomiast cały Zielony Ład jest korzystny przede wszystkim dla Chin. Otóż, jak przyznaje sama Bruksela w rozporządzeniu Net-Zero Industry Act, „Europa jest obecnie importerem technologii energetycznych neutralnych emisyjnie – ok. jednej czwartej samochodów elektrycznych i baterii oraz niemal wszystkie moduły PL 2 PL fotowoltaiczne i ogniwa paliwowe są przywożone głównie z Chin. W przypadku technologii fotowoltaicznych i ich komponentów zależność ta przekracza 90 proc. produktów w niektórych segmentach łańcucha wartości wyższego szczebla, takich jak wlewki i płytki. W innych sektorach, w których przemysł UE jest nadal silny, takich jak turbiny wiatrowe i pompy ciepła, nasz bilans

eprasa.pl 7deb5b8e48

handlowy pogarsza się, a producenci UE borykają się z rosnącymi kosztami energii i produkcji". Pekin aktywnie lobbuje za ambitniejszymi celami klimatycznymi w UE, które zwiększają popyt na chińskie „zielone" technologie, i za samobójczą polityką Zielonego Ładu, by w ten sposób chińska gospodarka była jeszcze bardziej konkurencyjna wobec europejskiej. I taki twór, infiltrowany przez służby wrogich mocarstw, miałby w jakikolwiek sposób zapobiec infiltracji Polski? Nawet gdyby chciał – a nie ma w tym interesu – to nie jest w stanie.

Problemem jest świadomość przeciętnego Polaka i polityka, którzy chcą pozostać w Unii. Świadomość, która przez trzy dekady została przeorana w jednym kierunku. Ze wszystkich stron wmawiano Polakom, że UE jest dobrem wcielonym, i większość w to uwierzyła. A to dlatego, że albo są ignorantami, albo „pożytecznymi idiotami". I choć spora część społeczeństwa zdążyła w tym czasie otrzeźwieć, to zanim podejmie się jakiekolwiek kroki polexitowe, konieczne jest najpierw uświadomienie społeczeństwa. Być może fatalne konsekwencje Zielonego Ładu tak mocno uderzą w kieszenie Polaków, że w końcu oprzytomnieją i zrozumieją, że zbliżające się ubóstwo to jest jednak w dużej mierze wina Brukseli.

Trzeba się jednak spieszyć, bo polexit będzie tym bardziej niemożliwy, kiedy powstanie unijna armia, w której z pewnością najważniejsze decyzje będą podejmowali Niemcy jako najsilniejszy kraj bloku. Zresztą Bruksela nigdy nie brała pod uwagę racji stanu krajów mniej znaczących. Niestety, zmiany unijnych traktatów, które zostały zaproponowane w 2023 r., mogą spowodować, że wyjście z UE nie będzie możliwe.

WIELKA NIEWIADOMA

Pojawia się zasadnicze pytanie: Czy po ewentualnym polexicie będziemy się rozwijać szybciej? To zależałoby od tego, kto by w Polsce rządził i jaką prowadził politykę. Mielibyśmy możliwość doprowadzenia zarówno do głębokiej deregulacji na wzór nowozelandzki, jak i do zapaści drogą wenezuelską. Ale otwierałoby to szansę na wybranie właściwego kierunku, czego w ramach UE nie możemy zrobić. A pozytywne byłoby samo zrzucenie gigantycznego garbu unijnych regulacji, kredytów, podatków, dotacji i biurokracji, który hamuje nasz rozwój, a z roku na rok będzie go wstrzymywał coraz bardziej. Samo to bardzo pomogłoby firmom i z dnia na dzień zwiększyłoby ich przewagę konkurencyjną. Do tego dojdą brak indoktrynacji i psucia społeczeństwa w kontekście ideologicznym oraz możliwość prowadzenia własnej polityki imigracyjnej. Pozbylibyśmy się też postępującej integracji i centralizacji w ramach budowy coraz bardzo opresyjnego europejskiego superpaństwa. Ponadto przynajmniej na początku (tak jak to było w przypadku brexitu) mogłyby pojawić się przejściowe komplikacje do czasu zawarcia bliższych relacji handlowych z państwami trzecimi czy też blokami państw.

Słabym punktem może być sama kwestia negocjacji postpolexitowej umowy pomiędzy Polską a Unią, dlatego że Bruksela działałaby z pozycji siły. A w takiej umowie trzeba by rozstrzygnąć rozliczenie i wszystkie szczegóły dotyczące dalszej współpracy. – Z prawnego punktu widzenia przerabialiśmy to nie tak dawno, kiedy już pod obowiązującymi traktatami Wielka Brytania opuszczała Unię Europejską (2020). Widzieliśmy, jakie to było żmudne, długotrwałe negocjowanie, żeby tę umowę rozwodową przygotować. Niestety, nie udało się zamknąć wszystkich obszarów, które były na stole – mówi prof. Grabowska. Zdaniem prof. Grossego negocjacje exitowe będą zależały od Niemiec i Francji, które to kraje mogą zamknąć lub otworzyć dostęp do wspólnego rynku. Albo uczynić go korzystnym asymetrycznie np. dla siebie, albo korzystnym dla nas. – Strategie polexitowe polegające na różnych rozwiązaniach, nazwijmy to prawnych, mogą być bardzo łatwo obalone przez decyzje polityczne, które w sytuacji ekstraordynaryjnej byłyby podejmowane przez rdzeń Unii Europejskiej, czyli, faktycznie rzecz biorąc, Berlin i Paryż – obawia się prof. Grosse.

Polexit to wielka niewiadoma. Mogliby go przeprowadzić tylko silni, rozgarnięci i pewni siebie politycy w typie prezydenta Donalda Trumpa, myślący nie o najbliższych wyborach, a o przyszłości Polski na dekady do przodu. Ale w obliczu destrukcyjnej dla Polski polityki UE to ryzyko warte jest podjęcia. Zielony Ład jest dla Polski katastrofą i nadal realizując tę skrajnie szkodliwą politykę, czeka nas dalsze osuwanie się po równi pochyłej bez szans na zmianę tej sytuacji. Wtedy jedynym ratunkiem byłby rozpad Unii, ale nie wiadomo, kiedy może to nastąpić.

Polexit to wielka niewiadoma. Mogliby go przeprowadzić tylko silni, rozgarnięci i pewni siebie politycy w typie prezydenta Donalda Trumpa, myślący nie o najbliższych wyborach, a o przyszłości Polski na dekady do przodu

Lepiej wziąć sprawy w swoje ręce, a nie czekać na cud dekompozycji UE. Natomiast niezależnie od tego, czy nasze członkostwo w bloku będzie zakończone przez polexit czy rozpad Unii, należy zawczasu przygotować się na taką sytuację. – Myślenie o alternatywnych scenariuszach musi zakładać to, że Unia Europejska może po prostu być w stanie bardzo poważnych, coraz szybszych tendencji dezintegracyjnych i w związku z tym należy się przygotowywać chociaż wstępnie, chociaż intelektualnie do tego typu scenariuszy, nie mówiąc już o tym, że jednym ze scenariuszy jest to, co mamy obecnie, czyli bardzo silną tendencję do centralizacji władzy w Europie Zachodniej i przesuwania kosztów różnych polityk, w tym antykryzysowych, na Europę Środkową – podsumowuje prof. Grosse.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Artykuł ten jest zmienioną wersją rozdziału z książki Tomasza Cukiernika pt. „Sabotaż klimatyczny. Jak transformacja energetyczna rujnuje nasze życie", wydanej pod patronatem „Do Rzeczy".

eprasa.pl 7deb5b8e48



Na stronach 38–40 zdjęcia z wystawy „Stadi. Architettura e mito" w MAXXI, Narodowym Muzeum Sztuki w Rzymie

FOT. MUSACCHIO, PASQUALINI & FUCILLA/MUSA, COURTESY FONDAZIONE MAXXI

Widoki z trybun



Monika Małkowska

W Cesarstwie Rzymskim stadiony urosły w sensie dosłownym i symbolicznym. Przeobraziły się w miejskie areny, swego rodzaju popkulturowe centra, w których serwowano każdemu dostępną rozrywkę. Jej brak lud odczuwał równie dotkliwie jak niedostatek. I zamieszki gotowe

Zwariowałam chyba? Ze sportem znam się tylko z widzenia. Tymczasem zdarzyło mi się przeżywać chwile uniesienia za sprawą… stadionów. Przenosiłam się od jednego obiektu do następnego i odkrywałam wszystko, na co dotychczas nie zwracałam uwagi. Olśniło mnie za sprawą wystawy „Stadi. Architettura e mito" („Stadiony. Architektura i mit"). Obejrzałam ją w rzymskim MAXXI, Narodowym Muzeum Sztuki XXI Wieku. Trwała od kwietnia do 9 listopada 2025 r., a frekwencja była tam (prawie) jak na meczu. I gdybym miała wskazać najbardziej inspirujący pokaz spośród tych, jakie zdarzyło mi się obejrzeć w mijającym roku, bez wahania wybrałabym „Stadiony".

Do tej pory historycy sztuki i architektury raczej nie zajmowali się stadionami. I oto po raz pierwszy na wystawie „Stadiony…" dostrzeżono ich potencjał kulturowy, socjologiczny, antropologiczny, psychologiczny, artystyczny, wreszcie – znaczenie urbanistyczne. Tradycyjnie wypada zacząć „już starożytni…". No tak, prototypów konstrukcji stadionów dostarczyli nam starożytni Grecy i Rzymianie. U tych pierwszych stàdion był jednostką miary, wyznaczoną dystansem pokonywanym przez zawodników sprintu. Potem nazywano tak miejsce, gdzie rozgrywano zawody ku czci Zeusa, często umieszczone w amfiteatrach. Za to w Cesarstwie Rzymskim… o, tu stadiony urosły w sensie dosłownym i symbolicznym. Przeobraziły się w miejskie areny, swego rodzaju popkulturowe centra, w których serwowano każdemu dostępną rozrywkę. Jej brak lud odczuwał równie dotkliwie jak niedostatek. I zamieszki gotowe. Toteż cesarze dbali, by poddanym nie zabrakło „chleba i igrzysk". Łaknienie turniejowych emocji sprawiło, że wznoszono coraz bardziej udoskonalone architektonicznie obiekty, w których widzowie z każdego miejsca mieliby jak najlepszy widok na „boisko". Wtedy odkryto, że nie półkole, nie krąg, lecz elipsa daje optymalne możliwości.

Każdy, kto przybywa do stolicy Włoch, musi zobaczyć (choćby z daleka) amfiteatr Koloseum, wzniesiony w dekadzie 70–80 n.e., który w roku 2007 został ogłoszony jednym z cudów świata. Wspaniały, eliptyczny stadion, którego trybuny mieściły od 45 do 50 tys. widzów. Choć Cesarstwo Rzymskie ostatecznie upadło w roku 476, w Koloseum jeszcze przez kilkadziesiąt lat organizowano igrzyska, a ostatnie odbyły się tu w 528 r. Obiekt parokrotnie ulegał zniszczeniu w wyniku trzęsień ziemi (najsilniejsze – w latach 445 i 1349), ale choć naruszony, to wciąż trwa jako świadectwo. Po erze starożytnych igrzysk nastąpiła „sportowa próżnia" i na blisko 15 wieków zapomniano o stadionach, ich konstrukcji oraz emocjach, jakie generowały. A była to – i jest – siła uderzeniowa: kumulacja uniesień wzniosłych, pozytywnych, jednoczących maluczkich i wielkich versus potęga niszczycielska, ewokująca śmiercionośną nienawiść. Obie te potężne emocje zderzają się na trybunach. A rozgrzewka zaczyna się od momentu, kiedy fani zakładają szaliki w klubowych barwach i sięgają po identyfikujące gadżety. Albo dodają sobie animuszu, wypisując na murach hasła krzepiące ulubioną drużynę i dyskredytujące przeciwników.

ŚMIERĆ ZA INNOWACJE

Feniks stadionowego zrywu obudził się w roku 1899. Wtedy to w szkockim Kilmarnock postanowiono oddać do użytku Rugby Park, stadion, którego projekt powierzono architektowi fabryk Archibaldowi Leitchowi (1865–1939). Mówi się, że to jemu Anglia zawdzięcza swą piłkarską potęgę, ponieważ dorobił się 48 stadionowych projektów, rozrzuconych po całej

eprasa.pl 7deb5b8e48



FOT. MUSACCHIO, PASQUALINI & FUCILLA/MUSA, COURTESY FONDAZIONE MAXXI

Wielkiej Brytanii. Zaledwie 10 jego dzieł przetrwało fragmentarycznie do dziś, po licznych renowacjach i rozbudowach. Leitch też był Szkotem i oczywiście fanem futbolu. Zaraz po Kilmarnock zgłosili się do niego Rangersi z Glasgow, zespół, któremu kibicował. Projektant zgodził się wykonać dla nich pracę nieodpłatnie, po części z sympatii dla „The Gers", a także w nadziei zyskania opinii specjalisty od stadionów. Ten drugi obiekt miał być ogromny, pozwalający Rangersom rywalizować z Celtic Park. I stało się, poszedł hyr po kraju, Leitch odniósł sukces. Z dwóch powodów: umiał projektować szybkie w budowie konstrukcje, do tego funkcjonalne i tanie, a o to przecież chodziło ówczesnym klubom piłkarskim, jeszcze dalekim od krociowych dochodów. Punkt drugi – Szkot nie miał w nowo powstającej dziedzinie żadnych rywali.

Jednak w roku 1902 zdarzyła się katastrofa, która omal nie zastopowała spektakularnej kariery Leitcha. Na stadionie Ibrox Park, kolejnym dziele architekta, West Tribune nie była zbyt stabilna. Autor uznał, że wytrzyma, jeśli nie będzie pełnego obłożenia. Tymczasem mecz Szkocja – Anglia zgromadził tłumy. Leitch na własne oczy oglądał, jak wali się trybuna, zbierając śmiertelne żniwo 25 ofiar. Architekt wyżebrał u Rangersów kolejną szansę: przeprojektował taras, wdrażając nową technologię, którą potem powtórzył przy kolejnych pracach. W miejsce drewnianych słupków i szyn odgradzających trybuny wprowadził bariery z rur stalowych, przykręcanych do stalowych szyn biegnących pod betonem, co znacznie zwiększyło wytrzymałość trybun. Efekty? Firma Leichta na dziesięciolecia zmonopolizowała rynek budowy stadionów. To jej brytyjskie stadiony zawdzięczają charakterystyczne prostokątne kształty oraz ostro ścięte końce trybun ze stalowymi podporami.

Katastrofa Ibrox Park nie była największą w historii futbolu. Wraz z rosnącą liczbą fanów piłki „kopanej" konstrukcje stadionów okazywały się przestarzałe, a służby zatrudnione przy ochronie meczów nie dość przeszkolone. Niebezpieczeństwo potęgowały też antagonizmy między kibicami, „podjaranymi" używkami. Musiało dojść do dramatów. 29 maja 1985 r. na stadionie w Brukseli doszło do zamieszek określanych mianem „Heysel Stadium Disaster". Doszło do nich przed meczem finałowym Pucharu Europy pomiędzy „kibolami" Juventusu i Liverpoolu. Fani tej drugiej drużyny przedarli się przez małe ogrodzenie i zaatakowali Włochów, którzy uciekali, tratując się nawzajem. Część z nich została przygnieciona trzymetrową ścianą, która zawaliła się pod naporem tłumu. Wówczas śmierć poniosło 39 osób. Na marginesie: pomimo tragedii mecz rozegrano, zwycięstwo zaś (1:0) przypadło Juventusowi, w którego składzie grali Michel Platini i Zbigniew Boniek.

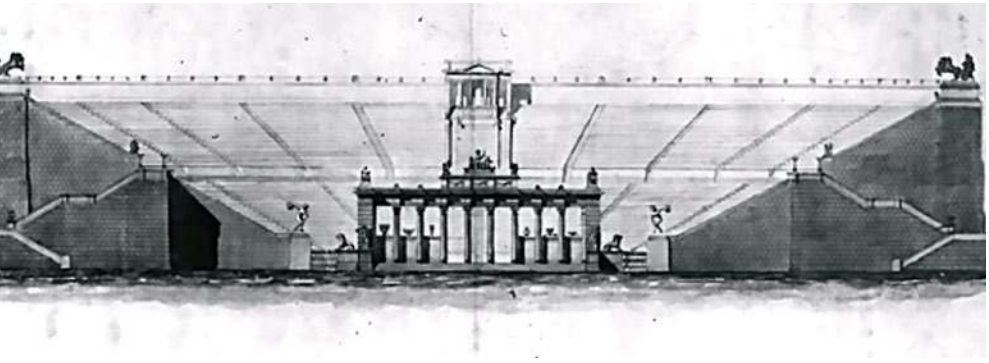
Na mały ekran sport wprowadziły nazistowskie Niemcy. Igrzyska olimpijskie w Berlinie w roku 1936 miały udowodnić dominację rasy aryjskiej nad światem

Cztery lata później, 15 kwietnia 1989 r., doszło do prawdziwej hekatomby – 97 trupów, 766 rannych! – na Hillsborough, stadionie należącym do Sheffield Wednesday, podczas meczu półfinałowego Pucharu Anglii pomiędzy Liverpoolem a Nottingham Forrest. Przyczynami tej największej katastrofy stadionowej w historii Europy były błędna organizacja meczu i zagubienie policji (zwłaszcza dowódcy, który nie znał się na procedurach związanych z ochroną meczów), niepotrafiącej zapanować nad przepychankami przy obrotowych bramkach ani pokierować tłumem, prącym do zatłoczonych już sektorów. Mecz zaczął się, zanim wszyscy kibice zajęli miejsca, co wzmogło nerwowość napierających na bramki. Ludzie dusili się pod naporem kolejnych fal kibiców, tratowali się wzajemnie, a ich krzyki o pomoc zagłuszały wrzaski tych, którzy już z trybun śledzili początek rozgrywek. Sześć minut po inaugurującym gwizdku policja przerwała mecz; dziewięć minut później na murawę wjechał ambulans, wkrótce dotarły jeszcze dwie karetki. Za mało, za późno! Do godz. 16 prawie setkę zwłok ułożono w miejscu służącym jako baza funkcjonariuszy policji. W wyniku tragedii brytyjski minister sprawiedliwości lord Peter Taylor przedstawił raport, w którym zawarł racjonalizatorskie rozwiązania. Najważniejsze: koniec z nienumerowanymi wejściówkami! Tylko indywidualne miejsca siedzące w postaci krzesełek (z niepalnych materiałów). I więcej bramek, z czytelniejszymi prowadnicami do sektorów. Pomysły wprowadzono w życie, z pozytywnym skutkiem.

ZDALNE KIBICOWANIE

Wielbicielom sportu, którym z różnych powodów nie jest dane śledzić wydarzeń z perspektywy trybun, w sukurs przyszły media. Do debiutu radiowych sprawozdań „na żywo" doszło w styczniu 1927 r. w Anglii, za pośrednictwem BBC. Dziennikarz relacjonował ligowy pojedynek pomiędzy drużynami Arsenal Londyn i Sheffield Wednesday, w swej narracji skupiając się na położeniu piłki. Co ciekawe – choć był to sukces, to władze Ligi Angielskiej wydały w połowie roku 1931 zakaz puszczania w eter transmisji z meczów piłkarskich. I ten rygor utrzymano aż do pierwszych lat po drugiej wojnie światowej.

eprasa.pl 7deb5b8e48



FOT. HISTORICAL ARCHIVES OF THE HELLENIC OLYMPIC COMMITTEE

A w Polsce? Pionierska radiowa transmisja odbyła się 11 sierpnia 1929 r. w Poznaniu. Ludomir Budzyński, wówczas student medycyny, także piłkarz i fan futbolu, został skrzyknięty z marszu, żeby „gadał do mikrofonu" o tym, co dzieje się na boisku podczas meczu Warty Poznań z Philipsem Eindhoven. Budzyński okazał się samorodnym talentem – opowiadał z werwą i piękną polszczyzną. A było o czym nawijać: poznaniacy, czyli „Zieloni", wygrali 5:2 i świętowali tytuł Mistrza Polski. Sensację wzbudzała również osoba sprawozdawcy, który relacjonował rozgrywki, siedząc na drewnianym dachu krytej trybuny. Trochę dekoncentrował nasz zespół: po każdym golu piłkarze popatrywali na niego, ciekawi, jak skomentuje bramkę.

Na mały ekran sport wprowadziły nazistowskie Niemcy. Igrzyska olimpijskie w Berlinie w roku 1936 miały udowodnić dominację rasy aryjskiej nad światem, manifestowanej w dziedzinie potencji fizycznej (znacie zdjęcia i filmy Leni Riefenstahl dokumentujące tamtą imprezę?), a także w zakresie myśli technicznej. To było jak projekcja świata przyszłości. „Uwaga, uwaga! Nadajemy osiem godzin na żywo z każdego dnia rozgrywek z najważniejszych aren olimpijskich w Berlinie i Hamburgu". Telewizja wtedy raczkowała, obraz był fatalnej jakości, jednak transmisje podziałały na wyobraźnię. W jednym z niemieckich tygodników ilustrowanych prognozowano, że w roku 2000 zawody będą rozgrywane bez udziału publiczności, tylko wobec kamer, a doping widzów emitowany będzie przez megafony. No, nie sprawdziło się. Nie da się niczym zastąpić żywiołu emocji.



FOT. MUSACCHIO, PASQUALIN & FUCILLA/MUSA. COURTESY FONDAZIONE MAXXI

MUZY NAD TRYBUNAMI

Od kiedy przeżywamy je przy sztucznym świetle? Pierwszym eksperymentem w tym zakresie było oświetlenie stadionu Bramall Lane w Anglii podczas meczu piłki nożnej w roku 1878. Niestety, zasilanie siadało. Co więcej, jedni byli oślepieni blaskiem czterech „jupiterów", inni nic nie widzieli w ciemnościach. Powiodło się za to w roku 1932 oświetlenie elektryczne Estadio Centenario w Montevideo. Mimo sukcesu nie od razu stało się to światową normą. Dopiero w latach 50. rozwiązano techniczne problemy: jaką wysokość powinny osiągnąć maszty oświetleniowe i jak gęsto je rozmieszczać. Kolejnym przełomem okazało się zastosowanie reflektorów LED, dających optymalne oświetleniowe efekty, a co więcej – możliwość prezentowania różnych świetlno-artystycznych realizacji przed i pomiędzy rozgrywkami. Jasne, że podkupiła to reklama, co z kolei miało przełożenie na niebotyczną kasę kręconą przy każdym meczu.

Ale popularna kultura też na tym zyskała. Do triumfalnego wtargnięcia muzyki na boisko doszło na New York Shea Stadium w 1965 r., kiedy to wobec amerykańskiej publiczności stawiła się czwórka z Liverpoolu i… dała radę. Potem nastąpiła lawina stadionowych koncertów, z których kilka zapisało się w Księdze rekordów Guinnessa. Niezapomnianym wydarzeniem stał się koncert Live Aid (1985), zorganizowany na dwóch stadionach świata, który zgromadził 1,5 mld ludzi przed ekranami telewizorów. Dziewięć lat potem Rod Stewart ustanowił inny rekord: jego gig na plaży Copacabana w Rio de Janeiro śledziło 3,5 mln widzów. W tym samym miejscu w 2006 r. odbył się koncert Rolling Stonesów, oglądany live przez 1,5 mln odbiorców. A gdyby kogoś ciekawiły rekordowe koncerty na Narodowym PGE, to ustanowili je: Dawid Podsiadło (2023) – ok. 80 tys. widzów; rok wcześniej Ed Sheeran – 75 tys. sprzedanych biletów i Metallica (2024) – ok. 70–80 tys. oglądających.

Stadiony wykorzystują także kaznodzieje, politycy i… hochsztaplerzy. Zacznijmy pozytywnie. „Jezus na Stadionie Legii" (PGE Narodowy, czerwiec 2025 r.) to było kilkugodzinne spotkanie rekolekcyjne. Dwa lata wcześniej we Wrocławiu na Tarczyński Arena odbył się spektakl „Chwała Mu" (lipiec 2023 r., sześć godzin koncertu i modlitw) zgromadził dziesiątki tysięcy wiernych. Zapoczątkował to Jan Paweł II, który odprawiał wielokrotnie Msze na stadionach podczas pielgrzymek. Jednak nic nie może równać się z emocjami, jakie niosła msza celebrowana podczas II Pielgrzymki 17 czerwca 1983 r. („Bez Chrystusa nie da się zrozumieć naszej narodowej historii"), jeszcze przed zniesieniem stanu wojennego (co zdarzyło się 22 lipca 1983 r.). Msza zgromadziła 1,5 mln wiernych. Byłam wśród nich i pamiętam tamte emocje. Wobec takiego zbiorowego uniesienia system był bezradny. Już było wiadomo, że komunizm upadnie.

Potencjał stadionów przyciągnął też różnych „magików" i „uzdrowicieli", którzy żerują na naiwności odbiorców, łącząc religię z poszukiwaniem cudów. Od 2007 r. przyjeżdża do Polski ugandyjski katolicki duchowny John Bashobora, okrzyknięty przez swoich „wyznawców" uzdrowicielem, choć sam się za takiego nie podaje. On też głosił swe rekolekcje na PGE Narodowym. Ale uwaga! W religijności „stadionowej", która jest z nim kojarzona, występuje wiele elementów magii i zabobonów. I tu dochodzimy do kolejnego problemu: powróciła do Polski moda na „magiczną religijność", na złe duchy, charyzmatycznych uzdrowicieli i cudotwórców, którzy popisują się wobec wielotysięcznych trybun.

A takie gwarantują tylko stadiony.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7deb5b8e48



Busola wskazuje Watykan

FOT. ADOBE STOCK



Krzysztof Masłoń

Iście rewolucyjna reforma programowa polskiej szkoły profetycznie nazwana „Kompasem Jutra" – o której pisałem już w tym miejscu – do 18 grudnia 2025 r. miała być poddana konsultacjom. Tak się jednak złożyło, że włączył się w nie prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, stawiając weto najnowszemu projektowi ministry Nowackiej Barbary, wyraźnie cierpiącej na ostrą biegunkę pomysłów. Niezrażona tym ministra naprędce zwołała konferencję prasową, na której z całą mocą swojego autorytetu (?) orzekła, że głupszego weta to chyba nie było. Dodała jeszcze wdzięcznie, że psy szczekają, a karawana jedzie dalej.

Niestety, karawana ta rzeczywiście ciągnie się przez polską pustynię niczym smród po gaciach. I tak będzie dopóty, dopóki rządy sprawować będą ludzie tej miary, co ta była palikociara, zwolenniczka aborcji na życzenie, czarnych marszów, a w szkole edukacji seksualnej przemycanej pod płaszczykiem edukacji zdrowotnej, wyrzucania klasyki z listy lektur czy odciążenia dziatwy tak ją absorbującymi pracami domowymi. A nade wszystko wsławiona odkryciem historycznym, jakoby to „na terenie okupowanym przez Niemcy polscy naziści zbudowali obozy, które były obozami pracy, a potem stały się obozami masowej zagłady".

No, ale lewacy zawsze wybierają przyszłość, która dla Nowackiej Barbary nabrała kształtu „Kompasu Jutra". I oto busola ta wyznaczyć ma kierunek dla polskiej szkoły na miarę XXI w. „Rozumiem – przyznaje ministra – że to się panu prezydentowi i jego obozowi nie podoba, bo młodzież, która myśli kreatywnie, sprawczo, krytycznie, nie boi się zadawać pytań, negować, może być ciężka dla prawicy, która by chciała, by młodzież tylko słuchała, biła brawo i maszerowała w rytm ich pieśni politycznych". Jakie to pieśni polityczne prawicy, dalibóg nie wiem, ale nie wydaje mi się, by uczniowie nagle zapałali chęcią do śpiewania „Międzynarodówki", a „Oda do radości" też się nie przyjęła. Nieoczekiwanie raczej przypomniała mi się w tym miejscu mocno niepoprawna piosenka z lat słusznie minionych:

Gdy ci się rano nie chce podnieść
z łóżka dupska,
To sobie pomyśl, jak walczyła
Nadia Krupska.
A ty maszeruj, maszeruj, głośno
krzycz
Niech żyje nam Wołodia Iljicz.

Czy jednak komuś, poza obecnym marszałkiem Sejmu, song ten przypadłby do gustu?

Wróćmy jednak na edukacyjną konferencję. Jakby mało było popisów Nowackiej Barbary, postanowiła wzmocnić przekaz swej szefowej jej światła zastępczyni – Lubnauer Katarzyna, po pierwsze, wytykając prezydentowi RP dobór niewłaściwych konsultantów kształtujących jego politykę edukacyjną, czyli „ordo iuris i ludzi od Brauna", po drugie zaś, zwracając uwagę na nienadążanie Karola Nawrockiego za nowoczesnymi trendami oświatowymi, co nawet – jak łaskawie zauważyła – wydaje się zrozumiałe, zważywszy, że w szkołach, do których uczęszczali „pan prezydent czy pan prezes", cyfryzacja i sztuczna inteligencja były pojęciami nieznanymi. Zupełnie inaczej działo się w placówkach dydaktycznych, gdzie pobierały naukę sterniczki obecnego Ministerstwa Edukacji Narodowej. Na wszelki wypadek wyszczególnię tu, że wprawdzie Jarosław Kaczyński skończył już 76 lat, ale Karol Nawrocki zaledwie 42. Dla porównania: młódce Lubnauer stuknęło lat 56.

Prezydenckie weto spowoduje pewne kłopoty legislacyjne – napomknęła Nowacka Barbara – ale nie takie, żeby zatrzymały podstawę reformy. Ależ ani przez chwilę tak nie pomyśleliśmy! Jeżeli człowiek, któremu dziesiątki razy ludzie z prawa i lewa mówią, że jest nietrzeźwy, to jeśli ma trochę oleju w głowie, to na wszelki wypadek pójdzie się położyć. Ministra z alei Szucha wyprowadzić się nie chce, bo nie widzi powodu, choć nawet tak do niedawna bliski jej ideowo poseł Marcin Józefaciuk, znający naszą oświatę jako nauczyciel i były dyrektor szkoły nie gorzej chyba od ministry, nie zdzierżył i wypunktował grzechy reformy: „nieprzygotowana, robiona na szybko, na kolanie, bez pilotażu, bez realnych szkoleń, bez gotowych i spójnych podstaw programowych". „Mam nadzieję – stwierdził pan poseł – że MEN pójdzie po rozum do głowy i opóźni wdrożenie reformy o rok. Bo reformy edukacji robi się nauczycielami, a nie papierami. Papier przyjmie wszystko".

O pomyśle Nowackiej Barbary krytycznie wypowiedziała się już nauczycielska Solidarność, natomiast nie wątpię, że poprze ją, po z pewnością twórczych i kreatywnych ustaleniach, Związek Nauczycielstwa Polskiego, który w rozmowach z ministrą reprezentować będzie niezatapialny prezes Broniarz Sławomir.

A naprawdę z tej reformy nie zostanie nic albo prawie nic. W latach 70. zeszłego wieku mało brakowało, by podobnie bezmyślnie oparto naszą edukację na 10-letniej szkole powszechnej. Popierali ja wszyscy komunistyczni święci i tylko naród miał o niej jak najgorsze zdanie, bo kojarzyła mu się, jak najsłuszniej, z sowiecką diesiatilietką. Minister Jerzy Kuberski, który ją lansował, przeniesiony został w związku z tym na stanowisko kierownika Urzędu do spraw Wyznań, a z czasem został nawet ambasadorem PRL w Watykanie, zresztą pierwszym po wojnie od czasu wznowienia polsko-watykańskich stosunków dyplomatycznych. Tak sobie myślę, że Nowacka, wojująca ateistka, rugująca religię ze szkół, mogłaby być wymarzoną kandydatką na to właśnie stanowisko, co przedkładam światłemu tandemowi Tusk – Sikorski pod rozwagę. Nie wydaje się bowiem, by w Watykanie szkodzić mogła bardziej niż nad Wisłą. ©℗

eprasa.pl 7deb5b8e48



Piotr Gociek

Rob Reiner osiągnął w Hollywood bardzo wiele. Mógł jeszcze więcej – przeszkodziła polityka



Początkiem reżyserskiej kariery Roba Reinera był prześmiewczy nibydokument „This Is Spinal Tap" (1984) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pożegnanie z rzemiosłem

Dawno, dawno temu, kiedy Hollywood potrafił jeszcze opowiadać historie, karierę reżyserską rozpoczął Rob Reiner. Było to w połowie lat 80. XX w. – dekady, której nienawidzi w kinie Quentin Tarantino, a którą uwielbiają widzowie, bo obfitowała w dokładnie takie filmy, jakie chcieliśmy oglądać. Reiner, który wcześnie znany był przede wszystkim z roli w sitcomie „All in the Family", szybko dołączył do grona bardzo cenionych reżyserów. W jedną dekadę odnotował więcej kinowych sukcesów niż niejeden twórca przez całą karierę.

KRYZYS KINA POPULARNEGO

Śmierć Reinera w tragicznych okolicznościach (wszystko wskazuje na to, że wraz z żoną zamordowani zostali przez syna) zbiegła się w czasie z poważnymi kłopotami, w które wpadło Hollywood. Pisałem o nich szerzej w poprzednim „Do Rzeczy". Dziś wspomnieć chciałbym o Reinerze nie tylko dlatego, że nakręcił kilka filmów, które były ważne, lecz także dlatego, że powrót do jego dorobku wyraźnie pokaże korzenie kryzysu współczesnego kina popularnego.

Początkiem jego reżyserskiej kariery był prześmiewczy nibydokument (mockumentary) „This Is Spinal Tap" (1984) o fikcyjnym zespole rockowym Spinal Tap. Była to świetna parodia dokumentów o prawdziwych gwiazdach rocka i zarazem udana satyra na muzyczny światek. Dzieje Spinal Tal spinają twórczą drogę Reinera jak klamra – jego ostatnim zrealizowanym projektem był ciąg dalszy zatytułowany „Spinal Tap II: The End Continues" (2025), który trafił do amerykańskich kin we wrześniu ubiegłego roku.

Jednak to, co najważniejsze, jeśli idzie o dokonania reżyserskie, wydarzyło się w życiu Roba Reinera w latach 1984–1995. Była to seria filmów „The Sure Thing" (1985), „Stań przy mnie" („Stand by Me", 1986), „Narzeczona księcia" („The Princess Bride", 1987), „Kiedy Harry poznał Sally" („When Harry Met Sally...", 1989), „Misery" (1990), „Ludzie honoru" („A Few Good Men", 1992) i „Prezydent. Miłość w Białym Domu" („The American President", 1995). Był to czas, kiedy współpracował z najlepszymi scenarzystami (William Goldman i Nora Ephron), z wielkimi gwiazdami o ustalonej reputacji (Jack Nicholson, Michael Douglas, James Caan) i idolami nowego pokolenia (Tom Cruise, River Phoenix, Kevin Bacon).

Reiner sprawnie poruszał się między gatunkami, ale największe uznanie zyskał za „Kiedy Harry poznał Sally" – fenomenalny sukces kasowy, który zbudował jego renomę jako specjalisty od komedii romantycznych. Był to też kluczowy tytuł w długiej karierze scenarzystki Nory Ephron, a przecież ma ona w dorobku także takie hity jak „Bezsenność w Seattle" czy „Masz wiadomość". Ale przecież wcześniejszy film „The Sure Thing" też należał do tego gatunku, a grający w nim główne role młodzi John Cusack i Daphne Zuniga mieli nie mniej uroku niż Billy Crystal i Meg Ryan. Reiner próbował później rozmaitych gwiazdorskich konfiguracji w romantycznych komediach, ale przez kolejne dekady już takiego hitu jak „Kiedy Harry poznał Sally" nie odnotował.

Najlepszym filmem w dorobku Reinera jest moim zdaniem dzieło nieoczywiste: dramat obyczajowy „Stań przy mnie" według opowiadania Stephena Kinga z tomu „Cztery pory roku". Była to pierwsza adaptacja filmowa prozy Kinga spoza obrębu fantastyki i horroru. Gdyby nie Reiner, nie byłoby zapewne później choćby sukcesu „Skazanych na Shawshank" (1994) w reżyserii Franka Darabonta czy „Ucznia diabła" (1998) Bryana Singera. Reiner jako pierwszy dostrzegł, że King nie tylko efektownie straszy, lecz także kreśli świetne portrety psychologiczne bohaterów, zwłaszcza młodych.

„Stań przy mnie" to medytacja o przemijaniu młodości, wyraz nostalgicznej

eprasa.pl 7deb5b8e48

tęsknoty za czasami dziecięcej niewinności, refleksji nad zmarnowanym życiem. A wszystko to opowiedziane nienachalnie, dyskretnie, mimochodem, przy okazji pokazania wędrówki małoletnich bohaterów, których na bezdroża wiedzie ciekawość: wieść niesie, że nieopodal torów pod miastem można zobaczyć ciało chłopca potrąconego przez pociąg. Ot, wszystko, cały film: wyprawa i dialogi. Porównałbym tę miniaturową odyseję i jej klimat do scen z filmu „Nad rzeką, której nie ma" (1991), choć oczywiście u Andrzeja Barańskiego mamy bohaterów starszych, zaplątanych w niespełnione miłości. Dla amerykańskich widzów „Stań przy mnie" to film kultowy także dlatego, że czwórka dzieciaków obsadzonych przez Reinera w rolach głównych zaznaczyła się potem w dziejach Hollywood. Byli to Wil Wheaton, River Phoenix, Corey Feldman, Jerry O'Connell i Kiefer Sutherland.

Obiektem nieustannego afektu fanów filmów fantasy jest do dziś „Narzeczona księcia", zabawna i gorzka zarazem komedia według powieści Williama Goldmana. Film, który kpiąc ze stereotypów literatury fantastyczno-przygodowej, dostarcza jednocześnie autentycznych wzruszeń, a dodatkowo jest metafikcją – opowieścią o sztuce opowieści. Pomogła trafiona obsada (Cary Elwes, Robin Wright, Mandy Patinkin), a rozmaite kwestie z filmu są do dziś cytowane przez fanów, tak jak ulubione dialogi z „Gwiezdnych wojen" czy opowiadań Sapkowskiego.

„Misery" (1990), psychologiczny thriller o autorze bestsellerów i jego szalonej fance (James Caan i Kathy Bates), to aktorski popis wspomnianej pary i znów spotkanie Reinera z prozą Stephena Kinga. Bates za swą rolę zdobyła Oscara, który do dziś pozostaje jedyną statuetką Akademii Filmowej przyznaną za pracę w filmach według Kinga (nominacji było wiele, m.in. za „Skazanych na Shawshank" czy „Zieloną milę").

Potem przyszedł czas na dramat sądowy rozegrany w wymiarze sprawiedliwości amerykańskiej armii. W „Ludziach honoru" Tom Cruise spotkał się na planie z Jackiem Nicholsonem, obsadę uzupełnili m.in. Demi Moore i Kevin Bacon. Film otrzymał cztery nominacje do Oscara (w tym za najlepszy film i dla wspomnianego Nicholsona); łącznie wszystkie filmy reżyserowane przez Reinera zdobyły 11 nominacji.

WYMOGI ALGORYTMÓW

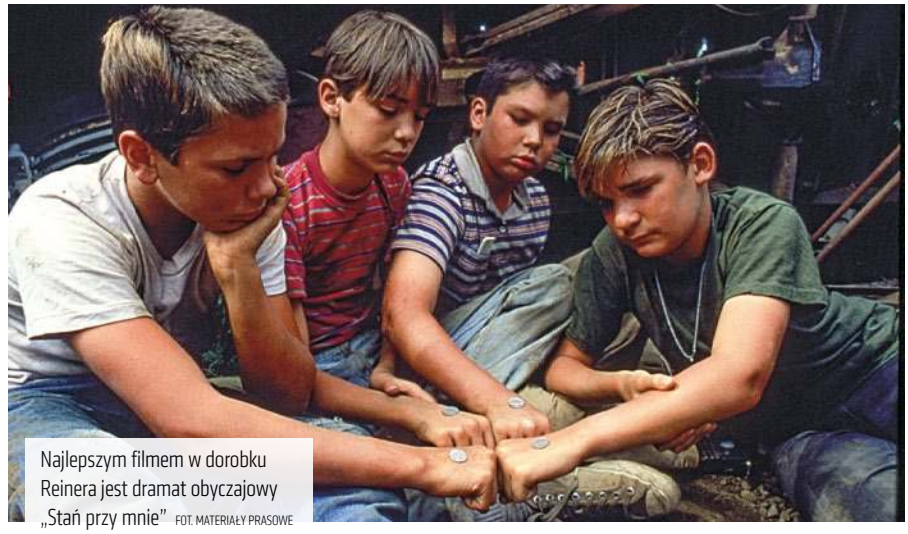
Zatrzymajmy się na moment, by odnotować, co łączyło te tak różne filmy, które wypełniły najlepszy okres w reżyserskiej karierze Roba Reinera. Po pierwsze, świetny materiał literacki: William Goldman, Nora Ephron, dwukrotnie Stephen King. Po drugie, były to filmy niedrogie, nawet w przypadku z natury kosztownego gatunku fantasy. „Narzeczona księcia" kosztowała 16 mln dol., podczas gdy nakręcone w tym samym roku „Czarownice z Eastwick" 22 mln, realistyczne „Dragnet" 20 mln, a „Gliniarz z Beverly Hills II" – aż 27 mln. Reiner dostarczał mądrej rozrywki na wysokim poziomie – a także zysków. Znani aktorzy nie musieli się u niego zmagać z ekipą od efektów specjalnych, lecz dostawali dobre dialogi.

Był to wciąż czas, gdy istniało pojęcie „kina środka". Dziś tego typu filmy do kin niemal nie trafiają; stały się domeną streamingu, gdzie ulegają zdeformowaniu, bo ich scenariusze poddawane są wymogom algorytmów, które częściej niż scenarzyści decydują dziś o liczbie i umiejscowieniu punktów zwrotnych. Reiner trafił ze swymi pierwszymi reżyserskimi próbami w dobry czas, kiedy Internet dopiero raczkował, sieci kablowe premium jeszcze nie podbiły rynku, a kino, tradycyjna telewizja oraz rynek kaset VHS były głównymi kanałami dystrybucji rozrywki. Można wręcz mówić o „małej złotej erze Hollywood". Chłonność rynku była olbrzymia, nawet jeśli jakiś film nie zarobił spodziewanych pieniędzy w kinach, to szybko przynosił krocie w wypożyczalniach wideo. Teraz to wszystko jest już tylko materiałem dla historyków kina.

Punktem zwrotnym w karierze Reinera nie stały się jednak zmiany w modelu rynku filmowego, ale jego własne mało trafione decyzje. Tak, był aktywny do ostatnich miesięcy życia; owszem, nakręcił w latach 1995–2025 jeszcze kilkanaście filmów, w tym sporo komedii romantycznych, ale nie odnotował już ani jednego prawdziwego hitu. Wyjątkiem był film „Choć goni nas czas" („The Bucket List", 2007) z Morganem Freemanem i Jackiem Nicholsonem. Coraz częściej za to zapuszczał się, dzięki m.in. współpracy z Aaronem Sorkinem na terytorium polityki. I przydarzyło się wówczas Reinerowi to, co Robertowi Redfordowi – im więcej kręcił filmów politycznie słusznych (z punktu widzenia liberalnych salonów), tym mniej widzów chciało je oglądać.

Jak bardzo aktywizm zastąpił dobre kino, widzimy w informacjach na temat projektu, którego Reiner już nie dokończy, a nad którym pracował w ostatnich latach. Miał to być serial dokumentalny o rzekomych związkach Putina z Trumpem, zatytułowany „The Spy and the Asset". Tak oto utalentowany autor niosących pozytywne przesłanie hitów zamienił się w politycznego bojownika. Zdecydowana większość Hollywood niestety podąża tym samym tropem. Po Reinerze zostaną jednak dobre filmy – te z lat 80. i wczesnych 90. A po pozostałych?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Najlepszym filmem w dorobku Reinera jest dramat obyczajowy „Stań przy mnie" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7deb5b8e48



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Po stronie życia



★★★★★★

REŻ. CLINT BENTLEY „SNY O POCIĄGACH” („TRAIN DREAMS”) USA 2025

wyst. Joel Edgerton, Felicity Jones, William H. Macy

Sny o pociągach” to jeden z najlepszych filmów 2025 r.; przemknął jednak niemal niezauważony między niezliczonymi premierami Netflixa ostatnich miesięcy. Za ekranizację krótkiej, elegijnej powieści Denisa Johnsona zabrał się Clint Bentley, reżyser m.in. filmów „Dżokej” i „Sing Sing”. Ten drugi film doczekał się nominacji do Oscara za scenariusz adaptowany.

„Sny o pociągach” wpisują się w wielką mitologię Ameryki jako kraju pogranicza – życie Roberta Grainiera toczy się tam, gdzie cywilizacja dopiero powoli buduje przyczółki, między surową przyrodą i równie surowymi ludźmi. Zarówno książka Johnsona, jak i film Bentleya przywołują atmosferę XIX-wiecznej prozy Willi Cather, która tak wiele uwagi poświęcała pionierom i imigrantom budującym na Dzikim Zachodzie nowe życie.

Ameryka usiana jest ich szczątkami. Po jednych zostały prosperujące farmy i kwitnące miasta. Po innych zaginął ślad, gdy trawa porosła bezimienne groby. Grainier (wybitna rola Joela Edgertona) należał będzie zapewne do tych drugich. Przybywa na świat z pustymi rękami, odchodzi z niego równie ubogi, nie znaczy to jednak, by jego życie nie miało sensu. Spotkał prawdziwą miłość, zaznał szczęścia rodzicielstwa i tragedii straty. Gdy pracował – nie szczędził sił. Kiedy odpoczywał – oszałamiał go widok boskiej kreacji, choć wiele czasu musiało upłynąć, by w pełni dostrzegł jej piękno.

Choć życie to tylko chwila, to doczesny znój zdaje się nie mieć końca. Szkoda jednak każdego momentu i niezależnie od bólu żyć jest lepiej, niż nie żyć. Nastrojowy, refleksyjny film Bentleya przypomina medytacyjne kino Terrence’a Malicka. Szczególnie to wcześniejsze, zanim twórca „Ukrytego życia” przeszedł od obrazów religijnego synkretyzmu do dzieł głęboko chrześcijańskich.

Na osobne pochwały zasługuje drugoplanowa, niewielka rola Williama H. Macy’ego, godna bez wątpienia (jak i rola Edgertona) oscarowej nominacji. Tak rzadko kręci się dziś podobne filmy: nie dość, że na podstawie naprawdę dobrej literatury, to jeszcze o prawdziwych dramatach prawdziwych ludzi. Nie wierzyłem, że można nowelę Johnsona zekranizować. Cieszę się, że Bentley udowodnił, że nie miałem racji. ©℗

GRA TYGODNIA: „DRAGON QUEST I & II HD-2D REMAKE”

Lekcja historii gejmingu w 4K. Odświeżone dwie pierwsze części legendarnej serii. Do bólu klasyczne japońskie erpegi, które przecierały szlaki późniejszym, lepiej dziś pamiętanym na Zachodzie tytułom. Wizualnie gra zachwyca – łączy sentyment pikseli z głębią nowoczesnego oświetlenia. Pod tą lśniącą fasadą kryje się mechaniczny skansen. I bardzo dobrze! To surowa rozgrywka rodem z lat 80. Nie ma tu miejsca na współczesne ułatwiacze życia i dopaminowe strzały co pięć sekund. Klasyka podana na nowo smakuje wyśmienicie. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *jRPG*
- ***Platforma:*** *PS5, XONE, NS2, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Artdink; Square Enix (PL: Cenga)*

eprasa.pl 7deb5b8e48

Bądź słony!

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. MARIANNE ELLIOTT
„ŚCIEŻKI ŻYCIA"
WIELKA BRYTANIA 2024

wyst. Gillian Anderson, Jason Isaacs, Hermione Norris

Ruch na świeżym powietrzu może nie zawsze uzdrawia, lecz z pewnością jeszcze nikomu nie zaszkodził. W wieku, w którym inni myślą o emeryturze, Raynor i Moth wyruszają pieszo wzdłuż angielskiego wybrzeża z zamiarem pokonania tysiąca kilometrów (z hakiem). Szlak wiedzie przez malownicze klify, plaże i rybackie miasteczka tudzież miejsca symboliczne, takie jak cmentarz i ruiny kolonii trędowatych. O północy można tam spotkać duchy króla Artura i rycerzy Okrągłego Stołu. Moth, omyłkowo brany za poetę, czyta „Beowulfa". Raynor obserwuje mewy. Zmagają się z fizyczną słabością, brakiem funduszy i kaprysami brytyjskiej aury, lecz jak na wyspiarzy przystało, nigdy nie odmówią sobie gorącej herbaty. Spotykają ludzi dobrych, wrednych, mądrych i głupich. Seria retrospekcji odsłania motywacje małżonków. Maszerując, chcą odreagować serię życiowych katastrof.

Włóczęgostwo wciąga. Nie trzeba być zdesperowanym i bezdomnym farmerem, by ulec magnetycznej sile podróży odbywanych w czasie i w przestrzeni. Jak to ładnie sformułował Robert Macfarlane, szlaki wydeptane w ciągu stuleci tworzą labirynt wolności. Niestety, apoteozie wędrówki, budowanej w kontrze do bezmyślnej turystyki, towarzyszą fabularne schematy rodem z poradnika „Jak napisać książkę, która wzruszy miliony czytelników i da się łatwo zekranizować". Jeśli jesteście sentymentalni i wierzycie, że czasem warto stracić wszystko, by zrozumieć, co w życiu jest najważniejsze, to w te pędy gnajcie do kina lub biblioteki (polskie wydanie nosi tytuł „Słone ścieżki"). Nie gwarantuję jednak, że dzieło, sygnowane nazwiskiem Raynor Winn, znajdziecie w dziale literatura faktu. Dziennikarskie śledztwo wykazało bowiem, że kluczowe elementy tej opowieści są bujdą na resorach. Jak na ironię, kampania reklamowa filmu wmawia, że mamy do czynienia z „historią prawdziwą".

Film jest sztuką bazującą na oszustwie, ale żal mi trochę duetu Anderson – Isaacs. Jeśli „Ścieżki życia" spopularyzują South West Coast Path w takim stopniu jak „Droga życia" Esteveza wypromowała Szlak Świętego Jakuba, to będzie głównie ich zasługa. Ciekawostka: w formatowaniu wersji ekranowej brała udział scenarzystka „Idy". ©℗

Wiesław Chełminiak

SAMI W SZKOLE

Prymus, królewna, dziwaczka, sportowiec i buntownik. Narozrabiali, więc muszą spędzić w budzie całą sobotę. Zaczynają od pozerstwa i wygłupów, ale potem zbiera im się na szczerość. Scenariusz samograj. Nastolatek nader rzadko jest zadowolony z życia i nauczycieli, o rodzicach nie wspominając. „Czy będziemy tacy jak oni?" – to pytanie z piekła rodem. Realizacja cokolwiek teatralna, młodzi aktorzy chwilami wypadają z ról, jednak film wytrzymał próbę czasu niegorzej niż pilotujący go utwór „Don't You (Forget About Me)". Hughes, scenarzysta trzech „Kevinów", pomysł kontynuowania tej historii odrzucił ze wstrętem. Obstawiam, że założyciele Klubu Śniadaniowego wyrośli na konformistów i samolubów. Ich pokolenie dzisiaj rządzi światem. A nasze szkoły średnie, mimo upływu 40 lat, nadal różnią się od amerykańskich. ©℗



sky SHOWTIME

★★★★☆☆

REŻ. JOHN HUGHES
„THE BREAKFAST CLUB" („KLUB WINOWAJCÓW")
USA 1985

wyst. Judd Nelson, Molly Ringwald, Emilio Estevez



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Folk żyje

GDZIE? Muzeum Śląskie w Katowicach
KIEDY? do 25 stycznia

W powszechnej świadomości „moda ludowa" ląduje zazwyczaj w jednej z dwóch szufladek. Pierwsza to zakurzone gabloty, gdzie martwe manekiny prezentują stroje, które dziś zakłada już tylko od święta garstka pasjonatów. Druga to, niestety, prząśna cepeliada – te wszystkie plastikowe korale i filcowe torebki, które z autentyczną tradycją mają tyle wspólnego, co parówki z mięsem. A przecież strój ludowy był kiedyś czymś znacznie więcej niż przebraniem. Był kodem. Nie służył tylko do zakrywania nagości, ale precyzyjnie komunikował o statusie społecznym, stanie cywilnym, pochodzeniu, bywał nawet na Śląsku manifestacją polskości.

Dziś to już język martwy. Nie ma pokolenia, które nosiłoby tradycyjny śląski strój od narodzin aż do śmierci. Wystawa w Muzeum Śląskim w Katowicach zamiast konserwować przeszłość w formalinę, wpuszcza w nią nieco świeżego powietrza. Obok wybranych elementów śląskich strojów ludowych z różnych ziem Górnego Śląska, które były noszone ponad 100 lat temu, zaprezentowano prace projektantki Beaty Bojdy inspirowane strojem śląskim i stylizowane z oryginalnymi ubiorami z muzealnej kolekcji. ©℗



FOT. ALEKSANDER BARTECKI/MUZEUM ŚLĄSKIE

eprasa.pl 7deb5b8e48



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Animalsi po polsku

Jak doszło do tego, że władzę w leśnej krainie objął „stary, wypłowiały, lecz ciągle niebezpieczny i przebiegły lis, powszechnie określany Załganym Gniotem, choć prawdziwe jego nazwisko brzmiało Przebiegły Szczuj", przewodniczący partii Dobre Żarcie i Spryt, złośliwie nazywanej partią Podstępu i Zdrady. No cóż, „wprawdzie jego partia nie wygrała wyborów, lecz wraz z sojusznikami, dzikimi świniami, kuropatwami, wężami i szczurami, była w stanie stworzyć parlamentarną koalicję. I stworzyła".

„Zdziwiła wszystkich klęska słoni, lwów, tygrysów i żbików. Okazało się, że ich populacja w dużym stopniu zignorowała wybory, a ponadto lisów, węży, kuropatw i szczurów było znacznie więcej. A Załgany Gniot oświadczył w gronie najbliższych współpracowników, że dla niego demokracja to wielka szansa, bo czuje się w niej jak ryba w wodzie".

Odnośnie do demokracji, to przypomina się dwuwiersz popularny w tużpowojennej Polsce: „Z przodu łata, z tyłu łata, / oto idzie demokrata". Ponieważ zgromadzeni w Komitetach Obrony Demokracji i podobnych zbieraninach miłośnicy najlepszego systemu politycznego pod słońcem zdążyli przez lata obrosnąć w piórka, a połataną odzież zastąpić markowym przyodziewkiem, wierszyk wypadałoby zmodyfikować na np.: „Ach, cóż to za wielka szmata? / To nasz polski demokrata". I zadedykować go obrońcom demokracji z niemiłościwie nam panującym Załganym Gniotem na czele.

Proszę wybaczyć niżej podpisanemu, że przydomki animalsów z satyry Stanisława Srokowskiego odnosi wprost do osobników mających się w Rzeczypospolitej za polityków. Trudno jednak nie mieć takich skojarzeń, gdy marszałkiem parlamentu zwierząt okazuje się prezes partii dzikich świń Wybierzmy Rycie, „zwany powszechnie Krzywym Ryjem, z muszką pod szyją i z dość oślizgłym uśmieszkiem. Krótko mówiąc – postać operetkowa i groteskowa".

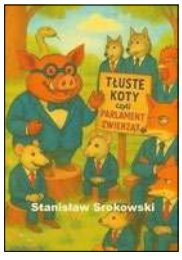
Ale i niebezpieczna: „Kiedy była mowa o cierpieniu wielu gatunków, potrafił nawet wywołać w sobie płacz i spowodować, że łzy wielkimi strugami spływały mu po pysku. A następnego tygodnia, jakby nigdy nic, potajemnie atakował najbliższych sąsiadów, niszczonych, prześladowanych i zabijanych przez człowieka. Znęcał się nad zającami, łosiami i sarnami, udając, że porządkuje leśne sprawy.

Był sprytny, przebiegły i mściwy, udając – jak rzekliśmy – dobrotliwego i serdecznego przyjaciela całego świata".

Autor „Tłustych kotów..." ostatnią kropkę swej, pisanej z odcinka na odcinek powieści postawił 5 maja 2025 r. Wypada sądzić, że gdyby stało się to później, wizerunek Krzywego Ryja byłby bardziej sympatyczny, jako że jego następca na stanowisku marszałka wydaje się już swołoczą bezkonkurencyjną. A w tym towarzystwie Krwawych Zębów i Zboczonych Pysków, Gdaczących Kogutów, w mniejszym stopniu także Małych Zbójów i Świrniętych Świrów niełatwo zapracować sobie na takie miano. Umówmy się również, że „najbardziej radykalne feministki wśród szczurów i węży, takie jak stara, wyleniała szczurzyca, Jadowita Krowa, wiecznie zbuntowana żmija, Obłąkana Lala, i druga, równie zgryźliwa i gniewna, a zarazem piękna i elegancka, Wściekła Łania", startują w zupełnie innej konkurencji.

A co z odwiecznym antagonistą Załganego Gniota – Zimnym Smokiem, prezesującym partii Złota Przyszłość, „choć tej złotej przyszłości nikt nigdzie nie widział"? Jego przydomek „wziął się stąd, że nieustannie dążył do wielkości i niesamowitości. Choć sam był jeżem niewielkiej postury, możemy nawet powiedzieć, że charakteryzował się niskim wzrostem, to jednak dysponował legendarną, wręcz smoczą potęgą umysłu, wielkością rozumu, fantastyczną pamięcią i dalekowzrocznością, która była niezbędna do racjonalnego sprawowania władzy". I pewnie dlatego nikt nie chciał z nim kooperować, mógł zatem wygrywać wybory, a i tak władzę sprawował ktoś inny.

Książka Stanisława Srokowskiego, autora m.in. „Nienawiści", na której kanwie nakręcony został jakże dziś niepoprawny politycznie film „Wołyń", nosi podtytuł „Satyra na polityków" i taką też jest. Jej afiliacje z „Folwarkiem zwierzęcym" Orwella są oczywiste, jak też nie bez powodu przypomina się w trakcie lektury „Tłustych kotów" – „Polskie zoo" Marcina Wolskiego. O ile jednak tamte zaprojektowane przez Jacka Frankowskiego telewizyjne kukiełki budziły sympatię, o tyle panoptikum zaprezentowane przez Srokowskiego wywołuje odrazę. Niezależnie od wysiłków autora, by humorem osłabić wydźwięk tej w gruncie rzeczy bardzo ponurej historii o zezwierzęconym sejmie. Z Załganym Gniotem w ławie rządowej – na fotelu premiera. ©℗



★★★★★★

STANISŁAW SROKOWSKI „TŁUSTE KOTY, CZYLI PARLAMENT ZWIERZĄT" WITOLD GADOWSKI 2025

eprasa.pl 7deb5b8e48



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zwyczajny faszyzm

Życie codzienne miasteczka i gminy Oberstdorf w latach 1918–1945: z początku tęsknota za monarchią i nieufność wobec nowoczesności, a potem kwity już wokół nie tylko alpejskie szarotki, lecz także lokalne struktury NSDAP.

Podstawą książki Julii Boyd (znamy ją z książki „Wakacje w Trzeciej Rzeszy. Narodziny faszyzmu") były archiwa gminne, ale opowieść utkana została także z wielu innych dokumentów, przede wszystkim fragmentów rozmaitych wspomnień, często niepublikowanych. Praca w archiwum pozwoliła na wybranie najciekawszych bohaterów, poprzez losy których wszystko miało być opowiedziane, a gdy lista nazwisk była gotowa, można było szukać dodatkowych materiałów o lokalnych weteranach, politykach, aktywistach NSDAP, dziennikarkach, przedsiębiorcach, wreszcie turystach.

Wybrana pod mikroskop gmina nie może jednak służyć za wzorzec typowej lokalnej społeczności niemieckiej czasów nazizmu. Oto wyniki wyborów – mocno zaburzane przez fakt, że głosowali w nich (także w tych najważniejszych, wynoszących Hitlera do władzy) właśnie przyjezdni. A czasem bywało ich dwukrotnie więcej od miejscowych, wszak Oberstdorf to popularne górskie uzdrowisko. Druga przyczyna jest ważniejsza: otóż mieszkańcy tych okolic to bawarscy katolicy, którzy na ekscesy wąsatego kaprala i jego partii patrzyli dużo mniej przychylnie niż pruscy protestanci.

Trop jest niesłychanie ciekawy, ale autorka chyba go nie docenia, kwitując rzecz rzuconym lekko stwierdzeniem, że autorytarne struktury nazistów były mniej atrakcyjne dla mieszkańców Oberstdorfu, bo tkwili już we własnych „autorytarnych strukturach", jak Boyd nazywa Kościół katolicki. Na szczęście pozostałe wywody są bardziej przytomne i ciekawsze. Mozaika jest niezwykła, są tu nawet lokalni naziści, którzy starali się zachowywać porządnie, to znaczy czasem pomagali sąsiadom, ale złowieszcza wewnętrzna logika rozpędzającej się machiny śmierci też jest ukazana.

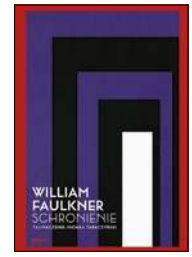
Najbardziej bolesne jest zakończenie. Denazyfikacja okazuje się kpiną, kara dosięga nieliczne i przypadkowe jednostki. Trochę szachrowania papierami, zeznaniami, przepisami – i już wszyscy są wybieleni, niewinni, nawet ci odpowiedzialni za masowe mordy na froncie wschodnim (skąd my to znamy...). Zwyczajny faszyzm zamienia się w zwyczajny RFN. ©℗



★★★★★★

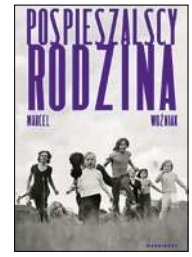
JULIA BOYD
„MIASTECZKO W TRZECIEJ RZESZY"
PORT 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE



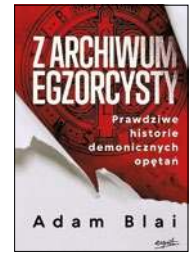
Nowe tłumaczenie książki znanej dotąd u nas jako „Azyl". Początkowo odrzucona przez krytykę jako nazbyt okrutna i szokująca, dziś uchodzi za pierwszą z wielkich powieści Faulknera. Przekład: Michał Tabaczyński.

WILLIAM FAULKNER
„SCHRONIENIE"
ZNAK



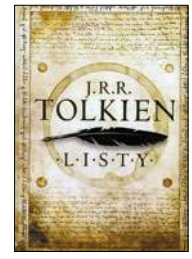
Jedna wielka rodzina, bardzo wiele postaci – a każda z jakimś talentem. Autor zebrał mnóstwo anegdot, trudniej idzie mu z układaniem jednej wspólnej historii – pytanie, czy w tym przypadku to w ogóle możliwe.

MARCEL WOŹNIAK
„POSPIESZALSCY. RODZINA"
MARGINESY



Prawdziwe historie demonicznych opętań opowiada psycholog i demonolog z Pittsburgha. Sprawy, które budziły publiczne zainteresowanie, i te, których bohaterowie pozostają anonimowi. W parze idą refleksja i przestroga.

ADAM BLAI
„Z ARCHIWUM EGZORCYSTY"
ESPRIT



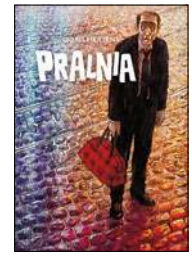
Cenny dodatek do wydawanej przez tę samą oficynę „Historii Śródziemia". W rozszerzonym wydaniu korespondencji Tolkiena znajdziemy więcej tematów. A co najważniejsze, ponad 150 listów dotąd jeszcze niepublikowanych.

recenzuje Piotr Gociek

J.R.R. TOLKIEN
„LISTY"
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
PIANA ZŁUDZEŃ

Francuski egzystencjalizm w formie powieści graficznej. Samotny pracownik paryskiej pralni marzy o wygranej w totka. Chce odmienić życie własne i nielicznych przyjaciół. Tymczasem dni spędza, popijając piwo w barze, oglądając w kinie „Taksówkarza" i bojąc się utraty pracy. Komu przyniosą szczęście liczby, które codziennie wpisuje na kuponie? I dlaczego los tak z niego drwi?



JORIS MERTENS
„PRALNIA"
EGMONT 2025

Piotr Gociek

eprasa.pl 7deb5b8e48



Konrad Smuniewski



Zyskać na handlu z Chinami

Gdyby ustawa proponowana przez prezydenta Karola Nawrockiego weszła w życie, państwo miałoby prawne podstawy do wywłaszczenia chińskiego współwłaściciela gdyńskiego portu. W praktyce dałoby to możliwość zastąpienia chińskiej kontroli nad portem przez amerykański fundusz BlackRock

Polska, położona na najkrótszej trasie kolejowej z Chin do Europy Zachodniej, staje się jednym z kluczowych punktów tranzytowych w chińsko-europejskim handlu. Z perspektywy Pekinu Europa odpowiada za ok. 20 proc. całego chińskiego eksportu, dlatego stabilny korytarz przez Polskę ma strategiczne znaczenie dla utrzymania ciągłości dostaw.

Najbardziej wymierne korzyści dla Polski to wpływy budżetowe z ceł, VAT i akcyzy. Według danych Krajowej Administracji Skarbowej rozbudowa połączeń kolejowych z Chinami może przynieść ponad 45 mld zł z VAT i 4 mld zł z ceł w ciągu 11 lat. Do tego dochodzą przychody z opłat tranzytowych, przeładunków i usług logistycznych.

Inwestycje w infrastrukturę – przede wszystkim rozbudowa terminalu w Małaszewiczach, modernizacja portów w Gdańsku i Gdyni (2,1 mln TEU w 2022 r.) oraz planowany terminal kontenerowy w Świnoujściu (2 mln TEU rocznie) – pozwalają Polsce konkurować z Hamburgiem i Rotterdamem o ładunki z Azji.

Czas transportu z Chin do Polski koleją wynosi ok. 14 dni, czyli dwa i pół razy szybciej niż drogą morską, co czyni ten szlak atrakcyjną alternatywą w sytuacjach kryzysowych, takich jak blokada Kanału Sueskiego czy ataki Huti na Morzu Czerwonym.

Łącząc przewagi geograficzne, infrastrukturę i stabilność polityczną, Polska może stać się głównym lądowym węzłem handlu chińsko-europejskiego i jednym z największych beneficjentów Nowego Jedwabnego Szlaku w Unii Europejskiej.

REKOMENDACJA AMERYKAŃSKIEGO OFICERA

„Siły amerykańskie w Polsce mają kluczowe znaczenie dla powstrzymania Chin i Rosji – taki powinien być główny przekaz prezydenta Polski Karola Nawrockiego podczas zbliżającego się spotkania z prezydentem Stanów Zjednoczonych Donaldem Trumpem w Białym Domu" – taką tezę stawia Ray Wojcik. To emerytowany pułkownik armii USA, ekspert do spraw obronności związany z Kościuszko Institute w Warszawie oraz były attaché wojskowy Armii Stanów Zjednoczonych w Ambasadzie USA w Warszawie. Służył ponad trzy dekady w U.S. Army jako żołnierz, podoficer i oficer.

To już nawet dla największych krytyków obecności Chin w Polsce było za dużo. Joanna Szczudlik z PISM na portalu The Diplomat odpowiada: „Chiny i Rosja nie stanowią dla Europy jednakowego zagrożenia militarnego. Postrzeganie tych dwóch państw jako jednego, wspólnego zagrożenia dla Europy i NATO jest zrozumiałą pokusą, ale jest to podejście błędne".

Nie przeszkadza to byłemu amerykańskiemu wojskowemu w próbie manipulowania prezydentem Polski i podszeptywaniu mu tego, o czym ma rozmawiać podczas spotkania z prezydentem Trumpem. Świadczą o tym te słowa: „Prezydent Nawrocki musi wykorzystać ten ważny moment, aby przekazać prezydentowi Trumpowi, o co toczy się gra w Europie – nie tylko w odniesieniu do Rosji, lecz także jej powiązań z Chinami, ponieważ złośliwy wpływ Pekinu rozszerza się na całym kontynencie".

Narracja płk. Wojcika prezentuje chińsko-rosyjski sojusz jako symetryczne, globalne wyzwanie dla Zachodu, wymagające intensywnego zaangażowania USA.

eprasa.pl 7deb5b8e48



Bałtycki Terminal Kontenerowy w Porcie Gdynia FOT. ADOBE STOCK

Jednocześnie amerykański ekspert stara się przekonać polską opinię publiczną, że Chiny są również takim samym zagrożeniem dla Polski. Ta teza jest nie tylko nieprawdziwa, lecz także szkodliwa, szczególnie że amerykański lobbing w Polsce przynosi destrukcyjne efekty.

Niedawne zamknięcie przejścia kolejowego łączącego Chiny z Polską jest tego wymiernym przykładem. Polski Instytut Ekonomiczny ocenia, że dwutygodniowe zamknięcie granicy mogło wygenerować dla firm straty rzędu 250–300 mln euro. Jeśli uwzględni się dodatkowe 100–200 mln euro kosztów poniesionych przez sektor transportu drogowego, to łączny bilans finansowy tej blokady sięga ok. 450 mln euro.

Jak wiadomo, zawieszenie kolejowego przewozu towarów z Chin jest zgodne z szerszymi interesami strategicznymi Stanów Zjednoczonych. Były szef polskiego wywiadu Piotr Krawczyk powiedział, że Waszyngton jest „bardziej niż zadowolony z zamknięcia tych tras". Dlaczego więc prezydent Nawrocki miałby sam zabiegać o podnoszenie tematów, które sprzyjają interesom Ameryki, a Polsce szkodzą? Niestety, z dużym prawdopodobieństwem możemy założyć, że prezydent Polski posłuchał się jednak wytycznych przedłożonych mu przez płk. Wojcika.

Inicjatywa ustawodawcza „Tak! Dla Polskich Portów", podpisana przez prezydenta Karola Nawrockiego 17 października 2025 r., w swym założeniu zobowiązuje rząd do realizacji kluczowych inwestycji portowych i logistycznych, mających wzmocnić bezpieczeństwo oraz suwerenność infrastrukturalną Polski. Jednak jeśli przyjrzymy się kontekstowi tej ustawy, to wygląda to już zupełnie inaczej.

„TAK! DLA BLACKROCK W GDYNI"?

W marcu 2025 r. polskie media informowały, że trwają przygotowania do przejęcia udziałów chińskiego operatora przez amerykańsko-europejskie konsorcjum, obejmujące BlackRock oraz MSC. Wartość transakcji szacowano na ok. 22,8 mld dol., a jej zakres miał obejmować 43 porty w 23 państwach, w tym terminal GCT w Gdyni. Zastąpienie chińskiego właściciela podmiotem amerykańskim stanowiłoby znaczący krok wymierzony w interesy Chin w Europie Środkowej. Jednak czy aby na pewno?

Warto zwrócić uwagę, że za potęgą konglomeratu CK Hutchison Holdings stoi jedna z najbardziej wpływowych rodzin w Azji: nestor rodu Li Ka-shing oraz jego syn i obecny prezes, Victor Li. Choć przez dekady uchodzili za bliskich partnerów Pekinu i dobrze rozumieli się z poprzednimi przywódcami, to ich relacje z obecnym przewodniczącym ChRL Xi Jinpingiem wyraźnie się ochłodziły. Rodzina Li nie wpisuje się w nowy model „patriotycznego kapitału", który zakłada pełną ideologiczną lojalność wobec Partii. Zamiast realizować polityczne priorytety władz, konsekwentnie kierują się biznesowym pragmatyzmem, co w dzisiejszych Chinach budzi nieufność i sprawia, że są postrzegani jako zbyt niezależni.

Symbolem tej niezależności była postawa Li Ka-shinga w 2019 r., kiedy – wbrew oczekiwaniom Pekinu – nie potępił jednoznacznie protestów w Hongkongu, lecz wezwał do powściągliwości i dialogu. Odebrano to jako brak wsparcia dla linii rządowej. Równocześnie od ponad dekady rodzina Li prowadzi konsekwentną strategię wycofywania kapitału z Chin, wyprzedając lokalne aktywa i przenosząc inwestycje do Europy, Kanady i Australii. Chińskie media państwowe komentowały te ruchy jako brak zaufania do przyszłości ChRL i „niepatriotyczną" ucieczkę kapitału.

Patrząc na to, w czyich rękach jest CK Hutchison Holdings, nie można z całą stanowczością mówić o biznesie powiązanym z władzą Xi Jinpinga, chociaż Chińczycy traktują go jako swoją strefę wpływów. Amerykańska argumentacja jest dziurawa na wielu płaszczyznach, co powinno zwrócić uwagę doradców prezydenta oddelegowanych na ten odcinek, o ile takich posiada.

Jednak finalizacja tej globalnej transakcji uległa opóźnieniu. W sierpniu 2025 r. chiński CK Hutchison ogłosił, że sprzedaż nie zostanie sfinalizowana przed końcem roku, częściowo z powodu działań chińskiego organu antymonopolowego, który rozpoczął szczegółową analizę porozumienia z BlackRock. Ponadto media donosiły, że Pekin wywierał presję w celu spowolnienia przejęcia portu w Gdyni przez amerykański BlackRock. W związku z tym Stany Zjednoczone podejmują działania mające na celu wywarcie wpływu na Polskę, aby przyspieszyć proces eliminowania chińskiej obecności w Porcie Gdynia.

Jeśli ustawa proponowana przez prezydenta Nawrockiego wejdzie w życie, to państwo będzie miało prawne podstawy do wywłaszczenia chińskiego współwłaściciela gdyńskiego portu. W praktyce da to możliwość wymuszenia sprzedaży aktywów lub przejęcia ich i przekazania nowemu inwestorowi – np. BlackRock zarządzanemu przez amerykańskich Żydów. Skutkiem tego może być zastąpienie chińskiej kontroli nad portem przez amerykański fundusz.

Przypomnijmy, czym jest BlackRock. Jest to największy na świecie prywatny fundusz zarządzający kapitałem, kontrolujący aktywy wartości ponad 9–10 bln dol. (polski PKB wynosi ok. 1 bln dol. czyli 10 razy mniej!), którego realna siła wynika nie z formalnych uprawnień, lecz z praktycznej zdolności wpływania na kluczowe rynki, spółki i rządy poprzez kapitał, analitykę i sieć powiązań.

Co to oznacza dla Polski?

– Wejście BlackRock do strategicznych polskich aktywów (np. infrastruktura portowa w Gdyni, energetyka, duże spółki giełdowe) może prowadzić do realnej utraty kontroli państwa nad kluczowymi obszarami;

– W sporach geopolitycznych (USA – Chiny, UE – USA) BlackRock nie reprezentuje polskich interesów, lecz interesy Zachodu, głównie USA;

– Tak duży i wpływowy podmiot automatycznie osłabia pozycję negocjacyjną Polski, która nie dysponuje własnym kapitałem na podobną skalę.

eprasa.pl 7deb5b8e48

Jak zatem w tym kontekście oceniać inicjatywę ustawodawczą prezydenta Nawrockiego „Tak! Dla polskich portów"? Czy może raczej „Tak! Dla BlackRock w Gdyni"? Czy Chiny rzeczywiście tylko czyhają na to, żeby sabotować Polskę, jak sugeruje amerykański emerytowany pułkownik Ray Wojcik? Przyjrzyjmy się faktom i cofnijmy się do 2023 r.

W drugiej połowie 2023 r. w przestrzeni medialnej zaczęła krążyć sugestywna narracja: oto Pekin miał wreszcie „przywołać do porządku" Alaksandra Łukaszenkę, nakazując mu złagodzenie kursu wobec Polski. W tle tej historii stały nie emocje, lecz twarde interesy – chiński tranzyt towarów do Europy, zagrożony przez kryzys migracyjny na granicy białorusko-polskiej, i narastające napięcia polityczne w regionie.

W 2023 r. faktycznie można było zaobserwować wyraźne zacieśnienie relacji między Mińskiem a Pekinem. Łukaszenka dwa razy odwiedził Chiny – w marcu i grudniu – podpisując z Xi Jinpingiem dokumenty o „wszechczasowym partnerstwie strategicznym". Choć w oficjalnych komunikatach nie pojawiło się ani jedno odniesienie do Polski, to nietrudno było dostrzec, że Chińczycy mówią nie tylko o inwestycjach czy pokoju na Ukrainie, lecz także o potrzebie „stabilności szlaków handlowych". Dla Pekinu, który przez Białoruś kieruje do Europy tysiące kontenerów, właśnie ta stabilność była kluczowa.

Wkrótce po pierwszej wizycie w Chinach Łukaszenka zaczął zaskakująco pojednawczo wypowiadać się o Polsce. Latem 2023 r. zapowiedział „plan dobrego sąsiedztwa", a kilka miesięcy później – po drugim spotkaniu z Xi – w sieci pojawiły się doniesienia, że to właśnie chiński przywódca miał wezwać go do „ułożenia się z Polakami". Portale takie jak Kresy24 i Biełsat sugerowały, że Pekin widzi w normalizacji relacji Mińska z Warszawą warunek utrzymania płynności Nowego Jedwabnego Szlaku. Według tych relacji Łukaszenka wrócił z Chin z nieformalnym „chińskim ultimatum" i zlecił swoim służbom odbudowę kanałów kontaktu z polskimi instytucjami.

Choć wówczas wydawało się to jedynie medialną plotką, to wydarzenia kolejnego roku nadały jej nowe znaczenie. W 2024 r., po decyzji Polski o ograniczeniu przełądunków w Małaszewiczach i po wizycie prezydenta Andrzeja Dudy w Pekinie, zachodnie media zaczęły pisać o realnej aktywizacji chińskiej dyplomacji wobec Mińska. „Tagesspiegel" donosił wprost, że „Polska zmusiła Chiny do wywarcia presji na Łukaszenkę", a białoruska opozycja zauważała wyraźny spadek liczby nielegalnych przekroczeń granicy. Sam Łukaszenka w połowie 2024 r. przyznał, że „Pekin był zaniepokojony eskalacją" i „apelował o spokój na granicy".

Jeśli chcemy pozostać kluczowym węzłem Nowego Jedwabnego Szlaku, to musimy nauczyć się rozmawiać z Pekinem jako państwo, które kieruje się wyłącznie własnym interesem narodowym

W efekcie to, co w 2023 r. uchodziło za niepotwierdzony przeciek, w roku następnym zaczęło przybierać formę realnej współpracy. Pekin, kierując się własnym interesem gospodarczym, pośrednio pomógł Polsce w ograniczeniu presji migracyjnej i stabilizacji sytuacji przygranicznej. W tej układance Chiny – choćby tymczasowo i z czysto pragmatycznych powodów – stały się cichym sprzymierzeńcem polskiego bezpieczeństwa.

KOMU TO WSZYSTKO SŁUŻY?

We wrześniu 2025 r., w czasie wizyty chińskiego ministra spraw zagranicznych Wang Yi w Warszawie, Radosław Sikorski jasno określił polskie oczekiwania wobec Pekinu: „Jeśli Chiny pomogą nam, jak kiedyś to zrobiły, zatrzymać białoruskie prowokacje, to granica zostanie otwarta".

Słowa te odnosiły się do decyzji polskiego rządu o czasowym zamknięciu granicy z Białorusią dla ruchu towarowego, ogłoszonej kilka dni wcześniej jako reakcja na rosyjsko-białoruskie manewry wojskowe „Zapad-2025" i rosnące napięcia na wschodniej flance NATO. W praktyce oznaczało to również wstrzymanie tranzytu kolejowego z Chin do Europy, co sparaliżowało transport towarów na głównym odcinku Nowego Jedwabnego Szlaku.

Pekin zareagował z wyraźnym zaniepokojeniem. Dla chińskiej gospodarki zamknięcie granicy oznaczało bowiem straty liczone w dziesiątkach milionów dolarów dziennie i przerwanie kluczowego szlaku logistycznego, z którego korzystały setki polskich i chińskich firm. Z ustaleń „Newsweek Polska" wynika, że Wang Yi miał zapewnić Sikorskiego, iż Chiny odbędą „szczerą rozmowę" z Łukaszenką, ponieważ utrzymywanie blokady granicznej jest dla Pekinu „ekonomicznie nie do zaakceptowania". Chiny równocześnie ponownie zadeklarowały poparcie dla polskiej kandydatury do G20.

Choć Polska liczy na chińskie wsparcie w kwestii granicy, to sama nie poinformowała Pekinu z wyprzedzeniem o planowanym zamknięciu szlaku kolejowego. To wywołało chaos w łańcuchach dostaw i poważne straty zarówno po stronie chińskich eksporterów, jak i polskich operatorów logistycznych. Dla Pekinu był to sygnał, że Warszawa potrafi działać jednostronnie, bez konsultacji z partnerami, co podważa jej wizerunek jako stabilnego ogniwa europejskiego tranzytu.

Równolegle Polska przygotowuje się do ratyfikacji dyrektywy NIS2, która wprowadza mechanizm uznawania pewnych podmiotów za dostawców „wysokiego ryzyka" – rozwiązanie wymierzone w takie firmy jak Huawei. Dodatkowo projekt „Tak! Dla polskich portów" przewiduje możliwość wywłaszczenia chińskiego operatora terminalu, co może otworzyć drogę do przejęcia go przez amerykański fundusz BlackRock. Te dwa procesy pokazują wyraźnie, że polski rząd coraz częściej służy interesom Waszyngtonu kosztem relacji gospodarczych z Chinami.

Polska znalazła się w sytuacji, gdy z jednej strony oczekuje od Chin presji na Białoruś i stabilizacji wschodniej granicy, z drugiej – wdraża zachodnie inicjatywy wymierzone w chińskie interesy technologiczne i infrastrukturalne. Jeśli chcemy rzeczywiście pozostać kluczowym węzłem Nowego Jedwabnego Szlaku, to musimy nauczyć się rozmawiać z Pekinem jako państwo, które kieruje się wyłącznie własnym interesem narodowym. W przeciwnym razie żadne państwo nie będzie traktowało nas poważnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7deb5b8e48

Germanizacja Kościoła w Polsce



Paweł Chmielewski

Kościół katolicki w Polsce gwałtownie się zmienia. Tradycyjną wiarę stopniowo zastępują jej skrajnie liberalne ujęcia. Można już dziś mówić o zjawisku germanizacji polskiego katolicyzmu

Zmiany w polskiej religijności następują od wielu dekad. Zwykle dociera do nas dość ponury obraz wyłaniający się ze statystyk. Od lat spada odsetek ludzi, którzy deklarują się jako wierzący. Powoli, ale nieubłaganie zmniejsza się liczba Polaków chodzących na niedzielną Mszę Świętą, chrzczących swoje dzieci, biorących kościelny ślub. Szerzą się rozwody, traktowane nawet w nominalnie katolickich rodzinach jako coś normalnego. Kryzys wiary i niska dzietność prowadzą nieubłaganie do braku powołań kapłańskich, co z kolei prowadzi do pustoszenia parafii i spadku zdolności do prowadzenia żywotnego duszpasterstwa. Obserwatorzy mówią o sekularyzacji, która w dużym stopniu przypomina procesy, przez które przeszły inne kraje zachodnie, dłużej niż Polska otwarte na destrukcyjny wpływ ideologii liberalnych. Przez pewien czas wydawało się, że jeżeli nawet liczba wierzących i praktykujących będzie się kurczyć również nad Wisłą, to Kościół katolicki pozostanie u nas przestrzenią zachowywania tradycji. Wskazywano na dziedzictwo wielkich świętych i błogosławionych XX w., ze szczególnym uwzględnieniem Faustyny Kowalskiej, Maksymiliana Kolbego, Stefana Wyszyńskiego, Jerzego Popiełuszki i Karola Wojtyły. Istniała w Polsce również liberalna narracja o wierze, reprezentowana jednak przez dość wąskie środowiska „Tygodnika Powszechnego czy „Więzi", popierane przez równie niewielkie grono biskupów. Wydaje się, że także polski konserwatyzm w wierze jest coraz mniej oczywisty. Progresizm w religii zaczyna trafiać pod strzechy i stawać się jednym z istotnych elementów polskiego krajobrazu kościelnego. Stawiam tezę, że można mówić w tym kontekście o postępującej germanizacji naszego katolicyzmu – liberalne idee wypracowywane i wdrażane w życie w Kościele za Odrą znajdują swoje miejsce również u nas. W niniejszym tekście postaram się pokazać ten proces na przykładzie wielu konkretnych wydarzeń, co – jak sądzę – może przemawiać do wyobraźni znacznie lepiej niż tylko abstrakcyjne rozważania o kondycji wiary w Polsce.

MEGACHURCH

Parafia pw. Matki Bożej Fatimskiej w Mistowie to niewielka wspólnota położona pod Mińskiem Mazowieckim, w diecezji warszawsko-praskiej. W 2009 r. ówczesny biskup tej diecezji, Henryk Hoser, powierzył parafię wspólnocie Chemin Neuf. To grupa, która narodziła się we Francji w latach 70. na fali posoborowego entuzjazmu ekumenicznego. Wyrosła z nurtu charyzmatycznego – wersji religijności katolickiej, która czerpie garściami z pobożności protestanckich chrześcijan zielonoświątkowych. Chemin Neuf jest z racji na swoje korzenie programowo otwarta na ścisłą współpracę z niekatolikami i w taki też sposób prowadzi parafię w Mistowie. Aktualnym proboszczem jest o. Marcin Borządek, członek Chemin Neuf. W dniach 7–10 listopada o. Borządek zorganizował w Mistowie wydarzenie ekumeniczne pt. „Szkoła uczniów". Jak wyjaśnił mi w odpowiedzi na zapytanie dziennikarskie, zaprosił na nie troje katolików, troje ewangelików i jednego anglikanina. Wydarzenie było zapowiadane przez fotografie z logotypem specyficznej wspólnoty protestanckiej – Bethel.

Bethel to grupa z miasta Redding w amerykańskiej Kalifornii. Prowadzi tzw. megachurch – wielki gmach kościelny, gdzie odbywają się charyzmatyczne nabożeństwa. Nagrania są łatwo dostępne w sieci. Religijna egzaltacja, emocjonalne świadectwa, mnóstwo ekstatycznego optymizmu, głośna i nowoczesna muzyka, która wprowadza zgromadzonych w specyficzny, jakby transowy nastrój – typowy przykład zaawansowanego technicznie amerykańskiego protestantyzmu, który nie ma nic wspólnego z katolicką pobożnością, znacznie mniej niż nawet klasyczny luteranizm czy kalwinizm. Nie wiadomo nawet, czy członkowie Bethel są ważnie ochrzczeni. Ojciec Borządek zapewniał mnie, że według jego najlepszej wiedzy – tak, ale trudno o weryfikację tych zapewnień. Kościół katolicki w Polsce

eprasa.pl 7deb5b8e48



rozpoznaje ważność chrztu w kilku wspólnotach protestanckich od dawna obecnych w naszym kraju; nie ma wśród nich amerykańskiego megachurch…

Czego mogą się nauczyć polscy katolicy od protestantów z zagranicy w tej specyficznej, mistowskiej „szkole uczniów”? Czy takie wydarzenia mają podstawę w tradycji katolickiej? Zadaję retoryczne pytania, czytelnik z łatwością sam na nie odpowie. Wydarzenia w Mistowie nikogo jednak nie szokują. Upodabnianie polskiego katolicyzmu do zielonoświątkowego protestantyzmu stało się czymś zwyczajnym. To przykład ekumenizmu, który lekką ręką odsuwa na bok wszystkie różnice między chrześcijanami, akcentując tylko to, co ich łączy. Tak samo dzieje się w Niemczech. Wprawdzie importowany zza oceanu charyzmatyzm nie odgrywa za Odrą większej roli, ale powszechne jest za to bazowe przekonanie o drugorzędności wszelkich różnic i prymacie ekumenicznego praxis. Katolik czy protestant – furda, byleby mówił „Jezus” i ładnie się przy tym uśmiechał.

RYZYKO MILCZĄCEJ AFIRMACJI

Natarczywy dialog z ideologiami współczesności kojarzony jest przede wszystkim z zakonami jezuitów i dominikanów. Dlatego niemałe zdziwienie wywołała inicjatywa o. Mateusza Filipowskiego – karmelity. Duchowny ogłosił w mediach społecznościowych, że w marcu 2026 r. w karmelitańskim ośrodku rekolekcyjnym w Gorzędzieju na Pomorzu przeprowadzi wraz z albertyńską zakonnicą s. Scholastyką Iwańską bardzo szczególne rekolekcje. „Po pierwsze i najważniejsze: kocham Cię…” brzmi ich tytuł, a rzecz jest adresowana – jak wyraził się o. Filipowski – do rodziców „dzieci LGBT+”. Karmelita opatrzył zapowiedź zdjęciem dużej, tęczowej flagi, symbolem ideologicznego ruchu homoseksualnego. O szczegółach opowiedział w rozmowie z „Gościem Niedzielnym”. Jak tłumaczył, kiedy był nastolatkiem, jedna z jego znajomych ogłosiła się lesbijką. Przyszły karmelita był tym zaszokowany i chciał jej pomóc. Dziewczyna napisała mu wówczas, żeby nie próbował jej zmieniać, a jedynie przy niej był. W wywiadzie o. Filipowski powiedział, że do dziś uznaje za właściwą postawę takiego nieosądzającego towarzyszenia. „Te osoby najczęściej znają naszą prawdę. Wiedzą, co o ich sytuacji mówi Kościół – są przecież inteligentne. Kim jestem, by je zmieniać? – chcę z nimi po prostu być, bo wierzę, że ta prosta relacja miłości doprowadzi tę osobę do zbawienia. Jeżeli Bóg jest miłością, to wykorzysta również tę naszą relację miłości, bycia, towarzyszenia pomimo wszystko, dla jej dobra, dla jej zbawienia” – powiedział.

Krytycznie oceniłem w mediach takie postawienie sprawy, wskazując, że samo towarzyszenie osobom homoseksualnym to zbyt mało – Kościół nie może rezygnować z przedstawiania własnej nauki, zakładając, że wszyscy ją znają, to nieprawdziwe założenie zwłaszcza w obliczu współczesnego zamieszania ideologicznego. Przekonywałem też, że postawa bezstronnego towarzyszenia może w prosty sposób przeradzać się w milczącą afirmację, która utrwali obiektywnie grzeszne postawy życiowe osoby, której się towarzyszy. W odpowiedzi na krytykę moją i innych jeszcze osób w obronie o. Filipowskiego stanęli m.in. liczni aktywni w mediach społecznościowych jezuici czy publicysta Tomasz Terlikowski. Zwykli katoliccy komentatorzy podzielili się w swoich ocenach. Jedni uważali, że karmelita przekroczył dopuszczalne granice, inni widzieli w tym wszystkim odważne pójście naprzód. Pomimo medialnej burzy rekolekcje nie zostały odwołane, co wskazuje na wsparcie ze strony przełożonych. Jeszcze kilka czy kilkanaście lat temu fraternizacja z ideami LGBT+ budziłaby duży opór. Dziś okazuje się dla bardzo wielu katolików akceptowalna. W Kościele katolickim w Niemczech homoseksualizm jest niemal powszechnie akceptowany, a w licznych diecezjach uroczyście błogosławi się pary tej samej płci. Nie da się już racjonalnie wykluczyć, że to samo stanie się w naszym kraju.

NIEMIECKA WIZJA MAŁŻEŃSTWA

Ksiądz Grzegorz Strzelczyk to znany duszpasterz, chętnie angażujący się w internetowe dyskusje. W minionych latach uchodził za eksperta od procesu synodalnego. Na co dzień posługuje w archidiecezji katowickiej, gdzie pełni ważną i odpowiedzialną funkcję – odpowiada za formację stałą kapłanów archidiecezji. Niedawno ukazała się nakładem wydawnictwa Znak książka, którą przygotowała redaktor Dominika Tworek. To rozmowa ks. Grzegorza Strzelczyka ze znanym i dalekim od katolicyzmu psychiatrą, Bogdanem de Barbaro. Rzecz nosi tytuł „Duch i psyche. Razem czy osobno?”. Strzelczyk i Barbaro rozmawiają m.in. o rozwodnikach – a konkretnie o dopuszczeniu do sakramentów osób w powtórnych związkach. W Kościele katolickim istnieje stała praktyka, by nie dopuszczać takich osób do Eucharystii – ze względu na obiektywny stan, w którym się

eprasa.pl 7deb5b8e48



FOT. ADOBE STOCK

Polski katolicyzm głęboko się zmienił – to po prostu fakt, nie można już tego ukrywać

znajdują po rozstaniu z prawowitym małżonkiem. W 1981 r. św. Jan Paweł II w adhortacji „Familiaris consortio" doszedł do wniosku, że z racji duszpasterskich można dokonać pewnej zmiany. Ci rozwodnicy, którzy w nowym związku żyją w czystości, mogliby w pewnych sytuacjach otrzymać rozgrzeszenie i przystępować do Komunii Świętej. Karol Wojtyła z jednej strony zachował zatem istotę rzeczy, nie pozwalając na Eucharystię w sytuacji obiektywnego cudzołóstwa, z drugiej zdecydował się na jakieś otwarcie. Taka nauka obowiązuje w Kościele cały czas.

Jednak w 2016 r. Franciszek ogłosił adhortację „Amoris laetitia", gdzie w jednym z przypisów zasugerował, że w niektórych przypadkach Komunię św. mogliby otrzymywać również ci rozwodnicy, którzy nie żyją wstrzemięźliwie. Takiej możliwości oczekiwał Kościół w Niemczech i to on ją teologicznie przygotował. Nowatorskie rozwiązanie, zrywające z praktyką Kościoła, wprowadzono w kilku krajach świata, w tym w krajach germańskich. W Polsce biskupi wydali w 2018 r. wytyczne do „Amoris laetitia", które nie zajęły praktycznie żadnego stanowiska; odwołano się jednak do św. Jana Pawła II. Jako że nauczanie Kościoła nie może być zmieniane przez niejasne przypisy, nie ma żadnych podstaw, by przyjmować pomysł Niemców. Jednak ks. Grzegorz Strzelczyk w rozmowie z Bogdanem de Barbaro opowiada o konieczności zmiany – a nawet o tym, że ona już w Polsce się dzieje. Mówi, że nauczanie Kościoła w sprawie rozwodników miało „pewne dziury", które teraz trzeba „łatać". Odwołuje się do „Amoris laetitia" i twierdzi, że Polacy „nie nadążają za pogłębioną refleksją moralną". Apeluje do rozwodników, by szukali „wykształconego" i „porządnego" spowiednika, który „przeprowadzi" ich przez tę sytuację.

Wcześniej, w marcu 2025 r., podobne tezy głosił dominikanin, o. Adam Szustak. Duchowny prowadził z okazji Roku Jubileuszowego rekolekcje w Gdyni, czyli na terenie archidiecezji gdańskiej. Przekonywał, że na podstawie „Amoris laetitia" można dokonać zmiany, bo niektórzy rozwodnicy w powtórnych związkach nie mieliby wcale popełniać grzechu ciężkiego, prowadząc życie intymne, stąd można byłoby dopuścić ich do Komunii Świętej. Tak jak wskazywałem wyżej, twierdzenia ks. Strzelczyka i o. Szustaka nie mają wystarczającej podstawy w nauce Kościoła. Niemiecka interpretacja przypisu do „Amoris laetitia" jest dalece mniej istotnym głosem Kościoła niż wielowiekowa praktyka czy wyraźne i jasne nauczanie św. Jana Pawła II w „Familiaris consortio". Słowa obu duchownych nie mają też podstawy w oficjalnym stanowisku polskich biskupów. Niestety, pomimo nagłaśniania przeze mnie obu tych przypadków reakcji nie ma – germańska wizja małżeństwa i powtórnych związków jest w Polsce coraz silniej obecna.

LIBERALIZACJA POLSKIEGO KATOLICYZMU

Te trzy sprawy to jedynie wybrane, w większości bardzo świeże przykłady na liberalizację polskiego katolicyzmu. Można byłoby wymieniać takich rzeczy jeszcze więcej.

Choćby taka: 27 października w Łodzi odbyła się konferencja o dialogu z judaizmem, oczywiście pod patronatem kard. Grzegorza Rysia. Zaproszony został m.in. Jan Grosfeld, który uważa nauczanie Soboru Watykańskiego II za „zgniły kompromis", a w katolickiej nauce widzi jedno ze źródeł Zagłady; innym z gości był ks. Alfred Wierzbicki, autor poglądu, zgodnie z którym nawracanie Żydów było błędem. Kolejna: wykładowca katolickiego UKSW ks. Adam Świeżyński nieco wcześniej zachwalał w „Tygodniku Powszechnym" tęczową paradę, która przeszła ulicami Gdańska. Idziemy dalej. Na Jasnej Górze odbyło się ekstrawaganckie wydarzenie, „Pielgrzymka z obrzeży Kościoła", gdzie pojawili się też liczni krytycy polskiego katolicyzmu, wiecznie niezadowoleni z jego rzekomego zacofania. Wreszcie w sieci rekordy popularności zdobyła rozmowa między dwoma katolikami, z których jeden przedstawiał wizję chrześcijaństwa całkowicie ekumenicznego i egzaltowanego, opartego na nieustannych domniemanych cudownych uzdrowieniach i ścisłej współpracy modlitewnej z protestantami – znalazł olbrzymie grono fanów i obrońców.

Wystarczy, nie chcę już dalej tego mnożyć. Polski katolicyzm głęboko się zmienił – to po prostu fakt, nie można już tego ukrywać. Poglądy i postawy, które przez długi czas stanowiły margines i natrafiały na duży opór w szerokich rzeszach katolików, podlegają normalizacji i stają się typowym elementem naszego życia religijnego. Przyczyny tego stanu rzeczy są głębokie i bardzo złożone, ale nade wszystko nasuwa się jedna: abdykacja z jasnego nauczania wiary katolickiej. Pasterze w Polsce zajmują się raczej administracją i moderacją. Administracją, bo widzą się w roli zarządców dużej organizacji – z problemami, ale wciąż wpływowej i z konkretnym zapleczem finansowym. Moderacją, bo zamiast wskazywać na Tradycję katolicką jako probierz prawdy, godzą ze sobą rozmaite poglądy, tak jakby wszystkie znaczyły tyle samo – wystarczy, że głoszący je wyrażają wolę bycia katolikiem. Wobec tego nauczycielskiego paraliżu rząd dusz w Polsce będą przejmować skrajne nurty – w tym katolicyzm w relatywistycznej, liberalnej wersji germańskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 7deb5b8e48

Demokracja zakłamania



FOT. ADAM SZŁAPKA/FACEBOOK



Filip Memches

Przekraczanie granic prawa przez „uśmiechniętą" koalicję w imię „przywracania praworządności" wpisuje się w to, o czym pisał „koronny jurysta III Rzeszy"

W roku 2024 Donald Tusk, rozprawiając na temat sposobów wyjścia z kryzysu konstytucyjnego w Polsce, oświadczył, że potrzebne są działania „w kategoriach demokracji walczącej". Jego słowa zaintrygowały polską opinię publiczną. „Demokracja walcząca" to termin ukuty przez Karla Loewensteina. Ów niemiecki prawnik pochodzenia żydowskiego rozumiał pod tym pojęciem rozwiązanie mające na celu zapobieżenie temu, co się stało u schyłku Republiki Weimarskiej. Narodowi socjaliści przejęli władzę w Niemczech demokratycznie – na drodze wyborów powszechnych do parlamentu. Loewenstein sformułował zatem podstawy teoretyczne ku temu, by nigdy więcej nie dopuścić do takiej sytuacji – nawet gdyby oznaczało to działanie państwa wbrew woli ludu.

W tym kontekście zatem należy uznać za zastanawiające zdjęcie, które przewinęło się jakiś czas temu w mediach społecznościowych, a przedstawiające Tuska czytającego – a może raczej pozującego, że czyta – w samolocie jeden z archiwalnych numerów kwartalnika „Kronos". Chodzi o to, że okładkę tego wydania periodyku zdobi portret Carla Schmitta. Człowiek ten, tak jak Loewenstein, również był niemieckim prawnikiem, tyle że w odróżnieniu od niego nie miał żydowskiego pochodzenia. W dodatku uwikłał się w kolaborację z reżimem narodowo-socjalistycznym.

Szef rządu polskiego do samolotu zabrał numer „Kronosu" zawierający dwa teksty „koronnego jurysty III Rzeszy" – bo takie określenie przylgnęło do Schmitta. Przy czym Tusk nie jest pierwszym polskim politykiem, który pojawił się w przestrzeni publicznej, trzymając w ręku publikację zawierającą pisma tego prawnika. Niegdyś Internet obiegło zdjęcie Waldemara Pawlaka przyłapanego w ławach sejmowych na lekturze wyboru tekstów Schmitta. Spotkało się to z rozmaitymi komentarzami (w tym chyba także żenująco kąśliwymi w rodzaju: Jak to? Ten przaśny PSL-owiec zgłębia takie sprawy?). Natomiast od początku XXI w. środowiska progresywno-liberalne lansują narrację o tym, że myśl Schmitta inspiruje Jarosława Kaczyńskiego, co, rzecz jasna, ma prezesa Prawa i Sprawiedliwości dezawuować. Nie da się ukryć, że ten Niemiec wywołuje nad Wisłą polityczne emocje. I nie chodzi tylko o nazistowską skazę na jego biografii, ale po prostu o treść tego, co głosił.

DECYZJA, A NIE ZAPIS NA PAPIERZE

Koncepcję Schmitta można wyłożyć w dużym skrócie następująco: człowieka nowoczesnego cechuje racjonalistyczna mentalność. Jest ona konsekwencją procesów sekularyzacyjnych, które zaczęły się w Europie w epoce renesansu. Wpłynęły one znacząco na poszczególne sfery życia publicznego.

Według Schmitta wszystkie istotne pojęcia z zakresu nowożytnych nauk politycznych to zsekularyzowane pojęcia teologiczne. Przykładem jest termin „stan wyjątkowy" – odpowiednik tego, co w teologii stanowi cud, czyli sytuację nadprzyrodzoną i nadzwyczajną, interwencję Boga w świecie. Skoro jednak w umyśle człowieka nowoczesnego nie ma miejsca na Stwórcę, to i kategoria stanu wyjątkowego nastręcza mu trudności.

Tymczasem zdarzają się sytuacje, do których nie da się zastosować obowiązującego prawa. Wymykają się one bowiem racjonalistycznej wyobraźni prawodawców. Wtedy prawo okazuje się martwym zapisem na papierze, a liczy się konkretna ludzka decyzja. Podjęcie jej stanowi o czyjejś suwerenności, ponieważ suwerenny jest ten, kto decyduje o stanie wyjątkowym. Z tym że Schmitt tak stawiając sprawę, nie występował jako rzecznik bezprawia i zamordyzmu. Nie wychwalał stanu wyjątkowego, lecz podchodził do niego jak naukowiec zajmujący się mechanizmami funkcjonowania państwa.

Człowieka nowoczesnego jednak charakteryzuje paniczny lęk przed sytuacjami nadzwyczajnymi jako przed czymś nieznanym (racjonalizm przecież obiecał poddać rzeczywistość ludzkiej kontroli). Przejawia się to również w podejrzliwym nastawieniu do figury suwerena jako potencjalnego autorytarnego przywódcy, który za nic ma konstytucje i inne akty prawne.

W sytuacjach nadzwyczajnych ujawnia się też podstawowy podział polityczny. Zdaniem Schmitta jest to dychotomia „przyjaciel – wróg". Przy czym nie oznacza

eprasa.pl 7deb5b8e48

to, że nieuchronnie stanowi ona zarzewie atawistycznych międzyplemiennych waśni (a tak właśnie myśl niemieckiego prawnika upraszczająco interpretują ci, którzy ją krytykują). Z wrogiem nie ma konieczności prowadzenia wojen. Można z nim nawet zawrzeć trwały pokój. Przy czym wróg to ktoś, kogo niekoniecznie uważa się za złego w sensie moralnym, lecz ktoś obcy – ktoś, z kim nie sposób się w wymiarze politycznym utożsamić. W relacjach z wrogiem wspólnota polityczna doświadcza egzystencjalnie swojej odrębności.

Wracając do biografii Schmitta, jego nastawienie do narodowego socjalizmu było skomplikowane. Owszem, ma on na swoim koncie opinie, w których padł postulat oczyszczenia niemieckiej nauki o prawie z „ducha żydowskiego". Poza tym w latach 1933–1945 Schmitt należał do NSDAP. Ale w roku 1936 naziści zarzucili mu oportunizm i odsunęli na bocznicę, pozbawiając go statusu prominenta. Jeśli o coś można Schmitta oskarżyć, to głównie o konformizm. Stanowił on pokłosie jego legalistycznej postawy. Przez swoje długie życie (zmarł w roku 1985 w wieku prawie 97 lat) zawsze popierał tych, którzy kolejno rządzili Niemcami. I w pewnym momencie padło na narodowych socjalistów.

Teksty Schmitta o suwerenie i dychotomii „przyjaciel – wróg" są nieraz przywoływane propagandowo – żeby skojarzyć je z uwikłaniem autora w kolaborację z reżimem nazistowskim. Tyle że zostały one napisane w okresie Republiki Weimarskiej. Schmitt wówczas stał po jej stronie i chciał, żeby rozprawiła się ona z dwiema radykalnymi siłami – komunistami i narodowymi socjalistami. Ci drudzy mu to zapamiętali.

Co zatem miało znaczyć wrzucenie do mediów społecznościowych zdjęcia Donalda Tuska trzymającego w ręku wydanie „Kronosu" z pismami Schmitta? Czyżby rozważania tego prawnika o stanie wyjątkowym miały być kompatybilne z koncepcją „demokracji walczącej" Karla Loewensteina?

Jeszcze w roku 2020 Tusk zaatakował Viktora Orbána, stwierdzając, że Schmitt byłby z niego dumny. Ta uwaga pod adresem premiera Węgier została w jego kraju odebrana jako bezczelna sugestia, że wprowadzając w państwie rozmaite ograniczenia swobód obywatelskich – skądinąd spowodowane pandemią COVID-19 – sięgnął on po metody, których nie powstydziliby się w III Rzeszy naziści. W tym kontekście warto przypomnieć, że Tusk jest jednym z założycieli periodyku „Przegląd Polityczny", na którego łamach także ukazywały się teksty Schmitta (choć trzeba odnotować, że jako materiały źródłowe, a nie wyraz stanowiska redakcji). Natomiast trudno jednoznacznie orzec, czemu miało służyć wysłanie do Polaków obrazkowego komunikatu, że szef polskiego rządu czyta pisma kogoś, kogo wcześniej postponował, bo to wynika z tego, co powiedział pięć lat wcześniej w odniesieniu do polityki Orbána.

Na marginesie warto zauważyć, że „Kronos" jest periodykiem, którego „uśmiechnięta" koalicja nie rozpieszcza. W roku 2024 w TVP zarządzanej przez jej nominatów zdjęto z anteny cykl publicystyczny realizowany od 2017 r. przez ekipę tego kwartalnika. Za brutalnym przejęciem telewizji publicznej przez „uśmiechniętą" koalicję stał zaś ówczesny minister kultury i dziedzictwa narodowego, Bartłomiej Sienkiewicz – 10 lat wcześniej – co nie jest zdaje się przypadkowe – szef resortu spraw wewnętrznych. A jednak w roku 2024 polityk ten, przychyliwszy się do tego, żeby „Kronos" otrzymał dofinansowanie ze środków publicznych, oznajmił dwuznacznie: „Znakomite pismo filozoficzne, z redaktorami którego mój obóz polityczny łatwo by się nie porozumiał".

Gdy liberałowie są w sytuacji nadzwyczajnej, sięgają po środki, które potępiają jako „faszystowskie"

ZERWANA ZASŁONA

Może zatem teksty Schmitta, paradoksalnie, inspirują Tuska i Sienkiewicza (do tego grona wypada dorzucić też ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka)? Są oni orędownikami demokracji i praworządności, ale tylko na pokaz, bo tak naprawdę skuteczne uprawianie polityki wymaga od nich czegoś innego. W Polsce bowiem suwerenem jest ten, kto narzuca Polakom reguły gry w sytuacjach nadzwyczajnych i zarazem kto owe sytuacje definiuje. Ktoś taki nawet nie musi ogłaszać stanu wyjątkowego, bo po prostu działa metodą faktów dokonanych. Tak się właśnie stało podczas wprowadzania nowych porządków politycznych – zwłaszcza w wymiarze sprawiedliwości – od roku 2023.

Znamienne jednak, że wśród entuzjastów kursu obranego przez gabinet Tuska Schmitt uchodzi za teoretyka czegoś nieakceptowalnego – politycznej sprawczości, tyle że nieliczącej się z prawem. Ważniejsze jest jednak co innego – niemiecki prawnik wytykał liberalizmowi dążenie do wyzucia polityczności ze wszelkich antagonizmów, co miałoby się przejawiać w fetyszyzacji parlamentarnego rozdyskutowania i konsensusu społecznego. Ale Schmitt posuwał się nawet jeszcze dalej: pokazywał, że owa fetyszyzacja służy liberałom do ugłaskania rzeczywistości, lecz wyłącznie w takich warunkach, które są zwyczajne, więc działają na ich korzyść.

Wystarczy jednak, że znajdą się oni w zagrożeniu egzystencjalnym, czyli w sytuacji nadzwyczajnej, a nie zawahają się sięgnąć – za fasadą demokracji i praworządności – po środki, które oficjalnie potępiają jako „faszystowskie". Jeśli bowiem są to nawet narzędzia bezprawne, to jednak sprawdzają się w efektywnym forsowaniu swoich racji i interesów, czyli skutecznej konfrontacji z wrogiem. I tu się kłania Loewenstein ze swoją „demokracją walczącą".

W numerze „Kronosu" zabranym przez Tuska do samolotu jest tekst Schmitta pod wymownym tytułem „Tyrania wartości". Czytamy w nim m.in.: „Kto ustanawia wartość, zwraca się tym samym przeciwko nie-wartościom. Bezgraniczna tolerancja i neutralność, równoznaczna z całkowitą swobodą wymiany stanowisk i punktów widzenia, natychmiast zmieni się w swoje przeciwieństwo, we wrogość, o ile tylko na serio i konkretnie stanie w obliczu kwestii realizacji i obowiązywania" (przekład: Bartosz Kuźniarz).

Ten cytat można odnieść do współczesnej Polski. Zdziera on z polityki „uśmiechu" zasłonę zakłamania i obnaża prawdę o retoryce środowisk progresywno-liberalnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7deb5b8e48



Witold Mędykowski



Grzegorz Rossoliński-Liebe, autor książki „Polnische Bürgermeister und der Holocaust. Besatzung, Verwaltung und Kollaboration" („Polscy burmistrzowie i Holokaust. Okupacja, administracja i kolaboracja") FOT. YOUTUBE.COM/@BPB_DE

Czy prawda potrzebuje obrońców?

Książka dr. Grzegorza Rossolińskiego-Liebego stawia polskich urzędników administracyjnych pod okupacją niemiecką nawet nie na równi z nazistowskimi katami narodu polskiego i żydowskiego. Autor stara się uzasadnić tezę o większym nawet zaangażowaniu Polaków w Szoah niż ledwo wzmiankowanych w publikacji Niemców

W artykule w „Gazecie Wyborczej" z 28 listopada 2025 r. Jan Grabowski zwraca się z apelem w obronie dr. Grzegorza Rossolińskiego-Liebego, używając niezwykle dramatycznych słów i nawiązując do rozbrzmiewającej w Polsce dyskusji na temat książki tego historyka zatytułowanej „Polnische Bürgermeister und der Holocaust. Besatzung, Verwaltung und Kollaboration". Książka ta stawia polskich urzędników administracyjnych w okresie okupacji niemieckiej w Generalnym Gubernatorstwie nawet nie na równi z nazistowskim katami narodu polskiego i żydowskiego, ale stara się uzasadnić tezę o większym nawet zaangażowaniu Polaków w Szoah niż ledwo wzmiankowanych w publikacji Niemców.

Autor przedstawia dr. Rossolińskiego-Liebego w samych superlatywach: utalentowany, poważny badacz, ofiara „bezlitosnej nagonki" ze strony ignorantów i nienawistników. Profesor Grabowski jako przykład podaje też jego odważną publikację o Stepanie Banderze i ataki na niego oraz grożenie mu śmiercią na Ukrainie.

Wydaje się jednak, że prof. Grabowski nie tylko nie docenia czytelników, lecz także traktuje ich z pogardą, pisząc, że tylko kilka osób w Polsce, nie więcej niż 10, jest w stanie przeczytać tę książkę, a pomimo to rozpętano „bezlitosną nagonkę" powodowaną głęboką ignorancją. Pomimo tego, że prof. Grabowski był stypendystą wielu fundacji niemieckich, m.in. Fundacji Gerdy Henkel, wydaje się, że nie do końca rozumie współczesną Polskę i stosunki polski-niemieckie. Będąc w Unii Europejskiej, funkcjonując w strefie Schengen, tysiące Polaków mieszkają i pracują bądź pracowały w Niemczech. Funkcjonują wspólne programy wymiany naukowej, wielu studentów było uczestnikami Erasmusa, a Polacy znają coraz lepiej języki obce, w tym także niemiecki. Czy traktowanie czytelników tak wychwalanej przez siebie publikacji jako ignorantów jest jedynie wyrazem arogancji czy też może braku innych argumentów?

POZORY POWAŻNEJ PRACY NAUKOWEJ

„Poważne dzieło poważnego badacza zasługuje na poważną debatę" i rzeczywiście taka debata już się rozpoczęła również w Polsce, a dr Rossoliński-Liebe powinien się cieszyć, że znów osiąga szczyty popularności. Ponieważ jednak krótki artykuł przekracza ramy recenzji czy poważnej debaty, warto zaznaczyć chociażby kilka ważnych elementów. Profesor Grabowski wzywa do obrony „wolności słowa". Czy jednak wolność słowa ma się równać brakowi etyki badań naukowych i elementarnej uczciwości?

Książka rzeczywiście ma pozory poważnej pracy naukowej, jednakże problem zaczyna się w chwili, kiedy odbiorca zaczyna ją czytać. Ta książka nosi znamiona publicystyki historycznej o charakterze propagandowym. Autor nie prezentuje tezy, którą chce udowodnić, nie zadaje pytania badawczego, nie przedstawia problemu! On już na początku, w tytule, jasno stwierdza, że działania polskich burmistrzów podczas niemieckiej okupacji (warto dodać – pod przymusem i niejednokrotnie groźbą śmierci) równają się współodpowiedzialnością za Holokaust! Już sam tytuł o tym świadczy. „Polscy burmistrzowie i Holokaust. Okupacja, administracja i kolaboracja". To jest już kwintesencja całej książki. Niemcy są nieobecni. Niemcy są niepotrzebni.

Pomimo tego, że Richard Breitman zatytułował swoją książkę o Himmlerze „Architekt Holokaustu", tych architektów było więcej i nie byli to Polacy. Również dedykacja książki dr. Rossolińskiego-Liebego wiele mówi. „Dla […] oraz ku pamięci tych, których prześladowania

eprasa.pl 7deb5b8e48

i morderstwa wspierali polscy burmistrzowie". Ale którzy burmistrzowie byli polscy i w jakim stopniu? Okazuje się, że wśród nich byli Niemcy/folksdojcze, Polacy i Ukraińcy. Ci pierwsi i ci ostatni stanowili grupy uprzywilejowane w Generalnym Gubernatorstwie.

Dla dopełnienia całości na okładce umieszczono fotografię Juliana Spitosława Kulskiego, komisarycznego burmistrza Warszawy w latach 1939–1944. Polak i burmistrz, który miał żydowskie pochodzenie – jego pradziadkiem był główny rabin Warszawy w okresie od 1856 r. do powstania styczniowego, polski patriota Dow Ber Meisels. W czasie wojny Kulski ukrywał Żydów we własnym mieszkaniu. Urząd burmistrza sprawował za zgodą władz Państwa Podziemnego i wraz z pracownikami uratował setki, jeśli nie tysiące Żydów, wystawiając im fałszywe dokumenty, dzięki którym uniknęli śmierci. W Warszawie stoi jego pomnik, jest ulica jego imienia, jest tablica pamiątkowa na budynku jego imienia. To on ma być symbolem Holokaustu? To on ma symbolizować mord 6 mln Żydów?

Czytelnik nie powinien się łudzić. Już samo to, że tytuł książki w takim zestawieniu: „Polscy burmistrzowie i Holokaust" ma tysiące odsłon na całym świecie. Przekaz został podany i krąży w sieci, jest w katalogach bibliotek na całym świecie. Dezinformacja w pełni się udała, a cel, choćby częściowy, został osiągnięty. W dalszych częściach książki jak mantra jest powtarzany „rząd krakowski" (81 razy), polscy burmistrzowie (111 razy), polscy urzędnicy (70 razy) i wiele innych. I nie jest to jakieś przypadkowe stwierdzenie. To majstersztyk propagandy. Stwierdzenie częściowej prawdy, zestawienie prawdziwych i nieprawdziwych faktów, zestawienie czynników istotnych i marginalnych.

Czy traktowanie przez Jana Grabowskiego czytelników tak wychwalanej przez siebie publikacji jako ignorantów jest jedynie wyrazem arogancji czy też może braku innych argumentów?

Pokolenia zwolenników mogą się uczyć na podstawie tej książki sztuki manipulacji.

KLASYCZNA MANIPULACJA

Na stronie 1017 czytamy: „Burmistrzowie i administracja miejska byli ważnymi aktorami Holokaustu. Uczestniczyli oni w większym stopniu w prześladowaniach (praca przymusowa, konfiskata mienia, gettoizacja [czyli tworzenie gett dla Żydów], ściąganie podatków) niż w mordowaniu Żydów". W innych fragmentach książki autor poprzez oddzielanie ofiar żydowskich od polskich z łatwością zalicza Polaków do kolaborantów i współsprawców Holokaustu. Jest to działanie niedopuszczalne, fałszujące historię. Oto przykład ze strony 1005: „Polscy burmistrzowie i pracownicy administracji miejskiej w GG byli szeroko zaangażowani w Holokaust i inne zbrodnie niemieckich okupantów, ponieważ były one częścią ich codziennych zadań administracyjnych". W innym fragmencie – na stronie 1017 – czytamy: „Ponieważ w GG zamordowano ponad dwa miliony Żydów, zaangażowanie polskich burmistrzów w Zagładę było istotnym wkładem w ogromną zbrodnię".

Mamy tu klasyczną manipulację: pozornie prawdziwe stwierdzenie łączy się z inną częścią zdania, dając wrażenie prawdziwości całego zdania. To, że w GG zamordowano ponad 2 mln Żydów, nie ma związku z działaniem burmistrzów. To nie oni podejmowali decyzje o wymordowaniu Żydów, nie oni zorganizowali całą infrastrukturę zbrodni w postaci budowy i funkcjonowania obozów śmierci. Nie oni byli dowódcami oddziałów dokonujących likwidacji gett i nie oni brali udział w bezpośrednim mordzie na Żydach. Autor przypisuje burmistrzom rolę, której nie pełnili. To nie burmistrzowie decydowali o tworzeniu gett, wyznaczaniu racji żywnościowych itp. Ich działania nie miały większego wpływu na przeprowadzenie mordu na Żydach. Wyznaczono im jedynie zadania pomocnicze, które musieli wypełniać – zarówno w stosunku do ludności żydowskiej, jak i polskiej.

Z kolei na stronie 20 Rossoliński-Liebe pisze o burmistrzach: „Nie byli bezpośrednio zaangażowani w mordowanie Żydów, lecz działali przede wszystkim jako »mordercy zza biurka«. Tylko nieliczni, głównie burmistrzowie pochodzenia niemieckiego, osobiście stosowali przemoc bezpośrednią". Jak dotąd „mordercami zza biurka" byli ludzie pokroju Adolfa Eichmanna, którzy rzeczywiście koordynowali deportacje Żydów do obozów śmierci z całej Europy. Użycie tego w stosunku do Polaków w administracji niemieckiej stawia ich nie tylko powyżej ich kompetencji, lecz także kompletnie deformuje historię „Ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej" w Europie i akcji „Reinhardt". Odilo Globocnik, szef sztabu akcji „Reinhardt", oraz dowódca SS i Policji w dystrykcie Lublin czy Wilhelm Krüger, wyższy dowódca SS i policji w Generalnym Gubernatorstwie są w ten sposób sprowadzeni do roli nieistotnych funkcjonariuszy niemieckich w „polskiej" administracji. Faktycznie, Globocnik jest wymieniony w książce tylko 13 razy, a Krüger tylko 15 razy. Julian Kulski występuje w książce aż 677 razy (sic!).



GRZEGORZ ROSSOLIŃSKI-LIEBE
„POLNISCHE BÜRGMEISTER UND DER HOLOCAUST"
DE GRUYTER 2024

Profesor Grabowski wyśmiewa ludzi i organizacje chroniące „dobre imię narodu", narodu polskiego, gdyż zapewne jest on dla niego przeżytkiem. Jednakże to dlatego setki tysięcy Polaków ginęły, gdyż byli Polakami – polską inteligencją, działaczami społecznymi, duchownymi, dziećmi Zamojszczyzny, powstańcami warszawskimi, więźniami obozów koncentracyjnych. Czy z taką samą pogardą traktuje on „dobre imię narodu żydowskiego"?

A może za dużo tych bombastycznych słów, takich jak „spirala nienawiści", „zasilanej ignorancją i złą wolą", „atak na podstawowe wartości". Polska interwencja w sprawie wykładu pod szyldem Domu Niemiecko-Polskiego, który ma być pomnikiem polskich ofiar narodowego socjalizmu niemieckiego, miała na celu ochronę pamięci tych ofiar, która jest przechowywana w każdej polskiej rodzinie. A „podstawową wartością" jest przede wszystkim prawda (veritas, emeth). I ona nie potrzebuje obrony ze strony prof. Grabowskiego, bo prawda ochroni się sama!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest polsko-izraelskim historykiem, politologiem i archiwistą.

eprasa.pl 7deb5b8e48

Był sobie „Ład”



Spotkanie z okazji 500. numeru „Ładu”, 6 maja 1994 r. Kolejno: Janusz Zabłocki, Ryszard Bender, Marcin Przeciszewski, Jan M. Ruman, NN, ks. Artur Stopka, ks. Kazimierz Sowa FOT. ARCHIWUM MACIEJA ŁĘTOWSKIEGO



Piotr Semka

Trzydzieści lat temu, w samej końcówce 1995 r., wyszedł ostatni numer pisma „Ład”. W latach 80. i 90. na łamach tego tygodnika publikowali wszyscy najlepsi publicyści prawej strony. Czemu nie pomogło to pismu odnieść sukcesu w wolnej Polsce po 1989 r.?

Kto dziś pamięta, że w latach 1987–1990 to właśnie „Ład” był rozchwytywany przez czytelników przywiązanych do konserwatywnych i chrześcijańskich wartości? Na łamach pisma debiutowali lub publikowali tak znani później publicyści jak: Marcin Przeciszewski, Jan M. Ruman, Wojciech Zajączkowski (obecnie wiceszef MSZ), Jan Żaryn, Krzysztof Czabański czy Adam Hlebowicz, znany także z łamów „Do Rzeczy”. Historia „Ładu” brzmi dziś troszeczkę jak opowieść z dawno zapomnianego świata. Są w niej i szamotanie się polskich katolików w poszukiwaniu jakiejś niszy w szarej rzeczywistości PRL, i marzenia o polskiej chadecji, i wreszcie bolesne zderzenie z rzeczywistością powstającej III RP.

SNY O POLSKIEJ CHADECJI

Kiedy biorę do ręki ten ostatni numer „Ładu” (o numerze 586/587 z datą 24–31 grudnia 1995 r.), uświadamiam sobie, jak wielkie zmiany zaszły w ciągu raptem trzech dekad. Ten ostatni numer pełen jest jeszcze bardzo poważnych tekstów, a redaktorzy uznawali każdy efekciarski tytuł i lead za coś uwłaczającego ich misji. Sam papier i jakość zdjęć dzisiaj nie skłoniłyby nikogo do wzięcia pisma do ręki. A przecież – jak już pisałem – były czasy, gdy to pismo czytano od deski do deski. Ba, co więcej, wobec niewielkiego nakładu wypożyczano je sobie.

„Ład” powstał na fali ożywienia politycznego w czasie karnawału Solidarności w latach 1980–1981. Jego twórcą był Janusz Zabłocki, który notabene był początkowo redaktorem naczelnym pisma. Ta zapomniana już dziś postać należała do tych katolików, którzy chcieli reprezentować Kościół w rzeczywistości PRL. Jak wielu późniejszych działaczy katolickich zaczął swą aktywność w stowarzyszeniu PAX. Podobnie zresztą jak późniejszy pierwszy niekomunistyczny premier Tadeusz Mazowiecki. I podobnie jak on, Zabłocki wszedł w konflikt z Piaseckim i odszedł z PAX w 1955 r., trzaskając drzwiami. Po ostatecznym zakończeniu epoki stalinizmu, po październiku 1956 r., współtworzył takie

eprasa.pl 7deb5b8e48

środowiska jak „Znak", Klub Inteligencji Katolickiej oraz „Więź".

W 1957 r. władze zgodziły się, by pewna grupa takich działaczy z cichą akceptacją Kościoła otrzymała miejsca na listach wyborczych. W PRL oznaczało to de facto wybory czysto fasadowe. Zabłocki został posłem w 1965 r. i był nim nieprzerwanie aż do 1985 r. Nie poszedł jednak drogą dołączenia do jawnej opozycji, jak to uczynił Mazowiecki, ale starał się zachowywać z władzami PRL poprawne stosunki. Z tego powodu zagłosował choćby za zmianami w konstytucji przeforsowanymi w 1976 r., które przewidywały wpisanie do ustawy zasadniczej PRL np. wierność sojuszniczą Polski wobec Związku Sowieckiego. Ten gest ściągnął na Zabłockiego ogromną krytykę, tym bardziej że inny poseł, który otrzymał miejsce zarezerwowane dla niezależnych katolików – Stanisław Stomma – wstrzymał się od głosu, co wówczas traktowano jako wielką odwagę.

Zabłocki przez cały okres PRL szarpał się pomiędzy chęcią doszlusowania do opozycji a ambicją tworzenia niezależnego od władz ruchu politycznego katolików. Dlatego w 1981 r. stworzył pismo „Ład" jako zaczątek przyszłej polskiej chadecji. Pismo dostało wówczas za zgodą prymasa Stefana Wyszyńskiego prawo do używania tytułu „Tygodnik Katolicki", który w warunkach PRL oznaczał, że może być uznawany za reprezentatywny dla poglądów polskiego Kościoła. Podobny podtytuł miało tylko jedno pismo – wydawany w Krakowie „Tygodnik Powszechny".

Po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 r. wydawanie „Ładu" zawieszono na parę miesięcy, ale jego patron Janusz Zabłocki dzięki swemu akcesowi do propagandowego Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego wywalczył wskrzeszenie wydawania pisma bez wewnętrznej weryfikacji dziennikarzy. Zabłocki często w swoim życiu próbował stąpać po linie realizmu. Nie chciał czołowego zderzenia z komunistyczną władzą, cierpliwie znosił zarzuty, że uwiarygodnia ekipę Jaruzelskiego jako „oficjalny katolik". W zamian chciał wywalczyć prawo do istnienia w rzeczywistości PRL jakiegoś choćby zalążka katolickiego ruchu politycznego, akceptującego „realia" Polski Ludowej, ale samodzielnego i lojalnego wobec Kościoła. Ta gra z ekipą 13 grudnia skończyła się w 1984 r., kiedy to wskutek intryg bezpieki gazetę przekazano grupie starych endeków, którzy skutecznie wycięli starą „chadecką" ekipę.

„Ład" jako jedyne pismo obok „Tygodnika Powszechnego" w latach 80. miał przywilej używania tytułu „Tygodnik Katolicki", co oznaczało dyskretną akceptację Kościoła

ODWILŻ

W 1986 r., gdy zaczyna się pierestrojka Gorbaczowa, władze znów uznają, że trzeba wykonać jakiś gest w kierunku Kościoła. Pismo zostaje oddane Zabłockiemu, ten przekazuje je utalentowanemu redaktorowi naczelnemu Jerzemu Skwarze. Bardzo szybko gazeta przyciąga do siebie wielu autorów, którzy dotąd publikowali tylko w drugim obiegu. Adam Hlebowicz, który wówczas jako student KUL zaczął współpracować z pismem, tak wspomina ówczesnego szefa: „To był facet ze Śląska, który okazał się bardzo dobrym naczelnym. Sam wiele nie pisał, co jest zresztą cechą najlepszych szefów pism, ale nie bał się cenzury i w tamtych latach to było kluczowe".


Pamiętaj: tylko do 10 listopada można zaprenumerować „Ład" na rok 1986

Ład

Ks. Stanisława Staszica droga ku nowej Rzeczypospolitej

SPOŁECZNOŚĆ EKLEZJALNA

Członkowie PZKS posłami Sejmu IX kadencji

Oświadczenie Komitetu Wykonawczego RK PRON

Tygodnik „Ład" nr 43(216) z 27 października 1985 r. FOT. AMID/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

Ówczesny „Ład" zaznaczał w postaci gwiazdki i specjalnego przypisu, że nie ma nic wspólnego z pismem wydawanym pod tym samym tytułem w latach 1984–1987. Czyli wtedy, gdy był on w rękach grupy rozłamowców, którzy wysadzili na krótko z siodła Janusza Zabłockiego. Bardzo ważną rolę dynamizowaniu tygodnika odegrał też Maciej Łętowski, który został zastępcą redaktora naczelnego Janusza Skwary. Łętowski zrozumiał, że pismo wymaga młodej krwi, i szeroko otworzył się na autorów z młodszego pokolenia, którzy dotychczas pisali tylko w prasie podziemnej. Czytelnicy szybko zauważyli zmianę i w latach 1987–1989 nakład w wysokości 30 tys. znikał z kiosków jak ciepłe bułeczki. Oczywiście pismo sprzedawałoby się w znacznie większej liczbie egzemplarzy, ale wówczas obowiązywał tzw. odgórny przydział papieru. I w rezultacie to urzędnicy władzy decydowali, ile dany tytuł ma mieć drukowanych egzemplarzy. Ale jednak redakcja wywalczyła sobie niezależność i „Ład" jako jedyne pismo obok „Tygodnika Powszechnego" powrócił do używania nazwy ponownie zaakceptowanego przez Kościół tytułu „Tygodnik Katolicki".

Skąd się wzięło to złagodzenie linii ekipy Jaruzelskiego? Dziś Maciej Łętowski, który w latach 1991–1995 był naczelnym „Ładu", tłumaczy to tak: „W Moskwie trwała już pierestrojka Gorbaczowa. Ekipa Jaruzelskiego zrozumiała, że musi zacząć przygotowywać się do jakiegoś układania z opozycją. Komuniści uznali, że trzeba wykonać jakiś gest w kierunku Kościoła i środowiska tzw. świeckich katolików. W tym kontekście nagle uparte dążenie Zabłockiego do stworzenia jakiejś polskiej chadecji zaczęło być powoli traktowane jako mniejsze zło, a być może jako alternatywa dla podziemia solidarnościowego. Wtedy z punktu widzenia redakcji nie wnikaliśmy w te piętrowe gry polityczne, tylko staraliśmy się robić dobre pismo, które poszerzać będzie margines wolności słowa w PRL".

Dobrze pamięta tę epokę Wiesław Walendziak, który wówczas był młodym publicystą związanym z konserwatywnym i opozycyjnym środowiskiem Ruchu Młodej Polski. „Z dzisiejszej

eprasa.pl 7deb5b8e48

perspektywy moje teksty, które napisałem dla »Ładu«, były bardzo spokojne. Powoływałem się na katolicką naukę społeczną i sugerowałem, że trzeba zmieniać system komunistyczny. Napisałem łącznie pięć tekstów, z których aż trzy cenzura mi zdjęła. Ale »Ład« zawsze zaznaczał zdjęte teksty, a w tamtych latach była to swoista nobilitacja. Gdy widziało się swoje nazwisko obok zaznaczonej urzędowym żargonem interwencji cenzury – pękało się z dumy".

STO KWIATÓW NA POLETKU „ŁADU"

W tym złotym okresie istnienia tygodnika, w końcu lat 80., na jego łamach publikowali tacy autorzy jak: Jacek Maziarski, Witold Gadomski, Adam Hlebowicz, Wiesław Walendziak, Marcin Przeciszewski, Marcin Gugulski, Krzysztof Czabański, Andrzej Kostarczyk, Jerzy Narbutt, bracia Szczepan i Jan Żarynowie, Jan M. Ruman. Jeden tekst opublikował w tamtych czasach nawet Donald Tusk.

Coraz więcej czytelników zaczęło zauważać, że „Ład" stanowi inteligentną i ciekawą odpowiedź na dotychczasowy moralny i polityczny monopol krakowskiego „Tygodnika Powszechnego". Ówczesne pismo spod Wawelu, redagowane przez Jerzego Turowicza, coraz bardziej zasklepiało się w ideologii „Kościoła otwartego", z jego ulubionymi tematami: reformowaniem katolicyzmu, ekumenizmem i surowymi rozrachunkami z polskimi dziejami. Na tym tle „Ład" był o wiele bardziej tradycyjny i otwarty na autorów nawiązujących np. do tradycji narodowej demokracji. Przykładowo to właśnie w „Ładzie" debiutował Paweł Milcarek, który w przyszłości stworzy kwartalnik tradycjonalistów o nazwie „Christianitas". Tylko że ten napływ autorów, którzy nareszcie znaleźli pismo, które może funkcjonować w realiach PRL, a jednocześnie publikowanie na jego łamach nie przynosi wstydu, okazał się specyfiką chwili przełomu politycznego.

Nagła swoboda druku, która nastąpiła po rozpadzie PRL, paradoksalnie zaszkodziła „Ładowi"



Maciej Łętowski, redaktor naczelny „Ładu" w latach 1991–1995

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/CAF/PAP

Nagła swoboda druku, która nastąpiła po rozpadzie PRL, paradoksalnie zaszkodziła „Ładowi". Wielu autorów skazanych dotąd tylko na to pismo zaczęło korzystać z możliwości i powoli opuszczało je, by tworzyć własne tygodniki. Największe grupy dotychczasowych autorów przeszły do tygodnika „Solidarność", który jesienią 1989 r. przejął Jarosław Kaczyński, oraz do zapomnianego już dziś nieco tygodnika „Spotkania", na którego czele stanął Maciej Iłowiecki. Z kolei liberałowie spod znaku Janusza Korwin-Mikkego stworzyli własne pismo „Najwyższy Czas!", generacja Ruchu Młodej Polski na czele z Wiesławem Walendziakiem weszła na rynek z tygodnikiem „Młoda Polska". I wreszcie część autorów wyssał dziennik „Życie Warszawy", który pod wodzą Tomasza Wołka od 1990 r. miał ambicje prezentowania prawej strony środowiska intelektualnego.

Równie istotną przyczyną schyłku pisma było to, że stało się ono coraz bardziej anachroniczne. Takie tygodniki jak „Polityka", „Wprost" czy nawet pisma katolickie, takie jak „Gość Niedzielny" czy „Niedziela", w odpowiednim czasie zdobyły się na skok jakościowy, przechodząc na mały format, kolor i dobry papier.

PRZEKLEŃSTWO WOLNOŚCI

„Ład" uzależniony był od kroplówki finansowej spółdzielni Libella, najbardziej znanej z produkcji płynu do mycia naczyń Ludwik. Libellę kontrolowali Janusz Zabłocki i jego środowisko, które wciąż wierzyło w powołanie jakiejś masowej polskiej partii chrześcijańsko-demokratycznej. W tym kręgu długo nie przyjmowano do wiadomości, że na polską chadecję ani nie ma miejsca na scenie politycznej, ani nie pali się do tego sam polski Kościół. Zabłocki jako coraz bardziej anachroniczny patron „Ładu" nigdy nie zdecydował się na ryzyko zainwestowania w pismo naprawdę dużych pieniędzy. A bez tego trudno było myśleć o zmianie szaty graficznej i skutecznej akcji promocyjnej. Zabłocki powoli przechodził na drugi i trzeci plan polskiej polityki, nie rozumiejąc nowej epoki i łudząc się, że wokół ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsy może powstać jakiś szerszy ruch polityczny.

Stały felietonista „Ładu", Piotr Zakrzewski, bardziej znany pod publicystycznym pseudonimem Podziomek, w numerze 555. „Ładu", pół roku przed końcem pisma, cytował rozgoryczony list czytelnika do swej ukochanej gazety: „Czyż nasze winy, w porównaniu z winami komunistów, są tak duże, aby Bóg mógł zabrać nam »Ład«, a pozwalał na wydawanie urbanowskiego »Nie«?".

W tym liście odnaleźć można wszystko to, co charakteryzowało ówczesne nastroje po prawej stronie. Rozczarowanie, że słuszne prawicowe poglądy nie sprzedają się w wolnej Polsce, przywiązanie do pisma, które się ceniło w latach PRL, i wreszcie zdumienie, że byli komuniści o wiele lepiej radzą sobie na wolnym rynku niż ci, którzy promowali kapitalizm w podziemiu.

Sam Łętowski schyłek „Ładu" komentuje po latach bardzo trzeźwo: „Po prostu wypełniła się funkcja katolickich czasopism, które wydawano w epoce PRL. Wtedy, w latach 80., były jedyną oazą wolności na oficjalnym rynku komunistycznej prasy. Kiedy wolność przyszła, przestały być azylem".

Kiedy pisząc ten tekst, zadzwoniłem z prośbą o wspomnienia do byłego naczelnego „Ładu" Macieja Łętowskiego, okazało się, że tylko tygodnik „Do Rzeczy" pamiętał o 30. rocznicy końca niegdyś tak popularnego pisma. Pamięć o tym, co było nie tak dawno temu, nie wydaje się silną stroną polskiej prawicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7deb5b8e48



KOMUCHOŻERCA

Zdrajcy i kolaboranci?

LESZEK ŻEBROWSKI

Jedną z najbardziej znienawidzonych przez komunistów formacji konspiracyjnych była Organizacja Wojskowa Związek Jaszczurczy (OWZJ). W powszechnym przekonaniu była to wojskowa emanacja przedwojennego Obozu Narodowo-Radykalnego (ONR), choć formuła tej organizacji była nieco szersza. Z uwagi na jej zdecydowany antykomunizm w Polsce Ludowej nie prowadzono na jej temat poważnych badań, wystarczały potężne inwektywy. Do najważniejszych należały rzekoma zdrada i współpraca z Niemcami. Dziś wiemy, że te zarzuty były bardzo krzywdzące, ale w dość powszechnym przekonaniu musiało być coś na rzeczy, skoro tak silna była wokół ZJ negatywna propaganda. W Polsce Ludowej nie prowadzono poważnych badań nad rolą organizacji w polskim podziemiu, jej liczebnością i zakresem działania. A przecież ZJ miał przynajmniej kilka bardzo mocnych „wizytówek", które na stałe weszły do historii polskiego podziemia.

Najważniejszą z nich był niewątpliwie bardzo szeroko rozbudowany wywiad tej organizacji, w tym ofensywny, prowadzony na terenie III Rzeszy. Pracował on w całości na rzecz Polskiego Państwa Podziemnego, ponieważ uzyskiwane dane przekazywano do KG AK, a przez nią trafiały one do „polskiego" Londynu i stamtąd do służb brytyjskich.

Z racji szczególnego zagrożenia Niemcy usilnie zwalczali ZJ i jego agendy, uznając ten wywiad za szczególne dla siebie zagrożenie. Świadczą o tym jednoznacznie zachowane ustalenia i meldunki niemieckich służb bezpieczeństwa. W podziemiu trwało swoiste polowanie na konspiracyjne drukarnie tej organizacji i w tej dziedzinie Niemcy mieli poważne sukcesy, choć jej bazy poligraficznej nie unicestwili do końca okupacji, bo w miejsce zniszczonych drukarni pojawiały się nowe.

Po rozbiciu drukarni ZJ w Warszawie przy ul. Przemysłowej 28 Niemcy sporządzili dokładne raporty, zamieszczając w nich informacje, co udało im się zdobyć. Gdyby to były informacje własne ZJ, co w niej produkowano, można byłoby to uznać za niewiarygodne, ale Niemcy sami sobie przecież nie kłamali. Berlińska centrala gestapo prowadząc w tej sprawie śledztwa, informowała o drukarni, że zainstalowana była w trzech pomieszczeniach piwnicznych, w których produkowano nie tylko prasę, lecz także „prawie wszystkie formularze obowiązujące w Generalnym Gubernatorstwie, w tym formularze Reichsführera [SS] i władz wojskowych!". Czyli rzecz dotyczyła Heinricha Himmlera, osoby numer dwa w Trzeciej Rzeszy. Z tego, co wiem, żadna inna organizacja konspiracyjna nie zdobyła się na taki wysiłek. Czy taką działalność mogli zatem prowadzić zdrajcy? I kogo mogliby w ten sposób zdradzać? ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Królowa polskich szos

SŁAWOMIR KOPER

Chociaż FSO nigdy nie potrafiło zrealizować planów produkcyjnych samochodu marki Warszawa, to rozbudowa fabryki spowodowała, że na Żeraniu zaistniała możliwość podjęcia wytwarzania innego modelu. Podstawowym warunkiem było jednak założenie, że nowy samochód będzie częściowo zunifikowany z flagowym pojazdem, tak by maksymalnie ograniczyć koszty produkcji. Ponadto auto miało być prostszej konstrukcji, a do tego znacznie tańsze, tak by jego posiadaczami mogli się stać zasłużeni przedstawiciele ludu pracującego niższego szczebla, którzy nie mieli szans na zakup lub przydział Warszawy.

Pierwszy prototyp Syreny zaprezentowano 31 grudnia 1953 r. i wzbudził tak wielkie zainteresowanie, że natychmiast podjęto decyzję o rozpoczęciu produkcji. Nie obyło się jednak bez problemów, ponieważ pierwsza setka egzemplarzy miała karoserię klepaną ręcznie, gdyż nie przygotowano jeszcze tłoczni blach. Inna sprawa, że od samego początku do pojazdu przylgnęła nazwa „łapacza kur po wioskach". Przyczyną tego było to, że przez wiele lat kolejne modele miały drzwi zawieszone na słupku i otwierane do przodu. Podczas jazdy groziło to przypadkowym ich wyłamaniem, a nawet wypadnięciem pasażera lub kierowcy z pojazdu. Tym bardziej że zamki były bardzo awaryjne, a samochód nie posiadał pasów bezpieczeństwa. Było to rozwiązanie już mocno archaiczne, ale zastosowane ze względów oszczędnościowych.

Samochód nazywano też „strażacką motopompą z nadwoziem", co sugerowało, że w aucie zamontowano silnik z tego urządzenia. Nie było to prawdą, chociaż faktycznie zmodyfikowana jednostka napędowa z Syreny pojawiła się w urządzeniach przeciwpożarowych. Silnik pochodził jednak z łodzi desantowej, potem trafił do samochodu, a na końcu do motopompy.

Nie zmienia to faktu, że rozpędzenie pojazdu do prędkości 100 km/h było w praktyce niemożliwe, a jeden z dziennikarzy stwierdził, że jego czajnik szybciej zagotuje wodę, niż Syrena osiągnie tę magiczną prędkość. Oficjalnych badań jednak nie przeprowadzono, gdyż – jak twierdzili złośliwi – nie udało się w Polsce znaleźć wystarczająco długiego odcinka prostej drogi, by można było rozpędzić samochód. Wiadomo jednak, że publicyści „Motoru" sprawdzili, iż przyspieszenie od 65 do 95 km/h zajęło Syrenie ponad minutę. Nie podali jednak wyniku od zera do 100 km/h, gdyż dotarcie do tej magicznej bariery nie było możliwe… ©℗

eprasa.pl 7deb5b8e48

Ukraińcy, czyli Rosjanie



Maciej Pieczyński

Państwo Putina nadal będzie prowadzić politykę wielokulturowości, choć w innym wydaniu niż na Zachodzie. Wyjątek uczyni dla Ukraińców, którzy mają stać się stuprocentowymi Rosjanami. Takie są założenia nowej strategii polityki narodowościowej, podpisanej niedawno przez gospodarza Kremla

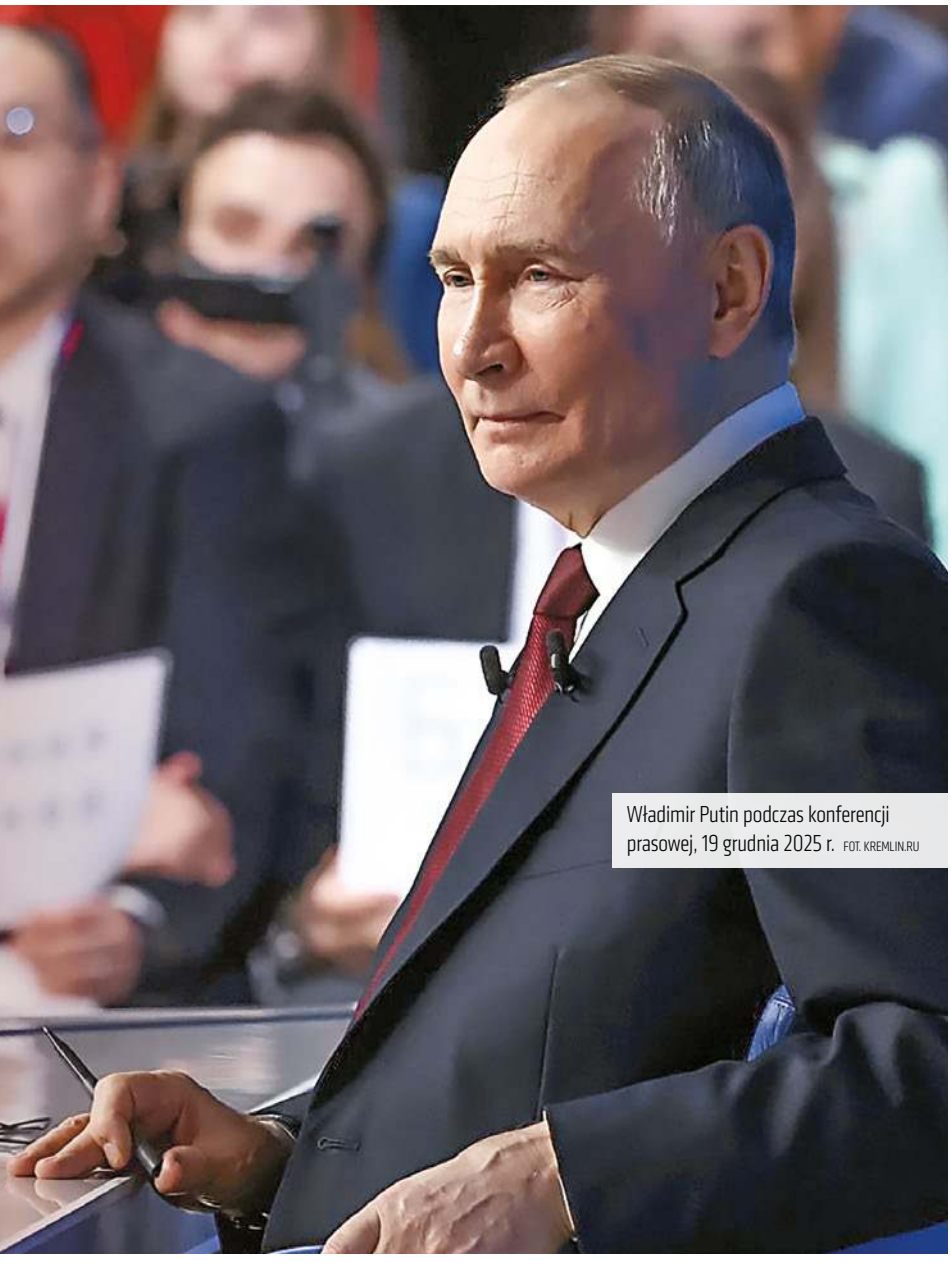
Jednym z najczęstszych błędów w myśleniu o Rosji jest traktowanie jej jako państwa narodowego, hołdującego ideologii nacjonalistycznej. Tymczasem Moskwa pod rządami Władimira Putina realizuje politykę multi-kulti. W tej sprawie już wiele lat temu alarmował, wyznający wówczas nacjonalistyczne poglądy, Aleksiej Nawalny. Zauważał wówczas, że Putin pozwolił na faktyczną derusyfikację Czeczenii. Co prawda, stłumił jej separatystyczne dążenia, ale w zamian obdarzył daleko idącą autonomią kulturową. Efekt? Między 1989 a 2010 r. odsetek Rosjan w tej kaukaskiej republice spadł z 23 do niecałych 2 proc. Przy czym trzeba podkreślić, że rosyjskie multi-kulti ma nieco inny charakter niż na Zachodzie, gdzie zjawisko to polega na tworzeniu mozaiki etnicznej, tworzonej przez ludność napływową. W Rosji natomiast sprowadzanie emigrantów nie było potrzebne. Nierosyjską część populacji tworzą bowiem rdzenni mieszkańcy terenów, niegdyś przez Moskwę podbitych. Mieszkają w dużej mierze tam, gdzie ich przodkowie od wieków. Dopiero w ostatnim czasie tę część mieszkańców największego kraju świata uzupełniają fale migrantów ekonomicznych z państw Azji Środkowej i Kaukazu – i ci akurat osiedlają się również w etnicznie rosyjskiej części Rosji. Ponadto żyjący w tym państwie muzułmanie (bo to oni stanowią większość niesłowiańskiej populacji), inaczej niż w Europie, nie są narzędziem w rękach prozachodnich elit liberalnych, często bowiem popierają Putina i nienawidzą Zachodu. Niemniej wielokulturowość (bardziej tradycjonalistyczna niż w krajach UE, a także mocniej zakorzeniona niż w krajach UE) Rosji jest faktem.

Zgodnie z konstytucją władzę w Federacji Rosyjskiej sprawuje jej „wielonarodowy lud". To w połowie prawda. Państwem rządzi (cieszący się realnym poparciem, ale fałszujący wybory) silny prezydent. Lud zatem niczego nie sprawuje, ale za to jest jak najbardziej wielonarodowy. Zdaniem sporej części komentatorów podpisana w listopadzie przez Putina nowa strategia polityki narodowościowej ma ten stan rzeczy zmienić. „Jeden naród, jedna rzesza, jeden Führer" – tak ów dokument podsumował kulturolog i publicysta Jan Lewczenko w artykule na łamach opozycyjnego „Moscow Times". W jego ocenie celem strategii jest „narodowa unifikacja" kraju. „Otrzymaliśmy właśnie wizję państwa w duchu „Jedinaja Rossija, jedinyj narod, jedinyj wożd`" – to z kolei diagnoza Ernesta Wyciszkiewicza, szefa Centrum Mieroszewskiego. Czy rzeczywiście Putin podjął się ostatecznej „rusyfikacji Rosji"?

ROSJA JAKO „PAŃSTWO-CYWILIZACJA"

Warto nową strategię porównać z poprzednią, uchwaloną w 2012 r. Znaczące zmiany zaszły w rozdziale drugim, poświęconym diagnozie stanu faktycznego. W poprzedniej wersji rozdział ten zaczynał się od stwierdzenia, że „Federacja Rosyjska jest jednym z największych wielonarodowych (wieloetnicznych) państw świata". Po zmianach, w wersji aktualnej, pierwsze zdanie definiuje Rosję jako „państwo-cywilizację". To pierwsze użycie tej zbitki w oficjalnym dokumencie władz na Kremlu. Stojąca za nią idea odsyła do myśli geopolitycznej z jednej strony panslawistów, z drugiej strony – neoeurazjatów czy eurazjatów. Jedni

eprasa.pl 7deb5b8e48



Władimir Putin podczas konferencji prasowej, 19 grudnia 2025 r. FOT. KREMLIN.RU

i drudzy widzieli w Rosji imperium, które jest w stanie stworzyć alternatywną wobec Zachodu cywilizację, pod swoim butem jednoczącą albo Słowian, albo Europejczyków i Azjatów. Dziś to zdecydowanie ta druga opcja dominuje w rosyjskim myśleniu o świecie.

Tak czy inaczej, uznanie na oficjalnym poziomie Rosji za państwo-cywilizację pozwala sformułować dwa bardzo konkretne wnioski na temat kierunku myślenia władz na Kremlu. Po pierwsze, Putin nie zamierza budować państwa narodowego. Nie idzie w stronę nacjonalizmu, tylko umacnia kierunek imperialistyczny. „Cywilizacja" z założenia musi być przecież formą szerszą niż interesy jednego etnosu. Po drugie, Kreml nie zamierza szukać trwałego porozumienia z Zachodem. Skoro Rosja jest odrębną cywilizacją, to rządzi się swoimi prawami i nie obowiązują jej normy ustalane przez inne cywilizacje, w tym przez zachodnią.

Nowością w porównaniu z poprzednią strategią jest też stwierdzenie „państwowotwórczej roli narodu rosyjskiego". Również ten zapis posłużył jako dowód na rzekomy „nacjonalistyczny zwrot" w polityce Putina. Jak ironizuje Jan Lewczenko, „kiedy ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, wówczas wszyscy, którym przyszło znaleźć się w granicach Rosji, powinni wtopić się w naród, który z dumą nazywany jest państwowotwórczym". Rzeczywiście, jednym z kluczowych zadań, jakie stawia przed państwem strategia, jest „umocnienie jednoczącej roli narodu rosyjskiego jako państwowotwórczego" oraz „umocnienie statusu języka rosyjskiego jako języka narodu państwowotwórczego". W strategii zdecydowanie podkreślona została przewaga jednego etnosu nad pozostałymi.

Co więcej, dokument stawia przed państwem ambitne cele w tej sferze, które mają zostać zrealizowane do 2036 r. „Ogólnorosyjska tożsamość obywatelska" na poziomie co najmniej 95 proc. Odsetek obywateli pozytywnie oceniających relacje między różnymi narodami żyjącymi w Rosji – nie niższy niż 85 proc. Zaspokojenie potrzeb etniczno-kulturowych na poziomie co najmniej 80 proc. Nie mniej niż 90 proc. obywateli ma uważać, że w kraju nie istnieje problem dyskryminacji narodowej czy językowej. Przewaga narodu i języka rosyjskiego nie ma zatem oznaczać całkowitej rusyfikacji.

Według ostatniego (z 2020 r.) spisu powszechnego 80,85 proc. mieszkańców Rosji to etniczni Rosjanie, a odsetek mówiących po rosyjsku obywateli sięga 99,4 proc. Trudno ignorować tak miażdżącą większość. Trudno też oczekiwać, by Rosjanie udawali, że nie są gospodarzami we własnym kraju. Jednakże gdyby Moskwa kroczyła w stronę etnicznego nacjonalizmu, rola prawie 20 proc. mniejszości byłaby otwarcie marginalizowana.

Tymczasem nowa strategia podkreśla zarówno wiodącą rolę jednego narodu, jak i bogactwo pozostałych. „Rezultaty spisu powszechnego z 2020 r. potwierdziły, że Rosja jest jednym z największych wielonarodowych państw świata. Na jej terenie żyją przedstawiciele ponad 190 narodów, mówiący ponad 300 językami, z których ok. 150 to języki narodów Federacji Rosyjskiej" – czytamy w treści dokumentu.

WIELOKULTUROWA TOŻSAMOŚĆ

W strategii jest również mowa o oficjalnym spisie małoliczebnych rdzennych narodów Rosji, który obejmuje obecnie

eprasa.pl 7deb5b8e48

47 grup etnicznych. Z kontekstu wynika, że jest to powód do dumy, nie zaś problem do rozwiązania. W strategii przez wszystkie przypadki odmieniana jest wielokulturowa tożsamość Rosji. „Na historycznym terytorium Państwa Rosyjskiego dzięki jednoczącej roli państwowotwórczego narodu rosyjskiego, wielowiekowej międzykulturowej i międzyetnicznej współpracy sformułowała się unikalna kulturowa różnorodność i duchowa wspólnota narodów" – ta konstatacja raczej nie zapowiada dążenia do rusyfikacji.

Nie ma powodu, by sądzić, że Kreml zamierza działać wbrew zapisom strategii. Dokument jest kierowany do wewnątrz, nie na zewnątrz, nie musi zatem spełniać wymogów zachodniej poprawności politycznej. Najwyczajniej w świecie Putin nie chce rusyfikować Rosji. W pewnym sensie nawet nie musi, skoro i tak prawie wszyscy jej mieszkańcy – również ci nierosyjskiego pochodzenia – posługują się językiem urzędowym. I tutaj dochodzimy do sedna. Otóż, celem Moskwy nie jest unifikacja etniczna, rasowa czy religijna. Celem Moskwy jest natomiast unifikacja pod kątem lojalności wobec państwa. Tak należy rozumieć podkreślaną w wielu miejscach „ogólnorosyjską tożsamość obywatelską". Oczywiście nie chodzi o zachodnie pojęcie „obywatela" jako świadomego swoich praw, niezależnie myślącego i aktywnego politycznie mieszkańca państwa. Ale nie chodzi też o tożsamość narodową, etniczną czy religijną. Chodzi o poczucie przynależności do państwa-cywilizacji. Muzułmanin z Tatarstanu, buddysta z Buriacji i ateista z Moskwy – oni wszyscy są takimi samymi Rosjanami jak prawosławny Iwan, o ile znają rosyjski, popierają Putina i wojnę.

RUSYFIKACJA UKRAIŃCÓW

Multi-kulti ma jednak swoje granice. Kończą się tam, gdzie zaczyna się tożsamość ukraińska. Nierosyjskie republiki Federacji Rosyjskiej mają zazwyczaj, obok rosyjskiego, jeszcze drugi język urzędowy – ten, którym posługuje się rdzenna ludność. W zaledwie trzymilionowym, ale za to bardzo różnorodnym etnicznie Dagestanie takich języków jest kilkanaście. Ukraiński (obok krymskotatarskiego) teoretycznie funkcjonuje na Krymie, za to już nie ma statusu języka państwowego w republikach donieckiej i ługańskiej. Nie wspominając już o obwodach chersońskim i zaporoskim.

Jak czytamy w treści strategii, „ważnym wydarzeniem, sprzyjającym umocnieniu ogólnorosyjskiej tożsamości, wydarzeniem, które wywołało wzrost nastrojów patriotycznych u obywateli Rosji, było ponowne zjednoczenie z Rosją jej historycznych terytoriów i utworzenie nowych podmiotów Federacji Rosyjskiej: Republiki Krym i miasta o znaczeniu federalnym – Sewastopola (2014), Donieckiej Republiki Ludowej, Ługańskiej Republiki Ludowej oraz obwodów zaporoskiego i chersońskiego (2022)". Dalej strategia porzuca już język zachwytu nad różnorodnością: „Obrona ludności rosyjskojęzycznej z ponownie zjednoczonych z Rosją terenów, wyzwolenie tej ludności spod wieloletniej dyskryminacji i przemocy na gruncie etnicznym i religijnym ze strony neonazistowskich władz Ukrainy – to wszystko stworzyło dogodne warunki do odtworzenia jedności historycznego terytorium Państwa Rosyjskiego".

Według Rosjan na terenie Rosji żyją przedstawiciele 190 narodów, mówiący ponad 300 językami

Jan Lewczenko słusznie skądinąd zauważa, że w strategii nie jest wspominany żaden język poza rosyjskim. A jednak różnorodność językowa zostaje wyraźnie podkreślona. Biorąc zaś pod uwagę ogromną liczbę narodów żyjących na terenie federacji, autorzy dokumentu musieliby albo wymienić wszystkie, albo tylko niektóre. Ten drugi wariant zapewne dałby powody do krytyki za wyróżnianie jednych kosztem innych. Tymczasem w odniesieniu do żadnego z narodów Rosji nie pada w sposób jednoznaczny postulat rusyfikacji. Do żadnego, z wyjątkiem Ukraińców. Można wręcz odnieść wrażenie, że anektowane ziemie Donbasu są bardziej rosyjskiej niż sama Moskwa. W końcu dopiero ich „powrót do macierzy" sprawił, że Rosja stała się znowu wielka.

Autorzy dokumentu nie przekonują, że aneksja ukraińskich ziem jeszcze bardziej urozmaici tę wspaniałą mozaikę rodzimego multi-kulti. Przeciwnie: między wierszami głośno wybrzmiewa radość z powodu odzyskania tego, co rosyjskie. Ukraińska odrębność, zgodnie z duchem kremlowskiej narracji, w strategii opisana została jako efekt „antyrosyjskiej propagandy", którą należy zneutralizować. Moskwa walczy z „neonazistami z Kijowa" nie o wyzwolenie Ukraińców (czyli jeszcze jednego narodu, historycznie zamieszkującego Rosję), tylko o wyzwolenie ludności rosyjskojęzycznej. Czyli: Rosjan. Ten punkt widzenia teoretycznie wpisuje się w ideę trójjedynego narodu rosyjskiego, złożonego z trzech wschodniosłowiańskich etnosów, z których najważniejszy to, rzecz jasna, ten wielkoruski. Teoretycznie, ponieważ ta koncepcja nie zostaje w dokumencie wprost nazwana. To zaś, jak celnie zauważa Wyciszkiewicz, może świadczyć, iż Putinowi nie jest potrzebna żadna narodowa „trójjedność". Naród jest jeden – rosyjski – i należą do niego zarówno Ukraińcy, jak i Białorusini. Etniczny nacjonalizm w strategii odnosi się zatem nie do Baszkirów, Jakutów, Kałmuków czy Tuwińczyków, tylko do wschodnich Słowian. Białorusini zostali już skutecznie zrusyfikowani, więc teraz pora na Ukraińców.

Mieszkańcy terenów okupowanych są w strategii traktowani nie jako nosiciele odrębnej tożsamości etnicznej, tylko jako Rosjanie, którzy zapomnieli o swoim pochodzeniu, należy im zatem o nim przypomnieć. Stąd mnóstwo zapisów, przewidujących włączenie mieszkańców „nowych regionów" do udziału w różnego rodzaju „ogólnorosyjskich przedsięwzięciach".

Nowa strategia narodowościowa Moskwy pokazuje, że Putin dąży do ostatecznego rozstrzygnięcia kwestii ukraińskiej – przynajmniej na tych terenach, które do tej pory zajął. „Jedynie" wobec Ukraińców będzie zatem prowadzić politykę nacjonalistyczną. A tak poza tym to Rosja pozostaje wielonarodowym imperium, w którym, owszem, panuje nacjonalizm, tyle że obiektem jego czci, „narodem", jest w tym wypadku wielonarodowe państwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7deb5b8e48



FOT. FLA.LOD/WIKIMEDIA COMMONS BY CC 4.0

WOLNOŚĆ I POSŁUSZEŃSTWO

Arcybiskup Giuseppe Laterza wygłosił w katedrze w Conversano (Włochy) kazanie, w którym powiedział: „Maryja jest wolna, bo umie być posłuszna – powiedz to feministkom". Słowa te wywołały burzę w Internecie. Zaroiło się od uwag w rodzaju: „Zacofany, seksistowski mizogin!". Ktoś więc skonstatował, że w społeczeństwie chełpiącym się wolnością i demokracją można powiedzieć wszystko „z wyjątkiem tego, co niemodne".

WŚCIEKLI KIBICE

Leo Messi odbył tournée po Indiach. Niefortunny okazał się pobyt gwiazdy argentyńskiego futbolu w Kalkucie. Tysiące fanów Messiego wykosztowały się na bilety, żeby go zobaczyć. Przybyli na stadion, gdzie miało się odbyć spotkanie z nim. Ale tam piłkarz został zasłonięty przez dużą grupę urzędników i celebrytów, a następnie przedwcześnie wyprowadzony z boiska. Wściekli kibice zaczęli wyrywać krzesła i rzucać nimi w stronę murawy stadionu. Poleciały też inne przedmioty.

WÓZKIEM SZYBCIEJ

Coraz więcej pasażerów linii lotniczych oszukuje system podróży, żeby przemieszczać się w jak najdogodniejszych dla siebie warunkach. Chodzi o korzystanie z wózków inwalidzkich w celu ominięcia kolejek i wcześniejszego wejścia na pokład samolotu, a następnie samodzielne wysiadanie z maszyny po wylądowaniu w miejscu docelowym. Według Międzynarodowego Zrzeszenia Przewoźników Powietrznych (IATA) odnotowano 30-procentowy wzrost próśb o pomoc dla osób niepełnosprawnych dla lotniskach.

CHAOS W KINIE

W jednym z londyńskich kin doszło do niecodziennej sytuacji, którą świadkowie uznali za niebezpieczną. Jego hol został wypełniony przez gęsty tłum aż do drzwi wejściowych. W kinie odbywała się premiera filmu „Behind the Scenes", na którą przybyli liczni aktorzy. Ale oprócz niej w miejscu tym odbywały się seanse innych produkcji. Wybuchł chaos. Ludzie mieli problem z przeciśnięciem się do sal kinowych. Trzeba było się też przepychać, żeby nabyć popcorn i napoje. Według świadków zawiodła obsługa kina.

WĄŻ NA OSIEDLU

Organizacja Humane Iguana Control ostrzega mieszkańców miast o konieczności zachowania czujności, ponieważ w obszarach miejskich coraz częściej pojawiają się pytony. Do takiego wydarzenia doszło na jednym z osiedli mieszkaniowych w hrabstwie Miami-Dade. We wnętrzu rosnącej obok domu palmy ukrył się pyton birmański. Prawdopodobnie dotarł tam z jakiegoś lokalnego kanału. Dwumetrowy gad został schwytany przez lokalnego łowcę węży. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ostatni taki list?

Duńska poczta 30 grudnia 2025 r. dostarczyła ostatni list. To historyczny moment, ponieważ duńscy listonosze rozwozili listy po kraju od 1624 r. Znikną nie tylko etaty (pracę w PostNord ma stracić ok. 1,5 tys. osób), ale również tradycyjne czerwone skrzynki pocztowe.

Władze PostNord – poczty powstałej z połączenia firm świadczących tego typu usługi w Danii oraz w Szwecji – tłumaczą, że w ciągu ostatniego ćwierćwiecza liczba nadawanych listów spadła o ponad 90 proc. Osoby, które kupiły znaczki na zapas, mogą je zwrócić i otrzymać zwrot pieniędzy. Większość zdemontowanych skrzynek znalazła zaś nabywców.

Zgodnie z duńskim prawem mieszkańcy nie mogą stracić możliwości wysyłania listów. Do świadczenia usługi wyznaczono zatem innego operatora: firmę kurierską Dao. Znaczki ani skrzynki już jednak nie powrócą – listy trzeba będzie zanosić do punktów Dao. A za usługę będzie można zapłacić wyłącznie przez aplikację lub przez Internet.

Zmiany ogłosiła też Poczta Polska. Z początkiem roku 2026 rozpoczyna ona „nową erę e-Doręczeń", która oznacza m.in. „koniec papierowych awiz w korespondencji z wieloma urzędami administracji publicznej". Dla urzędników system e-Doręczeń ma się stać podstawowym kanałem doręczania pism.

Dla osób, które papierowe listy darzą nostalgią, mam dobrą wiadomość: z badań wynika, że młodzi w wieku od 18 do 34 lat wysyłają znacznie więcej listów w formie papierowej niż inni dorośli (nawet dwa–trzy razy więcej niż inni). To odtrutka na „przeciążenie cyfrowe". Być może zatem listonosze powrócą. Polecamy też inne antidotum: drukowane wydania tygodnika. ©℗

eprasa.pl 7deb5b8e48

Polska w jądrze ciemności



Bogactwa naturalne w Demokratycznej Republice Konga nie wiążą się z zasobnością mieszkańców tego kraju

FOT. TOM STODDART/EDIT/GETTY IMAGES



Witold Repetowicz

Związki Polski i Konga sięgają XIX w., ale obecnie nie ma w tym kraju naszej ambasady, a wiedza o nim jest znikoma. Rok temu rozbłysnął on w polskich serwisach informacyjnych za sprawą zatrzymanego tam polskiego podróżnika. Gdy incydent ten doczekał się szczęśliwego zakończenia, Demokratyczna Republika Konga znów pogrążyła się w ciemnościach, których jest poniekąd jądrem

W zasadzie to są dwa Konga, małe i duże. To pierwsze jest byłą kolonią francuską, to drugie – belgijską, choć początkowo było prywatną własnością belgijskiego króla zbrodniarza Leopolda II. Oba wzięły swoją nazwę od rzeki Kongo, drugiej pod względem długości w Afryce. O ile ujście Konga, wpływającego do Atlantyku, jest niewątpliwie w Afryce Zachodniej, o tyle jeszcze w połowie XIX w. tacy odkrywcy jak David Livingstone sądzili, że niektóre rzeki, które okazały się ostatecznie dopływami Konga, zasilają Nil. Prawdę odkrył dopiero brytyjsko-amerykański badacz i wojskowy Henry Stanley, którego trwająca 999 dni ekspedycja rozpoczęła się w Zanzibarze, czyli nad Oceanem Indyjskim, a skończyła u ujścia tej rzeki nad Atlantykiem. Był rok 1877, a Stanley przeżył swoją wyprawę głównie dlatego, że przezornie zaopatrzył się w gigantyczny arsenał broni i trup na jego drodze ścielił się gęsto. To jednak był dopiero początek, bo to właśnie Stanley dał Leopoldowi Kongo na srebrnej tacy. A w zasadzie gumowej.

POLSKI AKCENT

Kongo zawsze miało wyjątkowe nieszczęście do swych bogactw naturalnych, którymi wpisywało się w światową koniunkturę. Nieszczęście, bo dla mieszkańców wiązało się to raczej z krwią i łzami, a nie zasobnością. Gdy Leopold II, popisując się wyjątkowym cynizmem, przekonał naiwną europejską opinię publiczną, że jego misją życiową jest ochrona czarnych mieszkańców Afryki przed niewolnictwem, wydawało się, że głównym źródłem dochodów z tego nabytku będzie kość słoniowa. Zaczynała się jednak era motoryzacji i to spowodowało zapotrzebowanie na gumę, a w Kongu kauczukowców było w bród. Podobnie jak wolnych ludzi, któ-

eprasa.pl 7deb5b8e48

rych nie trzeba było kupować i karmić. Wystarczyło terroryzować ich rodziny i korzystać z nich „jednorazowo" – gdy padli z wycieńczenia i wygłodzenia, można było wziąć następnych. W ten sposób „dobry" król Leopold II, którego pomniki wciąż zdobią belgijskie miasta (choć od czasu do czasu są atakowane farbą), wykończył kilka milionów osób.

I tu pojawia się pierwszy polski akcent. W 1890 r. 33-letni polski emigrant Józef Korzeniowski, znany lepiej pod pseudonimem literackim Joseph Conrad, został najęty przez belgijską spółkę handlową jako kapitan parowca na rzece Kongo. Chociaż ostatecznie przebywał tam tylko ok. roku, to odegrał bardzo dużą rolę w ujawnieniu zbrodni Leopolda. Owocem tego pobytu była również napisana przez niego w 1899 r. książka „Jądro ciemności". Wprawdzie opisana w niej podróż rzeką w głąb kongijskiego interioru w poszukiwaniu szalonego kapitana Kurtza była metaforyczną wędrówką ku mrocznym zakamarkom ludzkiej duszy, to tytułowe „jądro ciemności" można rozumieć również dosłownie. Jako serce Czarnej Afryki, dzikie i niezbadane, a jednocześnie przyciągające z zewnątrz wszystko, co najgorsze. Tak było i jest nadal.

Dzisiaj Demokratyczna Republika Konga jest odpowiedzialna za 74 proc. światowej produkcji kobaltu oraz 41 proc. tantalu, a także znajduje się w czołówce pod względem wydobycia niobu. Kobalt wykorzystywany jest w przemyśle lotniczym i kosmicznym, a także do produkcji akumulatorów litowo-jonowych, natomiast tantal i niob, uzyskiwane w Kongu z glinki zwanej koltanem, to nadprzewodniki obecne w laptopach, komórkach, a także w sprzęcie zbrojeniowym i kosmicznym. Kongo jest też trzecim największym producentem miedzi i czwartym pod względem produkcji diamentów. To też jedno z największych afrykańskich państw. Ze 110 mln mieszkańców zajmuje czwarte miejsce w Afryce i 15. na świecie, ale do 2050 r. ma awansować na ósme. Wydawałoby się więc, że geopolityczne położenie, potencjał ludnościowy i bogactwa naturalne czynią z Demokratycznej Republiki Konga jednego z najważniejszych partnerów na Czarnym Lądzie. Władze Polski w 2008 r. uznały jednak najwyraźniej, że jest dokładnie odwrotnie, i zamknęły naszą ambasadę w Kinszasie.

Kongo Belgijskie uzyskało niepodległość w 1960 r., a już rok później otwarta została tam polska ambasada. Początki nowego państwa były burzliwe, gdyż niemal w tym samym czasie swoją secesję ogłosiła bogata w złoto i miedź Katanga. To zapoczątkowało wojnę, w której po stronie secesjonistów uczestniczyli również polscy najemnicy, w tym takie sławy jak Rafał Gan-Ganowicz oraz ppłk Jan Zumbach, przedwojenny oficer i bohater bitwy o Anglię. Zumbach organizował „siły powietrzne" Katangi, co jednak polegało na tym, że latał starym samolotem i dokonywał, jak to sam określił we wspomnieniach, „masakry drzew" poprzez zrzucanie z samolotu rur wypełnionych materiałem wybuchowym. Zarówno Zumbach, jak i Gan-Ganowicz byli antykomunistami i z tego powodu znaleźli się za granicą. Ale wojna w Katandze nie była starciem wolnego świata z ZSRS. Nie chodziło o wolność, ale o interesy belgijskich koncernów. Katanga padła zresztą dość szybko, a na dodatek jej lider Moise Czombe zapomniał wypłacić Zumbachowi należne wynagrodzenie.

Ojcem kongijskiej niepodległości był Patrice Lumumba, ale w 1961 r. został obalony, a następnie zamordowany w wyniku przewrotu zorganizowanego przez Josepha Mobutu, który w 1971 r. zmienił nazwę kraju na Zair, a sam przyjął imię Mobutu Sese Seko Nkuku Ngbendu Wa Za Banga (Wszechpotężny Wojownik). Podczas jego prawie 40-letnich rządów trzykrotnie premierem został Léon Kengo wa Dondo, który przed zarządzoną przez Mobutu afrykanizacją imion i nazw legitymował się jako Léon Lubicz. Jego ojciec Michał Lubicz był Polakiem żydowskiego pochodzenia, który w 1933 r. wyjechał do Konga, a następnie ożenił się tam z miejscową pięknością z plemienia Tutsi o imieniu Marie-Claire.

W 1890 r. 33-letni Józef Korzeniowski, znany jako Joseph Conrad, został najęty jako kapitan na rzece Kongo

Tutsi byli przyczyną upadku Mobutu, który jednak nie okazał się wszechpotężny. W 1994 r. miało miejsce niesławne ludobójstwo w Rwandzie dokonane przez bojówki Hutu na ludności Tutsi. Ostatecznie skończyło się to wygnaniem Hutu przez partyzantów Tutsi dowodzonych przez Paula Kagamego, który do dziś jest prezydentem Rwandy (dodajmy: niezbyt demokratycznie wybieranym). Francuzi, którzy w ofensywie Tutsich widzieli brytyjski spisek przeciwko wspieranym przez siebie Hutu, ewakuowali oddziały zbrodniarzy Hutu (a wraz z nimi ok. miliona cywilów) w ramach niesławnej operacji Turkus do sąsiedniego Zairu, a konkretnie do wschodnich prowincji północnego i południowego Kiwu. Gdy ludobójstwo w Rwandzie się skończyło, świat był w takim szoku, że nie był gotowy na ciąg dalszy. Zatem o wojnie, w której zginęło ok. 6 mln ludzi, nie było już głośno. Exodus Hutich zdestabilizował bowiem Zair i doprowadził w tym kraju do wojny, w której w szczytowych okresach brało udział pół Afryki, a na dokładkę międzynarodowe koncerny i handlarze diamentami.

KREW W TELEFONIE

W szczególności koltan, wydobywany w Kiwu przez zapędzane do niewolniczej pracy dzieci, stanowił źródło dochodów różnych grup zbrojnych, a także cel transgranicznych wypadów rwandyjskiego wojska. Cały czas wojna ta była znacznie bliżej nieświadomych tego Europejczyków, niż ktokolwiek mógł sobie to wyobrazić. Dosłownie przy uchu. Powstał nawet film dokumentalny „Krew w twoim telefonie", o koltanie kupowanym za grosze przez fińską Nokię z kopalni wykorzystujących niewolniczą pracę dzieci. Być może niektóre z nich, o ile przeżyły, wsiadły na łódkę płynącą do Europy i gdzieś tam w Rzymie czy Paryżu napadły na jakiegoś białego i ukradły mu taką komórkę. Nawiasem mówiąc, dzieci w Kongu wciąż jest dostatek, bo te wszystkie masakry i śmiertelny wyzysk w kopalniach spowodowały, że w tym kraju dzieci rodzi się na zapas i przyrost ludności jest jednym z najwyższych w Afryce. Przez ostatnie 30 lat populacja ta wzrosła o ponad 60 mln, a jedna kobieta rodzi średnio sześcioro dzieci.

Wróćmy jednak do roli Rwandy. Kiliba to malutka wioska w kongijskim

eprasa.pl 7deb5b8e48

południowym Kiwu, niedaleko granicy z Rwandą. Gdy przebywałem w niej w 2010 r., miejscowi opowiadali mi, że to tam rwandyjska armia, zdominowana już przez Tutsich, dokonała pierwszej masakry miejscowej ludności. Tutsi byli jednak ofiarami rwandyjskiego ludobójstwa, a świat nie lubi takiego komplikowania obrazu jak „zamiana ról".

Po masakrach Rwandy w Kongu przybywało więc sierot, zasilających podziemia kopalni lub szeregi tzw. dzieci żołnierzy (dziecko można najłatwiej wytresować na robota zabójcę i było to tam powszechnie praktykowane). W reakcji na inwazję Rwandy „Wszechpotężny Wojownik" początkowo nakazał wszystkim Tutsim opuszczenie Konga, ale po kilku miesiącach został obalony przez rebeliancką armię Laurenta Kabili. Ponieważ jednak Kabila nie miał zamiaru oddawać Kagamemu obiecanych kopalni w Kiwu, po pierwszej wojnie kongijskiej szybko nadeszła druga, która potrwała do 2003 r. O tym, jaki miała przebieg, świadczą m.in. bardzo wdzięczne przydomki niektórych dowódców polowych. Na przykład lider prorwandyjskiego M23 (tj. Ruchu 23 Marca) Bosco Ntaganda, jeden z pierwszych skazanych przez Międzynarodowy Trybunał Karny, znany był jako Terminator. Obecnie odsiaduje w Belgii wyrok 30 lat więzienia.

Koniec Mobutu był dość marny: został wygnany z kraju, jego wszechobecne pomniki zostały zburzone, a on sam błąkał się chwilę po Afryce i szybko zmarł na raka prostaty. Zair znów stał się Kongiem, a bardziej precyzyjnie Demokratyczną Republiką Konga, choć z tą demokracją było tam różnie. Gdy Lauranta Kabilę w 2001 r. zamordował jego ochroniarz, władzę przejął Joseph Kabila, syn zabitego, a jednocześnie były dowódca „kadogos", czyli słynących z okrucieństwa dzieci żołnierzy. Natomiast nasz „rodak" Léon Kengo alias Lubicz spędził okres wojny domowej w Belgii, a w 2007 r. został przewodniczącym Senatu i w takim charakterze odwiedził Polskę w 2008 r. Kilka miesięcy później polska ambasada w Kinszasie została zlikwidowana.

Wcześniej jednak do Konga pojechali polscy żołnierze. Tym razem nie byli to najemnicy, lecz 136-osobowy polski kontyngent wojskowy, wspierający misję pokojową ONZ w ramach operacji Unii Europejskiej. Obecność naszych sił w Kongu skończyła się po jednej półrocznej zmianie.

Nie wszystkie państwa uznają jednak Kongo za kraj nieistotny. Ambasady ma tam prawie 60 państw, w tym niemal wszystkie z zachodniej Europy, a także np. Czechy, Węgry czy Ukraina. Chiny od dawna starają się położyć łapę na tamtejszych surowcach, a Rosja zaczęła podburzać coraz większą populację przeciwko Zachodowi. Pretekstem są dobre relacje Zachodu z Rwandą. Kagame chwalony jest za rozwój gospodarczy kraju, a także zgodę na odgrywanie roli „bezpiecznego kraju trzeciego", do którego Europa może odsyłać nielegalnych migrantów ubiegających się o azyl. Jednocześnie jednak Rwanda wciąż ingeruje w sytuację w prowincjach Kiwu, mając chrapkę na ich bogactwa.

Nie wszystkie państwa uznają jednak Kongo za kraj nieistotny. Ambasady ma tam prawie 60 państw

W marcu 2022 r. rebelianckie ugrupowanie M23, złożone głównie z Tutsich, rozpoczęło na terenie Kiwu nową ofensywę przeciwko siłom rządowym. Nikt w Kongu nie miał wątpliwości, że działo się to przy wsparciu Rwandy. Pojawiły się zatem również oskarżenia, że Zachód popiera rwandyjską agresję na Kongo, a Rosja miała jakoby wysłać mu na pomoc wagnerowców. Nie ma na to wprawdzie żadnych dowodów i prawdopodobnie jest to całkowita nieprawda, ale wystarczyło, by w czasie wizyty Macrona w Kinszasie w marcu 2023 r. pojawiły się tam grupki machające rosyjską flagą.

STARCIE DAWIDA Z GOLIATEM

Mamy przy tym kolejny polski akcent. W 2021 r. Polska otworzyła swoją ambasadę w Rwandzie, a Rwanda w Polsce. To był dobry krok, tylko szkoda, że w Kinszasie wciąż nie wznowiono pracy ambasady, choć Rwanda ma tylko 14 mln mieszkańców, a ambasada Demokratycznej Republiki Konga w Warszawie cały czas działa. Odpowiednio podburzeni Kongijczycy mogli to odebrać jako zniewagę, zwłaszcza że w 2023 r. Polska Grupa Zbrojeniowa sprzedała Rwandzie karabinki szturmowe Grot, które prawdopodobnie z góry były przeznaczone do operacji w Kiwu. W takich sytuacjach trzeba myśleć o konsekwencjach i równowadze.

Nic więc dziwnego, że w marcu 2024 r. w Kongu zatrzymany został polski podróżnik Mariusz Majewski, który został najpierw skazany na dożywocie za rzekome szpiegostwo, a następnie, w wyniku działań polskich władz, wypuszczony. Pojawiły się wówczas sugestie, że była to reakcja na jedną z wypowiedzi prezydenta Andrzeja Dudy w czasie jego wizyty w Kigali, ale takie opinie były oderwane od szerszego kontekstu relacji polsko-kongijskich. Nie ma żadnych powodów, by były one złe, ale z całą pewnością mogą być lepsze. Niedawno, na uroczystości z okazji Dnia Niepodległości Konga, mówiła o tym ambasador tego kraju w Polsce Clementine Shakembo Kamanga, która przyznała, że wymiana handlowa między obydwoma krajami jest bardzo skromna i ma tendencję spadkową. Kongo wciąż jednak liczy na rozwój stosunków dwustronnych.

Groźba przekształcenia się walk w Kiwu w otwartą wojnę między Kongiem a Rwandą, być może również z udziałem innych państw (tak jak to było w latach 1997–2003), jeszcze niedawno była bardzo poważna. Spowodowałoby to gigantyczny kryzys humanitarny w tym kraju, a co za tym idzie – wzrosłaby presja migracyjna na Europę. Już obecnie walki doprowadziły do opuszczenia swoich domów przez co najmniej 2 mln osób. Spoglądając na mapę, wydaje się, że walka Rwandy z Demokratyczną Republiką Konga to starcie Dawida z Goliatem, ale z Kinszasy do głównego miasta Kiwu, tj. Gomy, jest 1,5 tys. km, a z rwandyjskiej stolicy Kigali – niespełna 100. Kongijski interior pozbawiony jest przy tym dobrych dróg, nie mówiąc już o kolei. W czerwcu 2025 r., w wyniku amerykańskiej mediacji, Rwanda i Kongo podpisały porozumienie pokojowe, ale choć Donald Trump zaliczył to do jednej z wojen, które zakończył, to rebelianci M23 nie złożyli broni i eskalacja wciąż wisi na włosku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7deb5b8e48

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 7deb5b8e48

Wielki kryzys Wielkiej Brytanii



Jacek Przybylski

Ogromne zadłużenie, wysoki deficyt budżetowy, rekordowe bezrobocie, niska produktywność i hamująca gospodarka – to nowa brytyjska rzeczywistość. W 2026 r. raczej nie będzie lepiej, bo socjaldemokratyczny rząd w Londynie, aby utrzymać wiarygodność u zagranicznych inwestorów, znów podnosi podatki

Znajduję się w upadającym, niegdyś rozwiniętym kraju znanym jako »Wielka Brytania«" – tak amerykański ekonomista i popularny bloger Noah Smith opisywał pod koniec ubiegłego roku swą 90-minutową przesiadkę na lotnisku Londyn-Heathrow. I chociaż internauci szybko zwrócili mu uwagę, że gdyby uważniej śledził oznaczenia, przesiadka byłaby mniej stresująca, to kiepską sytuację Wielkiej Brytanii wyraźnie widać nie tylko na lotniskach, lecz także w gospodarczych statystykach.

Grudniowe dane opublikowane przez brytyjski Urząd Statystyk Narodowych (ONS) pokazały, że spada liczba pracujących (tylko w listopadzie o 38 tys. osób), bezrobocie rośnie (w okresie trzech miesięcy do października 2025 r. osiągnęło poziom 5,1 proc., czyli najwyższy od roku 2021), a dynamika płac w sektorze prywatnym spowolniła do 3,9 proc. (czyli najniższego poziomu od końca roku 2020). Co gorsza, z raportu firmy konsultingowej PwC wynika, że bezrobocie wśród osób poniżej 25. roku życia wzrosło w Wielkiej Brytanii wyraźnie szybciej niż w pozostałych krajach G7 (w 2025 r. wynosiło 15,3 proc., choć jeszcze w 2022 r. było to 10,8 proc.). Rząd w Londynie wciąż nie podejmuje skutecznych działań, aby naprawić tę sytuację, a tymczasem koszty braku zatrudniania milionów młodych Brytyjczyków analitycy PwC szacują na 26 mld funtów rocznie.

Bank Anglii ma więc trudne zadanie – powinien bowiem zmniejszać ryzyko dalszego spowolnienia gospodarki, a jednocześnie powstrzymać inflację. W listopadzie udało się nieco spowolnić tempo wzrostu cen (wskaźnik inflacji CPI spadł do 3,5 proc. z 3,6 proc. w październiku). Wielka Brytania – dawne imperium i miejsce narodzin rewolucji przemysłowej – rzeczywiście przeżywa poważny kryzys.

ROZWÓD W FATALNYM MOMENCIE

Ogłoszony niespodziewanie w 2016 r. brexit doprowadził do spadku inwestycji i handlu, problemów z zerwanymi łańcuchami dostaw, okresowo do pustych półek w sklepach czy kłopotów ze znalezieniem odpowiednich pracowników. I chociaż załamanie obrotów handlowych między UE a Wielką Brytanią było raczej konsekwencją pandemii COVID-19 i lockdownu niż rozwodu Londynu z Brukselą, to nawet dawni zwolennicy brexitu nie próbują obecnie przekonywać, że przyniósł on pozytywne skutki dla krajowej gospodarki (choć wielu wciąż wyraża nadzieję, że w końcu je przyniesie).

Z opublikowanych w listopadzie 2025 r. szacunków międzynarodowych

eprasa.pl 7deb5b8e48


FOT. ADOBE STOCK

ekonomistów wynika z kolei, że gdyby w roku 2016 zwyciężyli zwolennicy pozostania w Unii Europejskiej (faktycznie przegrali oni ze zwolennikami brexitu stosunkiem głosów 51,9 do 48,1 proc.), to mieszkańcy Wielkiej Brytanii nie tylko nie borykaliby się od kilku lat z tak poważnym kryzysem gospodarczym, lecz także PKB tego kraju byłoby na poziomie wyższym o od 6 do 10 proc. (w zależności od scenariusza). Według twórców raportu opublikowanego przez Narodowe Biuro Badań Ekonomicznych w Cambridge więcej Brytyjczyków miałoby też pracę. „Szacujemy, że do 2025 r. proces brexitu doprowadził do spadku PKB Wielkiej Brytanii o 6–8 proc., inwestycji o 12–18 proc., zatrudnienia o 3–4 proc. i produktywności o 3–4 proc." – czytamy w dokumencie, którego autorami są Nicholas Bloom (Uniwersytet Stanforda), Philip Bunn (Bank Anglii), Paul Mizen (King's College w Londonie), Pawel Smietanka (Deutsche Bundesbank) i Gregory Thwaites (Uniwersytet Nottingham). Wyjaśniają oni, że „tak poważne negatywne skutki odzwierciedlają połączenie zwiększonej niepewności, zmniejszonego popytu, przekierowywania czasu zarządzania i zwiększonego niewłaściwego przydzielania zasobów wynikającego z przedłużającego się procesu brexitu".

Negatywne skutki brexitu mogły być dużo łagodniejsze, gdyby nie fatalny okres, w którym Brytyjczycy brali rozwód z Unią Europejską. W tym samym czasie, gdy negocjowano warunki brexitu, gospodarczym światem wstrząsnęła pandemia COVID-19, kryzysy surowcowe czy wojna rosyjsko-ukraińska etc. Trzeba też brać pod uwagę fakt, że od faktycznego brexitu minęło stosunkowo mało czasu – skomplikowany proces rozwodowy sprawił, że Wielka Brytania formalnie opuściła UE dopiero 31 stycznia 2020 r.

PLAN RZĄDU: WYŻSZE PODATKI

Mimo wszystko brytyjska gospodarka wykazała się dużą zdolnością do neutralizacji wstrząsów brexitowych. Nie pomaga jej jednak polityka socjaldemokratycznej Partii Pracy, która w 2024 r. przejęła władzę po największej wyborczej porażce Partii Konserwatywnej od roku 1834. Wspomniany wzrost bezrobocia wśród młodych Brytyjczyków jest m.in. wynikiem decyzji fiskalnych rządu i rosnących kosztów pracy (w tym m.in. zwiększenia składek na ubezpieczenie społeczne i podnoszenia płacy minimalnej). Efekt: sytuacja młodych jest alarmująca. W ciągu dwóch dekad o jedną trzecią zwiększyła się liczba osób poniżej 25. roku życia, które nie tylko nie studiują ani nie pracują, lecz także nawet nie szukają zatrudnienia. W roku 2025 Wielka Brytania spadła na 27. miejsce w opracowywanym przez PwC Youth Employment Index, obejmującym 38 krajów OECD, co jest najgorszym wynikiem tego kraju od 2006 r.

Efektem działań laburzystów są również m.in. spadająca produkcja budowlana i spadająca produkcja przemysłowa, a także stagnacja w sektorze usług. ONS opublikował już za to dane za pierwsze trzy kwartały. Pokazują one jasno: gospodarka Wielkiej Brytanii wyhamowuje. Z komunikatu brytyjskiego GUS z 22 grudnia wynika, że wzrost w drugim kwartale (od początku kwietnia od końca czerwca) musiał być zrewidowany w dół z 0,3 proc. do 0,2 proc. Z kolei w trzecim kwartale 2025 r. brytyjska gospodarka rozwijała się w tempie zaledwie 0,1 proc. Spowolnienie wynikało m.in. z wrześniowego cyberataku na firmę Jaguar Land Rover – poważnie zakłócił działalność produkcyjną i handlową koncernu, który musiał wyłączyć wszystkie systemy IT, po czym w kontrolowany sposób zaczął stopniowo je uruchamiać. Wcześniej ofiarami groźnych cyberataków padały również takie brytyjskie firmy jak Marks & Spencer czy luksusowy dom towarowy Harrods.

Jeśli spojrzy się na wzrost gospodarczy w trzecim kwartale takich państw jak Dania (2,3 proc.), Cypr (0,9 proc.), Polska (0,8 proc.) czy Hiszpania (0,6 proc.), to wzrost brytyjskiej gospodarki o 0,1 proc. kwartał do kwartału wydaje się marny. Tym bardziej że kanclerz skarbu Rachel Reeves, gdy Partia Pracy przejmowała władzę w Wielkiej Brytanii, obiecywała, że najważniejszym zadaniem nowego rządu będzie zapewnienie wyższego wzrostu gospodarczego.

Uczciwiej byłoby jednak porównywać Brytyjczyków do przedstawicieli największych gospodarek: Niemców, Francuzów i Włochów. Największa gospodarka Unii Europejskiej, czyli niemiecka, w tym samym kwartale, w którym Wielka Brytania minimalnie się rozwijała, tkwiła nadal w pułapce stagnacji. Pod względem tempa rozwoju w ostatnich miesiącach Brytyjczyków przegonili Francuzi. Druga gospodarka UE – czyli francuska właśnie – rozwinęła się w III kwartale 2025 o 0,5 proc. Z kolei Włosi odnotowali równie mizerny wzrost co Brytyjczycy (czyli 0,1 proc. kwartał do kwartału).

Istotnie lepiej Wielka Brytania wygląda w statystykach, jeśli porówna się dane w ujęciu rocznym. Po dobrej pierwszej połowie roku Brytyjczycy mogą się pochwalić PKB o 1,3 proc. wyższym niż w tym samym okresie roku 2024. Dla porównania: Niemcy osiągnęli wzrost o 0,3 proc. rok do roku, Francuzi o 0,9 proc., a Włosi o 0,6 proc. Jeśli więc spogląda się tylko na największe gospodarki, to okazuje się, że brytyjska gospodarka poradziła sobie z brexitem lepiej, niż wynika to z medialnych przekazów.

eprasa.pl 7deb5b8e48

Jednocześnie silna deprecjacja funta po 2016 r. ochroniła wartość wielu spółek notowanych na londyńskiej giełdzie.

CZARNA DZIURA W BUDŻECIE

I chociaż w pierwszej połowie 2025 r. Brytyjczycy odnotowali obok Japończyków najwyższe tempo rozwoju gospodarczego wśród krajów G7, to w drugiej połowie roku czar prysł. Najnowsze dane z grudnia 2025 r. pokazały jasno: gospodarka Wielkiej Brytanii bardzo ostro hamuje. Według pierwszych grudniowych danych brytyjskiego urzędu statystycznego (ONS) w ciągu trzech miesięcy do końca października gospodarka Wielkiej Brytanii skurczyła się o 0,1 proc. I chociaż ekonomiści nie mieli już nadziei na wzrost, to optymistycznie liczyli, że gospodarka wyjdzie po prostu na zero. Trudno więc teraz z dużym optymizmem czekać na informacje o tempie rozwoju Wielkiej Brytanii w czwartym kwartale 2025 r.

Jednocześnie spada stopa oszczędności brytyjskich gospodarstw domowych (zmalała o 0,7 p.p. do zaledwie 9,5 proc.). A to zły prognostyk. Jednocześnie trudno spodziewać się galopującej gospodarki, skoro rząd w Londynie prowadzi politykę hamującą wzrost gospodarczy. Rezultaty są więc współmierne do działań władz podnoszących podatki: niższe tempo wzrostu PKB, malejące oszczędności i coraz niższy dochód rozporządzalny.

Z mocno zaciśniętym pasem przez dotychczasowe „reformy" rządu w Londynie brytyjskim konsumentom trudniej wydaje się pieniądze, co nie sprzyja z kolei wzrostowi PKB. Sytuacji nie poprawiły nawet coroczne promocje z okazji czarnego piątku, które zwyczajowo przynosiły dość silny impuls zakupowy. Według danych ogłoszonych w połowie grudnia przez brytyjski Urząd Statystyk Narodowych (ONS) w listopadzie 2025 r. wolumen sprzedaży detalicznej w Wielkiej Brytanii spadł o 0,1 proc., choć ekonomiści spodziewali się wzrostu o 0,4 proc.

Tymczasem Wielka Brytania zmaga się z wysokim deficytem i rosnącym długiem publicznym. Najwyższe w historii są też wypłacane przez Londyn odsetki od pożyczek. Aby obniżyć koszt obsługi zadłużenia, rząd premiera Keira Starmera stara się zatem od kilku miesięcy przekonywać międzynarodowych inwestorów, że panuje nad zadłużeniem i że stan finansów publicznych już w najbliższych latach zacznie się poprawiać. Aby brzmiało to wiarygodnie, pod koniec listopada doszło nawet do szybko potwierdzonego przez władze „wycieku" z niezależnego urzędu prognoz rządu. W ten sposób świat finansów poznał szczegóły planu zwiększenia przychodów władz w Londynie. Proponowany program dalszego zaciskania pasa wywołał początkowo mieszane reakcje inwestorów. Oficjalne potwierdzenie ujawnionych danych przez kanclerz skarbu Wielkiej Brytanii, Rachel Reeves, wywołało pozytywną reakcję rynku, zarówno jeśli chodzi o rentowność 10-letnich obligacji brytyjskiego rządu, jak i wartość londyńskiego indeksu giełdowego FTSE 100 oraz brytyjskiej waluty.

W jaki sposób rząd Starmera chce zasypać dziurę w brytyjskim skarbcu? Jak to w przypadku socjaldemokratów bywa, władze sięgną jeszcze głębiej do kieszeni Kowalskiego i Nowaka czy w tym przypadku Smitha oraz Jonesa. Nowe podwyżki podatków – m.in. od dywidend, oszczędności oraz drogich nieruchomości – mają przynieść brytyjskiemu budżetowi dodatkowe 26 mld funtów przychodów w latach 2029–2030, czyli równowartość 1 proc. brytyjskiego PKB. Więcej zapłacą też najciężej pracujący Brytyjczycy – rząd zdecydował bowiem o zamrożeniu progów, od których obowiązują wyższe stawki podatku dochodowego. Władze w Londynie ograniczyły również ulgi podatkowe przy prywatnych emeryturach. Zgodnie z zapowiedzią rządzących obecnie nad Tamizą polityków w zamian za wyższe podatki ma się zmniejszyć nie tylko zadłużenie kraju, lecz także mają się skrócić długie kolejki do lekarzy…

MNIEJ EUROPEJCZYKÓW, WIĘCEJ AFRYKAŃCZYKÓW

Trudno nazwać też sukcesem zmiany dotyczące migracji. Jednym z głównych powodów, dla których większość Brytyjczyków zagłosowała w 2016 r. za rozwodem z UE – poza coraz bardziej bezczelnym dyktatem brukselskich urzędników i postępującymi procesami zmierzającymi do federalizacji – była migracja z krajów UE. I chociaż formalnie migracja netto w Wielkiej Brytanii formalnie spadła w okresie od połowy 2024 do połowy 2025 r., to obywatele państw UE stanowią już zaledwie 9 proc. nowo przybyłych 898 tys. migrantów (rok wcześniej nowych przybyszy było łącznie niemal 1,3 mln). Tymczasem wśród opuszczających Wyspy aż 22 proc. to obywatele krajów Unii.

Spadek w statystykach to efekt nowego prawa, które utrudniło pracującym lub studiującym cudzoziemcom uzyskanie prawa pobytu. Jednocześnie o azyl na Wyspach poprosiło sporo więcej osób niż przed rokiem. Według najnowszych danych było to 110 051 (wzrost o 13 proc. rok do roku), z czego na małych łodziach przybyło 41 472 migrantów (o 18 proc. więcej niż rok wcześniej). Azylanci dodatkowo obciążają zaś brytyjski budżet, ponieważ zgodnie z prawem rząd na rozpatrywanie wniosku musi zapewnić osobie ubiegającej się o azyl bezpłatne zakwaterowanie, jeśli nie jest ona w stanie samodzielnie się utrzymać. Według oficjalnych danych we wrześniu 2025 r. z takiej pomocy korzystało 108 085 osób, z czego 34 proc. zostało przez władze umieszczone w hotelach.

Podczas gdy do Wielkiej Brytanii przybywają łódkami azylanci, uciekają z niej tysiące pracowników z UE

W czasie gdy do Wielkiej Brytanii przybywają łódkami kolejni azylanci, z kraju uciekają tysiące pracowników z Unii Europejskiej. Z oficjalnych danych opublikowanych przez ONS pod koniec listopada wynika, że liczba Polaków przyjeżdżających do Wielkiej Brytanii spada, a coraz więcej mieszkańców decyduje się na opuszczenie Wysp. Od połowy 2024 r. do połowy roku 2025 decyzję o osiedleniu się na Wyspach podjęło ok. 7 tys. Polaków, a 25 tys. – czyli ponad trzykrotnie więcej – znad Tamizy wróciło nad Wisłę. Wielką Brytanię chętnie opuszczają też np. Rumuni. Odwrócenie ery masowej migracji zarobkowej z Europy Środkowej i Wschodniej to zaś kolejny sygnał, że w Wielkiej Brytanii zapanował wielki kryzys.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7deb5b8e48



PROSTO ZYGZAKIEM

„Spożywczak+", czyli PSL jak PiS

PIOTR GABRYEL

Już mi się wydawało, że w dziedzinie handlu artykułami spożywczymi nie da się wymyślić nic głupszego od – określonego przeze mnie w jednym z felietonów mianem „Spożywczak+", a wymyślonego przez polityków PiS – niedorzecznego pomysłu powołania do życia „państwowej sieci sprzedaży produktów żywnościowych", czyli Krajowej Grupy Spożywczej (KGS). A jednak nie doceniłem PSL, którego politycy w upaństwowianiu wszystkiego, co się da, nie dają się wyprzedzić nawet politykom PiS, co nie jest rzeczą łatwą.

Sklecona za rządów PiS, w 2022 r., Krajowa Grupa Spożywcza miała – jeśli wierzyć słowom jednego z ówczesnych wiceministrów – docelowo w polskim łańcuchu żywienia „być obecna od pola do stołu", a to dzięki „stworzeniu lub przejęciu jakiejś sieci handlowej". I w dodatku miała więcej płacić rolnikom za ich produkty i na dokładkę taniej sprzedawać towary w swych sklepach klientom. No, jednym słowem – za sprawą KGS mieliśmy być świadkami cudu na skalę wręcz światową. Wówczas jednak wszystko to, co za pech, skończyło się na wcieleniu do KGS 15 firm, które bliższe były „polu" niż „stołowi", oraz stworzeniu mnóstwa wspaniale płatnych posadek, obsadzonych przez polityków, którymi wtedy – co za „przypadek" – byli politycy PiS. Oraz „krewni i znajomi królików".

A dalej wszystko potoczyło się tak, jak to zwykle się toczy „na państwowym". Czyli wyniki firm, które działając w pojedynkę, jakoś tam (mimo że były państwowe) sobie na wolnym rynku radziły, po wejściu w skład państwowego molocha, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zaczęły podupadać. No, krótko mówiąc, KGS drugi rok z rządu generuje gigantyczną stratę, w 2025 r. szacowaną na aż od 300 do 600 mln zł. Od 300 do 600 mln zł „na minusie"! Lecz teraz – czyli po wyborach z 2023 r. – jak nietrudno się domyślić, dzieje się to już pod kierunkiem światłych prezesów i dyrektorów z PSL, a co najmniej mianowanych przez polityków z tej partii, bo to właśnie PSL w udziale przypadł ten powyborczy łup.

No i oto dziś, gdy Carrefour wystawił na sprzedaż swą przynoszącą straty sieć handlową w Polsce, rzeczony PSL postanowił dokończyć realizację słynnego pomysłu PiS, czyli sprawić, żeby Krajowa Grupa Spożywcza była obecna w Polsce „od pola do stołu". Cóż, jeśli to mu się uda, to gdy dodamy straty obecnego KGS i straty przejętego przez nią Carrefoura, to może sięgać one będą co roku już nawet miliarda złotych?! A politycy PSL na pewno znajdą sposób, żeby podatnicy (czyli my) im tę stratę pokrywali, i to z nawiązką. Może nawet specjalny podatek nam w tym celu narzucą, nazywając go np. „Spożywczak+"-bis. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Ślepota

ŁUKASZ WARZECHA

Na skądinąd świetnym brytyjskim portalu publicystycznym UnHerd (w wolnym tłumaczeniu: Niestadny) ukazał się tekst Iana Birrella, brytyjskiego reportera, a kiedyś autora przemówień premiera Davida Camerona (tego, który wbrew własnym intencjom wyprowadził Wielką Brytanię z UE), zatytułowany „Poland has turned on its Ukrainians" („Polska zwróciła się przeciwko Ukraińcom"). Tekst jest świadectwem bardzo pobieżnej i fragmentarycznej wiedzy autora o polskiej historii i polityce, wziętej prawdopodobnie głównie z mediów głównego nurtu. Przede wszystkim jednak błędnie przypisuje wzrost nastrojów niechętnych Ukraińcom działaniom polityków – głównie PiS i Karola Nawrockiego.

To oczywiście nieprawda. Niechętne Ukraińcom nastroje są przede wszystkim spontaniczną reakcją na dwa czynniki. Po pierwsze – słuszne poczucie, że mimo ogromnej pomocy z polskiej strony Ukraina w wielu sprawach utrzymała z nami kolizyjny kurs (nie chodzi jedynie o sprawy historyczne). Po drugie – była to naturalna reakcja na przymusową miłość do Ukraińców.

Z innej beczki: komentatorzy, w tym mój ulubiony Jędrzej Bielecki w „Rzeczpospolitej", z paniką komentują drugi już sondaż pokazujący radykalny wzrost eurosceptycznych nastrojów w Polsce (25 proc. opowiada się za polexitem). Nie dostrzegają, że te nastroje nie są przecież wynikiem jakiejś złośliwej magii, dajmy na to, Donalda Trumpa, lecz działań samej UE: wchodzenia w sferę naszych suwerennych kompetencji, tworzenia absurdalnego i kosztownego prawa, w tym polityki klimatycznej. Jest akcja i jest reakcja. Gdyby Brytyjczycy w 2016 r. nie mieli poczucia, że UE ich tłamsi, zapewne głosowaliby w referendum inaczej.

Przedstawiciele głównego nurtu nie są w stanie pojąć, że różne działania mainstreamu, oparte przede wszystkim na przymusie, w końcu spowodują odbicie w drugą stronę

Te dwa wątki są przykładem powtarzającego się schematu: przedstawiciele głównego nurtu nie są w stanie pojąć albo przyznać, że różne działania mainstreamu, oparte przede wszystkim na przymusie (przymus miłości do Ukraińców czy do UE), w końcu spowodują odbicie w drugą stronę. Ten mechanizm nie tylko w Polsce działał w historii setki albo i tysiące razy. Niektórzy jednak są ślepi. ©℗

eprasa.pl 7deb5b8e48



Libertarianie tworzą swój raj

Historia USA zna wiele przykładów społeczności budujących utopie. Na tym tle FSP może się wydawać udanym projektem FOT. FREE STATE PROJECT/FACEBOOK



Piotr Włoczyk

Libertarianie z Free State Project chcą zamienić stan New Hampshire w idealne miejsce do życia dla wszystkich miłośników wolności. Ich krytycy twierdzą, że FSP „porwał" stanową Partię Republikańską, jednak ten libertariański projekt siłą rzeczy kojarzy się przede wszystkim z utopią

Ich przeciwnicy nie mają dla nich litości. Nazywają ich „najeźdźcami", „przeszczepami" czy „ekstremistami". Czasem pojawiają się też botaniczne epitety. Dla Jean Lewandowski, publicystki „Concord Monitor", gazety wydawanej w stolicy stanu New Hampshire, Free State Project to polityczny gatunek inwazyjny. W swoim niedawnym felietonie pt. „Usunąć inwazyjnych ekstremistów" Lewandowski najpierw przypomniała wszystkim miłośnikom ogrodnictwa inwazyjne gatunki pnączy, które rozpleniły się w stanie, a następnie napisała: „Ci najeźdźcy są jak plaga antydemokratycznej ideologii i pieniędzy, które pojawiły się w New Hampshire 20 lat temu w postaci Free State Project. Ten byt owinął się wokół Partii Republikańskiej i dokonał alarmujących postępów w kwestii obalania naszych wspaniałych instytucji publicznych". W dalszej części tekstu Lewandowski załamuje ręce nad sprytem „kilku tysięcy" członków FSP, którzy zjechali do jej stanu z innych części USA, kupili nieruchomości i podają się za „dobrych sąsiadów". „Wielu z nich wykorzystało strategię »na dobrego sąsiada« do wygrania lokalnych wyborów – pisze publicystka »Concord Monitor«. – Przejęli kontrolę nad niektórymi szkołami i radami miast i drastycznie obcięli budżety i usługi publiczne. Free staterzy i ich stronnicy z Sojuszu Wolności [ang. Liberty Alliance – przyp. red.] mają większość w naszej stanowej legislaturze, a Jason Osborne, przeszczep z FSP, jest ich przywódcą".

Innym głośnym lokalnym krytykiem FSP jest dziennikarz Garry Rayno. Jego akurat szczególnie rozwścieczyło stanowisko libertarian w kwestii maseczek i szczepionek. I również on alarmuje swoich czytelników, że „stanowa izba ustawodawcza zamieniana jest w ramię Free State Project".

Rayno piekli się, że członkowie FSP zasiadający w stanowej legislaturze naciskają na obniżanie podatków i ograniczają środki publiczne m.in. na edukację, dążąc do swojego ideału – jak najtańszego i najmniejszego państwa (przynajmniej na szczeblu stanowym).

„Free staterzy i ultralibertarianie przejęli Partię Republikańską w New Hampshire, zostawiając niewiele miejsca dla ludzi, którzy kiedyś byli fundamentem tej partii" – pisze Rayno.

Również lokalne struktury Partii Demokratycznej przekonują swoich sympatyków, że FSP to dużo większe zagrożenie niż tradycyjna Partia Republikańska.

ZAPROSZENIE OD GUBERNATORA

Jason Osborne, o którym Lewandowski napisała per „przeszczep", to niewątpliwie największy sukces polityczny ruchu FSP. Od 2020 r. ten polityk piastuje funkcję lidera republikańskiej większości w niższej izbie stanowej legislatury. „Przeszczep" nawiązywać ma do przeprowadzki Osborne'a. Jak tysiące innych członków FSP obecny lider republikańskiej większości w NH przeprowadził się do tego stanu. Osborne w 2010 r. porzucił swoje rodzinne Ohio i wyjechał na północno-wschodnie kresy USA, budować libertariański raj.

Szacuje się, że w ciągu ostatnich 20 lat w ramach FSP przeprowadziło się do NH 7–9 tys. libertarian. A to oznacza, że

eprasa.pl 7deb5b8e48

wiele jeszcze brakuje do osiągnięcia celu, który ponad dwie dekady temu postawił przed FSP Jason Sorens, pomysłodawca tego projektu. Sorens postulował zasiedlenie stosunkowo niewielkiego stanu (NH ma zaledwie 1,4 mln mieszkańców), 20 tys. rzutkich libertarian, którzy będąc bardzo aktywni politycznie, po pewnym czasie będą w znaczący sposób wpływać na stanową politykę. W tym kontekście ważna jest wielkość lokalnego parlamentu – liczy on w sumie aż 424 deputowanych (400 zasiada w Izbie Reprezentantów i 24 w Senacie), co sprawia, że relatywnie łatwo jest się tam dostać.

– Założyłem Free State Project latem 2001 r., bo miałem już dość tego, jak wygląda amerykańska polityka – mówi „Do Rzeczy" Jason Sorens. – Nierealistyczne były oczekiwania, że libertarianie i klasyczni liberałowie mogą kiedykolwiek zyskać większość w Kongresie. Dlatego najlepszą alternatywą było znalezienie stanu, który jest przyjazny wolności, a następnie zrekrutowanie libertarian, by przeprowadzili się tam i wprowadzali swoje ideały na stanowym poziomie. Ostatecznie wybraliśmy New Hampshire po tym, jak ówczesny gubernator zaprosił nas tam.

W grze, oprócz NH, był jeszcze stan Wyoming, który byłby jeszcze łatwiejszy do politycznego „skolonizowania" (liczy sobie niecałe 600 tys. mieszkańców). Jednak libertarianie z FSP postawili na dwa razy większe NH, ponieważ ten stan już wtedy uchodził w USA za miejsce najbardziej przyjazne wolności. Jego dewizą jest zresztą hasło: „Live free or die". Na czele listy 101 powodów, dla których warto się przeprowadzić do NH, FSP stawia głównie kwestie podatkowe (w stanie tym nie ma podatku dochodowego i od sprzedaży), ale również mowa jest o wspomnianych już niewielkich okręgach wyborczych i krótkich kadencjach (przykładowo: gubernator NH wybierany jest tylko na dwa lata), co sprzyjać ma oddolnym ruchom społecznym.

Tanie państwo, czyli jeden z libertariańskich ideałów, realizowane jest tutaj od wielu lat. Weźmy choćby wynagrodzenie dla członków stanowej legislatury. Nie zmieniło się ono od 1889 r. (sic!) i wynosi dokładnie 100 dol. rocznie. Na drugim biegunie jest w tej kwestii znienawidzona przez libertarian Kalifornia, gdzie stanowi deputowani pobierają 1 tys. razy wyższe wynagrodzenie.

WROGA MAGA

Stephen Villee przeprowadził się do NH w 2003 r., dzięki czemu może się dziś chwalić, że był jednym z pierwszych „wolnościowych osadników". – Już wtedy rozumiałem, jak ważne jest skoncentrowanie libertarian w jednym stanie, i chciałem być przykładem dla innych libertarian myślących o przeprowadzce – mówi „Do Rzeczy". Jednak polityczna kariera Villee'ego pokazuje, że twierdzenia o „porwaniu" Partii Republikańskiej przez FSP są mocno przesadzone. W 2024 r., w poprzednich wyborach na gubernatora NH, Villee startował z ramienia Partii Libertariańskiej i zdobył całe… 1,99 proc. głosów. Zwyciężczynią była Kelly Ayotte, „klasyczna" polityk Partii Republikańskiej, natomiast drugie miejsce, zdobywając 44 proc. głosów, zajęła kandydatka demokratów.

Villee wśród sukcesów FSP wskazuje, przegłosowane wraz z republikanami, poszerzenie prawa do posiadania broni i eliminowanie podatków, a także zniesienie obowiązku... przeprowadzania corocznych przeglądów prywatnych samochodów (nowe prawo wejdzie w życie 1 lutego 2026 r.). Sukcesem według Villee'ego jest też dekryminalizacja posiadania marihuany, co libertariańscy politycy z NH przegłosowali wspólnie z demokratami. Jednak Villee, w przeciwieństwie do krytyków FSP z „Concord Monitor" czy stanowej Partii Demokratycznej, wcale nie uważa, że libertariański ruch zdominował życie politycznie w NH (w tamtejszym parlamencie zasiada ok. 20 libertarian).

– Prawdopodobnie największym zawodem są same oczekiwania – mówi Villee. – Przekonywaliśmy, że wystarczy 20 tys. libertariańskich aktywistów, by osiągnąć minarchię [forma rządu, w której państwo ma bardzo ograniczoną władzę nad obywatelami – przyp. red.]. A to nieprawda. Z 20 tys. aktywistów raczej nie jesteśmy w stanie osiągnąć sukcesów na innych polach niż te, gdzie mamy wspólne poglądy z jedną z dwóch dużych partii. Przykładowo uważam, że nie będziemy w stanie pozbyć się państwa opiekuńczego dopóty, dopóki w New Hampshire nie będą żyły setki tysięcy libertarian.

Jason Sorens – co nie powinno dziwić – patrzy na swoje „dziecko" dużo bardziej optymistycznie, przekonując, że libertariański ruch okazał się „niesamowicie wpływowy" w kontekście NH.

– W miarę jak Partia Republikańska w New Hampshire przesunęła się bardziej w stronę libertarianizmu, wyborcy częściej popierają republikanów na poziomie stanowym, mimo że w wyborach federalnych głosują raczej na demokratów – podkreśla Sorens. Jego zdaniem na poziomie stanowym republikanie to naturalni sojusznicy free staterów.

– Jeżeli spojrzymy na historię XX-wiecznego amerykańskiego konserwatyzmu, to zobaczymy, że zawsze był on ściśle sprzymierzony z libertarianizmem. Natomiast ruch „Make America Great Again" jest w kluczowych aspektach wrogi libertarianizmowi – mówi Sorens.

DZIEL I RZĄDŹ

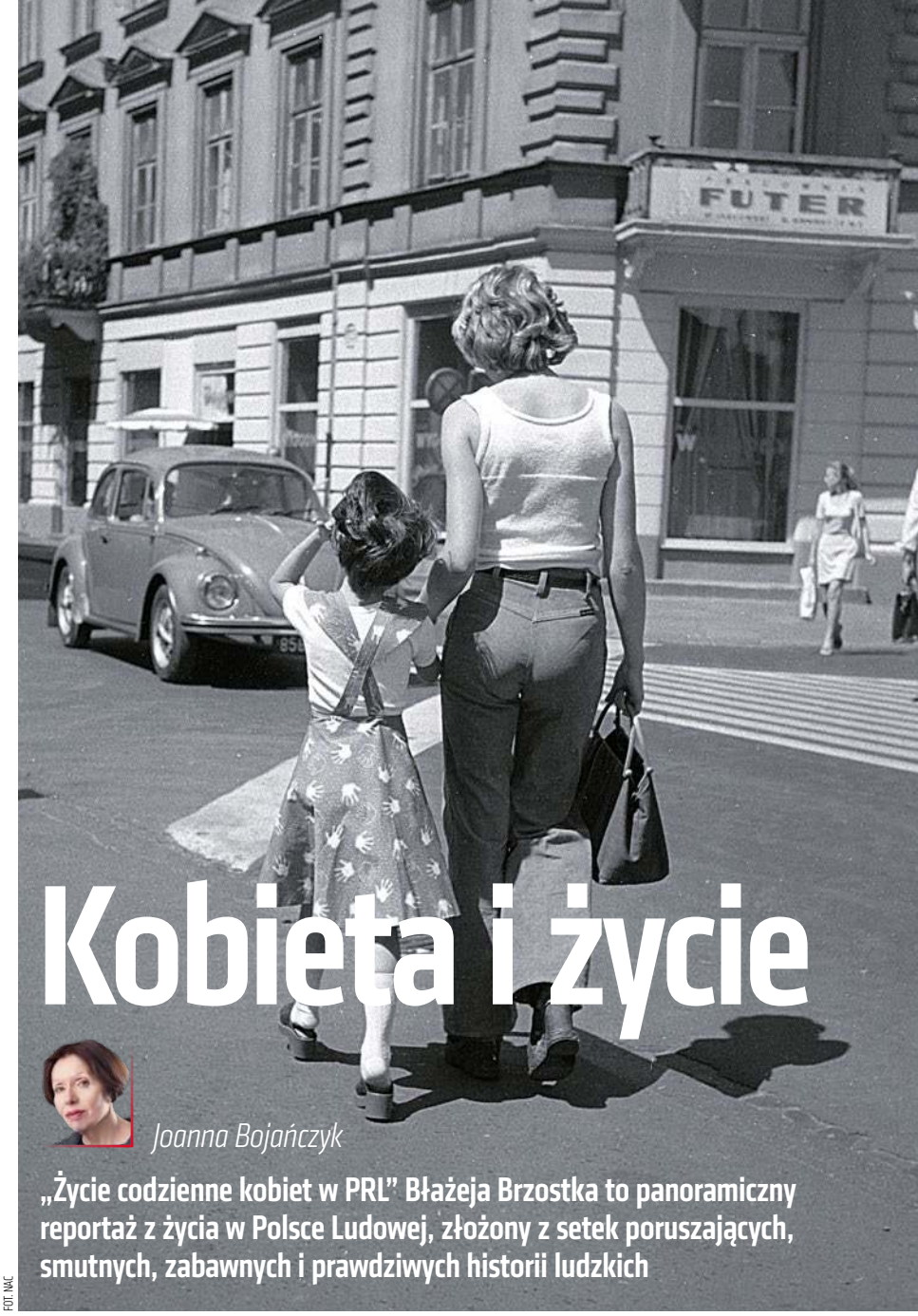
Profesor David Jackson, politolog z Bowling Green State University w Ohio, podkreśla w rozmowie z „Do Rzeczy", że natura amerykańskich systemów wyborczych (głosowanie większościowe) sprawia, iż bardzo trudno przełamać duopol republikanów i demokratów. – Zwolennicy innych partii, jak choćby libertarianie, czują się zmuszeni głosować w sposób strategiczny na jedną z dwóch głównych partii, która jest bliższa ich ideałom. Dla libertarian oznacza to głosowanie na republikanów, ponieważ to właśnie ta partia jeszcze do niedawna opowiadała się za ograniczonym rządem.

Profesor Jackson tłumaczy, że niekiedy demokraci wykorzystują tarcia na linii republikanie – libertarianie. Tak stało się choćby w 2024 r. w Ohio, gdy w jednym z okręgów wyborczych demokraci zachęcali konserwatystów do głosowania na kandydata libertariańskiego, co pomogło ostatecznie wygrać demokratce – Marcy Kaptur, polityk polskiego pochodzenia, która dzierży rekord najdłużej pełniącej swój urząd kongreswoman.

Historia Ameryki zna wiele przykładów społeczności budujących utopie. Czasem były to projekty skrajnie lewicowe (m.in. XIX-wieczna komunistyczna gmina New Harmony w stanie Indiana), a czasem skrajnie prawicowe. Na tle fiask poprzednich utopii FSP może się wydawać całkiem udanym projektem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7deb5b8e48



Kobieta i życie

Joanna Bojańczyk

„Życie codzienne kobiet w PRL" Błażeja Brzostka to panoramiczny reportaż z życia w Polsce Ludowej, złożony z setek poruszających, smutnych, zabawnych i prawdziwych historii ludzkich

FOT. NAC

To o mnie – pomyślałam na widok okładki książki Błażeja Brzostka, która właśnie ukazuje się w reaktywowanej serii „Życie codzienne" PIW. Na szczęście się myliłam – zresztą o mnie to nie byłoby ciekawe. Ale rzeczywiście odnajduję tu sporo własnych fragmentów życia, własnych obserwacji, własnych przeżyć. Im bardziej rozwija się historia, a autor zaczyna ją zaraz po wojnie, tym te odniesienia są żywsze.

„Życie codzienne kobiet w PRL" to fascynująca książka, aż trudno uwierzyć, że to praca naukowa. Rzetelna, udokumentowana, a przy tym wciągająca. I nie są to żadne sentymentalizmy. Autor jest na to za młody: wspominać PRL mógłby najwyżej z perspektywy dziecka. Błażej Brzostek, doktor habilitowany Wydziału Historii UW, ma 48 lat. W PRL przeżył kilkanaście dziecinnych lat i to działo się już w systemie schyłkowym.

Mimo braku doświadczeń osobistych właśnie okres Polski Ludowej stał się głównym tematem zainteresowań i prac naukowych Brzostka. I pewnie właśnie dlatego podchodzi do tego ze skrupulatnością analityka. Książek o PRL napisał więcej, ja do tej pory przeczytałam „PRL na widelcu" – równie wciągającą jak najnowsza książka.

Gdy się przejrzy dorobek młodego autora, ma się ochotę sięgnąć po więcej. Choćby jego doktorat „Życie codzienne w przestrzeni publicznej Warszawy 1955–1970".

REPORTAŻ O POLSCE

Indeks rzeczowy tej książki liczy ponad 500 pozycji. Są tu fragmenty dzienników i pamiętników pisanych na konkursy, doniesienia prasowe, badania etnografów i socjologów, cytaty z telewizji, filmów. Wszystko wsparte danymi statystycznymi, które uwiarygodniają historie osobiste i obserwacje socjologa.

Powstał z tego panoramiczny reportaż życia w Polsce Ludowej, złożony z setek poruszających, smutnych, zabawnych i prawdziwych historii ludzkich. Autor poruszając się swobodnie w swojej materii, lubi też czasem puścić do czytelnika perskie oko. Dowody jego subtelnego poczucia humoru znalazłam w kilku miejscach, chociaż tematyka niespecjalnie nastraja do śmiechu.

Choćby to: „Zimą 1970 roku, wśród ogromnego napięcia społecznego, skupieni u szczytu władzy mężczyźni postanowili usunąć kilku ze swego grona".

W ostatniej dekadzie nastała moda na odkrywanie rzeczywistości widzianej z „perspektywy kobiecej". Miasto kobiet, świat kobiety, sztuka kobiet, wysokie obcasy – z kobiet zrobiono egzotyczny podgatunek bez kontaktu ze światem. W ciągu ostatnich dwóch lat dołączyły do tego – również modne – tzw. historie ludowe, o służących, chłopkach. Tę osobliwie zawężoną perspektywę wygenerowało pokolenie wykształconych autorek żyjących w nowych czasach. Czyżby była to chęć odwetu za niedostateczną reprezentację feminizmu w piśmiennictwie? Jeśli tak, to teraz mamy przesyt.

OBIAD PRZED EKRANEM

Tu tego nie ma. W książce Brzostka kobiety są uczestniczkami historii równoprawnymi z mężczyznami. Jednak widać, że to one dźwigają więcej codziennego, życiowego ciężaru. Są dzielne, odporne, wytrwałe. Tych cech najbardziej wymagał czas bezpośrednio powojenny:

eprasa.pl 7deb5b8e48

migracje, przesiedlenia, chaos, nędza, braki wszystkiego. Konieczności przywrócenia życia po wojennych stratach.

„Wstaję rano o godz. 4.30, żeby zdążyć wyszykować dzieci do żłobka. W pocie czoła biegnę do pracy. Po wyjściu z pracy robię zakupy i idę po dzieci. Dźwigając dzieci i zakupy, wracam do domu około 17, gotuję obiad, znosząc krzyki dzieci, które wołają jeść, a tu obiad jeszcze niegotowy".

To rok 1957, tak pisze kobieta mieszkająca z mężem i dwojgiem dzieci w pokoju o powierzchni 8 mkw. Kładła się o północy.

Współczesny czytelnik czytając o tym, nie może się oprzeć refleksji, że żyjemy w stabilnych i spokojnych czasach.

Opowieść Błażeja Brzostka nie byłaby tak ciekawa, gdyby nie jego oko i ucho na szczegóły. W opisywanej przez siebie rzeczywistości widzi rzeczy drobne, zwykłe, na które poważny dziejopis nie zwróciłby uwagi, zajęty wojnami i rewolucjami. A tutaj mamy spojrzenie od wewnątrz, jakby kogoś, kto tam był i to widział.

„Charakterystyczne dla lat 60. było stopniowe przenoszenie się z posiłkami z kuchni do pokoju. Wynikało to nie tyle z małej powierzchni tej pierwszej i zanikania rustykalnego podziału na izbę białą i czarną, ile z pojawienia się telewizorów. Ekrany zaczęły przyciągać w porze jedzenia. Wpatrywano się w nie od stołu, nie przerywając spożywania zupy".

Ma się ochotę powiedzieć: Skąd my to znamy? Ekran, już nie telewizora, ale komórki towarzyszy nam w niemal wszystkich codziennych czynnościach.

CZTERY PORY ROKU

W drugiej części książki opowieść o codzienności kobiet Błażej Brzostek konstruuje nietypowo, jakby odwijał rolkę fryzu, który pokazuje następstwo czasów. Tytułowa codzienność jest przecież najbardziej wymowna.

Akt pierwszy: poranek. „Dla różnych grup ludzi i w różnych sytuacjach pojęcie »rano« ma różne znaczenie. Dla jednych jest tożsame ze świtaniem, dla drugich z budzikiem wzywającym do dziennych zadań, dla innych stanowi nieokreślony pomost między dniem a snem".

„Ależ przeleniuchowałam dzień! Spałam do południa, a potem wylegiwałam się bezmyślnie, bawiąc się z Pieszczotką i marząc o niebieskich migdałach" – napisała Agnieszka Osiecka w 1954 r.

Rutyna dnia codziennego dla większości kobiet oznaczała pośpiech, zmęczenie, niedospanie

Nie wszyscy mieli tak miło jak Osiecka. Rutyna dnia codziennego dla większości kobiet oznaczała pośpiech, zmęczenie, niedospanie. Według badań z lat 60. robotnice pracujące na trzeciej zmianie spały przeciętnie tylko ponad pięć godzin, podczas gdy na pierwszej i drugiej – ponad siedem.

W PRL pracę kończyło się w zależności od miejsca i rodzaju między godz. 14 a 16. „Tłumy wylewały się z fabrycznych bram, pustoszały urzędy [...], wypełniały się przystanki tramwajowe i stacje kolejowe".

Po wyjściu z pracy kobiety nie rzucały się masowo do kosmetyczki i fryzjera.

W rozdziale „Popołudnie" Błażej Brzostek rysuje obraz codzienności handlu i są to barwy odpowiadające tonacji przeboju Krystyny Prońko „Psalm stojących w kolejce".

Popołudnie było czasem zdobywania dóbr, których brakowało przez cały czas trwania jedynie słusznego ustroju: żywności i artykułów trwałych. Kupno mięsa bez kości, pomarańcz, odkurzacza, pralki, a przede wszystkim ikonicznego czy raczej komediowego papieru toaletowego było każdorazowo zwycięstwem nad ustrojem. Kto zdobył ten deficytowy artykuł, odbywał triumfalny pochód ulicami, obwieszony budzącymi zazdrość rolkami.

Kolejki były bronią w walce o przetrwanie, a także formą kontaktów społecznych, forum informacyjnym, platformą dyskusji politycznych oraz informacji o tym, co gdzie „rzucili".

ZMIERZCH I MROK

To tylko tytuł ostatniego rozdziału, bo wieczór skłania do odpoczynku, a czasem do rozrywki. Tutaj zamiast dobrego nastroju mamy ponurą refleksję nad mało rozrywkowymi aspektami życia w PRL. Temat przemocy w PRL nie był nagłośniony, tak jak jest teraz, chociażby w filmie Wojciecha Smarzowskiego. Ale istniał. Temu problemowi Błażej Brzostek poświęca część ostatniego rozdziału.

„W roku 1950 wyszłam za mąż, mając 26 lat. Poznałam męża na zabawie. Niestety, wolałabym nigdy go nie zapoznać. Bo właśnie od tego roku zaczęła się cała moja tragedia". Kobieta urodziła sześcioro dzieci, z których jedno zmarło, przeżyła dwa poronienia. Jej codzienność wypełniona była pracą. „Prałam, cerowałam, gotowałam, doiłam, robiłam jak koń. Grosza mi nie dawał, tyle że za jajka i masło miałam [...]. Co tylko robiłam, to było źle i tak jest do dziś. Bił mnie, kopał jak psa, chodziłam posiniaczona, jak obłędna, oczy wypłakałam. Spałam po strychach, w stodole, bo się bałam, że wróci pijany i będzie bił. Ileż to razy wywłóczył mnie z łóżka za nogi, rozbijając głowę o podłogę!".

To historia rolniczki opowiedziana na początku lat 70.; mowa o kobiecie, która dobiegała wówczas do pięćdziesiątki. Połowa jej życia była męką znoszoną w niedużym gospodarstwie w Wielkopolsce.

Życie w PRL, od początku aż po kres systemu, nie sprzyjało rozrywce. Najpierw w stalinizmie było się obserwowanym, a każdy kontakt wystawiał obywatela na ryzyko donosów. Za Gomułki brak mieszkań i głodowe pensje też nie usposabiały rozrywkowo. „Do restauracji chodzą kur.y i złodzieje" – mawiała pewna znajoma dama, która młodość spędziła w II RP.

Na restauracje przeciętny obywatel pracujący na państwowej posadzie nie mógł sobie pozwolić. Zresztą lokali było niewiele i to niekoniecznie takich, do których chciałoby się pójść, bo większość gastronomii państwo siłowo przejęło pod koniec lat 40. Życie towarzyskie już wtedy schroniło się do domów i tam pozostało.



BŁAŻEJ BRZOSTEK „ŻYCIE CODZIENNE KOBIET W PRL" PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY 2025

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 7deb5b8e48



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Burzliwe dzieje Dębna

Późnogotycki zamek w Dębnie, między Brzeskiem a Tarnowem, to niezwykły przykład budowli z czasów, kiedy surowe, gotyckie zamki zaczynały powoli przekształcać się w renesansowe rezydencje magnackie. Jak zwykle prapoczątkiem tej twierdzy był gród obronny, wzniesiony przez Świętosława z rodu Gryfitów, któremu miejsce to nadał książę krakowski i sandomierski Bolesław Wstydliwy. W połowie XIV w. dobra przejął ród Odrowążów, z których Jakub z Dębna zbudował zamek w takim kształcie, w jakim można podziwiać go obecnie. Jakub był synem Bartłomieja, znanego w okolicy awanturnika, który prawował się z sąsiadami i zajeżdżał ich, bez przerwy także siedział w kieszeni kazimierskich Żydów. W 1424 r. zajechał karczmę Barycz pod Staniątkami, zadał „trzy krwawe rany" gospodarzowi Stanisławowi i poturbował końmi jego dzieci. W 1426 r. wdał się w jakieś machinacje polityczne na dworze Jagiełły i został zatrzymany pod przysięgą na Wawelu. Zagrożony utratą gardła, od której uwolnił go krewniak, Jan Odrowąż ze Szczekocin, gdyż przebłagał króla Jagiełłę za cenę kary 2 tys. grzywien wpłaconej przez Bartłomieja do skarbu królewskiego. Później Bartosz zamieszkał na stałe w Dębnie, gdzie pędził żywot szlachcica w niełasce, pod koniec życia zaś, zapewne z obawy, by jego dusza nie trafiła do piekła, hojnie wyposażył klasztor w podkrakowskiej Mogile.



RYS. OBA

Dębno przejął po Bartoszu najmłodszy z jego synów, wspomniany Jakub, ok. roku 1455, kiedy zmarli jego dwaj starsi bracia. Był dobrze wykształcony, dlatego w 1447 r. został dworzaninem króla Kazimierza Jagiellończyka. Na dworze zrobił szybką karierę, zostając podskarbim, a także starostą bieckim i sądeckim. Szybko też dał się poznać jako pogromca hultajów i swawolników. To właśnie on tropił i przez kilka lat gromadził dowody na rozbójniczą działalność Piotra Szafrańca z Pieskowej Skały. Pokonał też znanego warchoła Mikołaja Komorowskiego, któremu odebrał trzy zamki – w Żywcu, Szaflarach i Barwałdzie. W 1471 r., na zjeździe w Ratyzbonie, wygłosił mowę wzywającą do wspólnej obrony przed Turkami. W 1478 r. został kasztelanem krakowskim, zmarł zaś w 1490 r., jako szanowany możnowładca, stronnik króla, aczkolwiek słynął też jako człowiek popędliwy, znajdujący się nieraz – jak pisał Szymon Starowolski – w stanie określanym: „in cholera". Do 1480 r. zakończył budowę zamku w Dębnie, ufundował też istniejący do dziś murowany kościół św. Małgorzaty.

Po śmierci Jakuba zamek w Dębnie przeszedł w ręce jego syna, także Jakuba, zwanego Szczekockim, który nie zasłużył się niczym, nie zdobył nawet żadnego urzędu ziemskiego. W 1546 r. rezydencję przejął syn Hieronim, po nim zaś potomek tego także nazwany Hieronimem i jego brat Jakub, którzy w 1583 r. sprzedali zamek razem z okolicznymi włościami. Nabywcą został Ferenc Wesselini, dworzanin i pokojowy króla Stefana Batorego, który hojnie wynagrodził go za służbę. Chcąc mocniej związać się z Polską, Wesselini zakupił od braci Dębno, które wymagało remontu po pożarze, następnie przebudował je w stylu renesansowym. Za jego czasów na zamku przebywał jeden z najsławniejszych wówczas poetów piszących po węgiersku – Balint Balassi, będący być może kochankiem żony właściciela zamku – Anny.

Pod koniec XVI w. dzierżawcą budowli i okolicznych włości został Jan Frakszтyn, zwany także Frankensteinem, pochodzący ze Śląska, z Wrocławia. Przejął na własność Dębno w niejasnych okolicznościach – pożyczając pieniądze wiecznie zadłużonemu Wesseliniemu i oszukując go na wekslach. Kiedy właściciel zmarł, a później odeszła także wdowa po nim, w 1602 r., dokonał kolejnych machinacji, przypisując zmarłemu i jego żonie kolejne fikcyjne długi, których zwrotu domagał się od ich najstarszego syna Stefana. Ostatecznie w 1605 r. wykupił od niego zamek za 25 tys. zł, razem z okolicznymi folwarkami. Do 1626 r. zamkiem zarządzał najpierw stary Frakszтyn, potem jego syn, także Jan, który zdołał nawet wżenić się w szlachtę, biorąc za żonę Zofię z rodu Ligęzów. Po nim dobra przeszły na syna Zbigniewa, który z kolei oddał zamek i okoliczne wsie w dzierżawę Mikołajowi Trepce. Za czasów tego zarządcy miała miejsce głośna afera na zamku Dębno, kiedy to niespodziewanie rozbito zamurowaną piwnicę i wyciągnięto z niej skarb. Prawdopodobnie należał do Zofii Frakszтynowej, matki Zbigniewa, i mógł być po prostu jej wianem zdeponowanym w lochach albo też skarbem z czasów Jana Frakszтyna, który oszukał Wesseliniego. Proces był bardzo dziwny, bo oskarżano o grabież… chłopskiego syna Zarębę służącego u Trepki, a także niejakiego Zembrzuskiego. Prawdopodobnie to jednak sam Mikołaj Trepka stał za tym rabunkiem. Ostatecznie w 1630 r. Zbigniew Frakszтyn, nie odzyskawszy skarbu, sprzedał Dębno księżnie Ostrogskiej, a pieniądze wkrótce stracił. ©℗

eprasa.pl 7deb5b8e48

CUPRA FORMENTOR VZ 1.5 E-HYBRID



FOT. JAP

Jest usportowiona i elegancka, daje sporo frajdy z jazdy, ale pozostaje dość praktyczna, jest stosunkowo dynamiczna, choć jednocześnie... ekologiczna i hybrydowa.

Ta wersja crossovera z hiszpańskim rodowodem oznaczona jest emblematem VZ – to zaś skrót od słowa „veloz", które po polsku oznacza „szybki", „prędki", „zwinny". I chociaż na łamach „Do Rzeczy" opisywałem już mocniejsze wersje Formentora (np. VZ Tribe Edition z dwulitrowym silnikiem o mocy 310 KM lub VZ5 VAT z 2,5-litrową jednostką o mocy 390 KM), to ta odmiana też ma coś w sobie (choć przyznam szczerze, że jeśli jeździło się wcześniej mocniejszymi wariantami, to uczucie niedosytu jednak jest).

Obiektywnie nie ma powodu do narzekań. Pod maską mierzącej 445 cm długości, 184 cm szerokości i 153 cm Cupry pracuje 1,5-litrowy silnik spalinowy o mocy 177 KM i maksymalnym momencie obrotowym 250 Nm, który wspomagany jest przez silnik elektryczny o mocy 116 KM i 330 Nm. Łączna moc takiego układu to aż 272 KM i 400 Nm. Hybrydowy napęd współpracuje z sześciostopniową skrzynią DSG. Tak zestrojony Formentor – który celowo mierzy tylko 153 cm wysokości – od zera do pierwszej setki przyspiesza w 7 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 220 km/h.

Hybrydowa wersja Formentora nie przyspiesza może do setki w czasie poniżej 5 s, ale auto nadal prowadzi się tak, jakby było przyklejone do asfaltu. W najbardziej dynamicznym trybie Cupra zawieszenie jest wystarczająco sztywne, ale nadal przyjemnie się nim podróżuje. Ponarzekać mógłbym tylko na ospałą reakcję skrzyni biegów na nagłe dociśnięcie pedału gazu do samej podłogi. Podczas standardowej jazdy powodów do marudzenia nie ma: skrzynia sprawnie zmienia biegi. Wersja plug-in pozwala jeździć wyłącznie na prądzie. W teorii zasięg to ok. 100 km, w praktyce zimą to raczej 70–80 km.

W kabinie na pochwałę zasługuje wygodna, wielofunkcyjna kierownica. Głównym elementem deski rozdzielczej jest ekran systemu multimedialnego. Czytelne są również cyfrowe zegary dla kierowcy. Jakość materiałów użytych do wykończenia wnętrza nie budzi zastrzeżeń. Podobnie jak staranność ich spasowania. Przednie kubełkowe fotele zapewniają świetne podparcie boczne. O sportowych ambicjach auta przypominają m.in. metalowe nakładki na pedały i podstopnicę.

Miejsca w kabinie jest sporo. Nawet pasażerowie z tyłu nie powinni zahaczać głową o podsufitkę. Niestety, pojemność bagażnika w wersji hybrydowej wynosi zaledwie 345 l. Po złożeniu tylnej kanapy pojemność kufra rośnie jednak do 1415 l.

Teoretycznie Cuprę Formentora w wersji VZ można kupić za 262,8 tys. zł. Warto jednak dopłacić do co najmniej trzech elementów: lakieru Graphene Grey (5475 zł), 19-calowych felg aluminiowych Artic Copper (5973 zł) oraz hamulców wyczynowych z zaciskami Brembo (11 772 zł). Egzemplarz testowy miał również obudowę lusterek bocznych z włókna węglowego w miedzianym kolorze (za 3484 zł), pięć dodatkowych pakietów wyposażenia, kabel do ładowania AC etc. Wszystkie te dodatki podniosły cenę do 321,5 tys. zł.

KAMERA TP-LINK TAPO C560WS



Bardzo dobra jakość obrazu, dwupasmowe Wi-Fi 6, świetny stosunek ceny do możliwości oraz skuteczny system, który za pomocą algorytmów AI rozpoznaje twarze, a także skutecznie identyfikuje ludzi, zwierzęta i samochody – to największe zalety obrotowej kamery zewnętrznej chińskiej firmy TP-Link.

Kamera w białej, plastikowej obudowie jest solidnie wykonana (klasa szczelności IP66), wygląda nowocześnie, a jednocześnie nie rzuca się za bardzo w oczy. Jej konfiguracja jest intuicyjna i zajmuje bardzo mało czasu. Kamerę z Internetem można połączyć zarówno poprzez kabel Ethernet, jak i bezprzewodowo poprzez wi-fi (standard Wi-Fi 6 pozwala na szybki transfer danych, zwłaszcza w paśmie 5 GHz).

Najważniejszą zaletą tego modelu jest bardzo dobra jakość obrazu – zarówno w dzień, jak i w nocy. To zasługa obiektywu o jasności f/1.6 oraz rozdzielczości 4K przy 25 k/s. Taka jakość pozwala już nie tylko na wyraźne ujęcia twarzy (sztuczna inteligencja zazwyczaj dobrze identyfikuje członków rodziny, sąsiadów i znajomych), lecz także na poprawne rozpoznanie numerów tablic rejestracyjnych. W nocy sprawdza się matryca Starlight, która nawet w ciemności potrafi w kolorze pokazać wykrytą osobę.

Do monitorowania posesji przydatne są także 18-krotny zoom cyfrowy oraz możliwość obracania kamery w pełnym zakresie (czyli 360 stopni), a także opcja ustawienia harmonogramu, który pozwala monitorować ustalone miejsca o konkretnych porach dnia. Kamera może też w razie potrzeby wydawać alarm dźwiękowy oraz świetlny (ma wbudowane niewielkie reflektorki).

Nagrania wideo można bezpłatnie przechowywać na karcie microSD o pojemności do 512 GB (trzeba ją dokupić oddzielnie) lub w chmurze firmy TP-Link (wówczas trzeba już wykupić subskrypcję).

Wady? Naprawdę ważną znalazłem tylko jedną: brak zasilania PoE. Nie ma też opcji zasilania bateryjnego albo za pomocą energii z panelu słonecznego. Poza tym drobiazgi: zdarza się, że algorytm AI błędnie identyfikuje włochatego psiaka jako bujną czuprynę intruza i niepotrzebnie wysyła alert na smartfona. Na kolana nie rzuca też jakość dwukierunkowego audio. Nie są to jednak minusy, które nie występują też w konkurencyjnych kamerach do domowego monitoringu. Mimo wspomnianych wad stosunek ceny do możliwości jest bardzo dobry. Cena: 349 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 7deb5b8e48



SIOSTRY GOTUJĄ

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

Rozgrzewający gulasz

W święto Trzech Króli zamykamy cykl obchodów bożonarodzeniowych. Niegdyś ten dzień był obchodzony bardzo uroczyście, gdyż jest to jedno z najstarszych świąt w Kościele katolickim, obchodzone od II w. Oprócz kolędowania i wzajemnego odwiedzania się obdarowywano się również drobnymi upominkami, a dzieciom rozdawano jabłka i orzechy dla zdrowia. Po domach zaś chodzili kolędnicy przebrani za trzech królów właśnie. W każdym domu czekały poczęstunek i jałmużna, a kolędnikom podawano słodkie bułki i pierogi zwane szczodrakami.

Cudowne były kiedyś te zwyczaje. Na szczęście my również możemy kultywować tradycje i przynajmniej tego dnia odwiedzać rodzinę, przyjaciół czy sąsiadów i wspólnie usiąść przy stole. Co zatem podać? Na pewno coś ciepłego i rozgrzewającego, coś, co sprawi, że poczujemy się otuleni i rozgrzani. Sięgać powinniśmy po to, co u nas sezonowe. Przede wszystkim: kasze, warzywa z dodatkiem rozgrzewających przypraw. Szczególnie cenne buraczki na różne sposoby, nasz rodzimy super food – kapusta kiszona i orzechy, szczególnie włoskie. Zimą nie zapominajmy o witaminie C, której doskonałym źródłem są cytrusy, najlepsze właśnie w styczniu. Dania nie muszą być wyszukane, bo w istocie proste znaczy zdrowsze i lepsze.



FOT. ADOBE STOCK

Rozgrzewający gulasz

• 1 kg łopatki wieprzowej • 2 cebule • garść suszonych grzybów • 1 duża papryka czerwona • 2 ząbki czosnku • 250 g pieczarek (najlepiej brunatnych) • 4 ogórki kiszone • 1 szklanka wina czerwonego • ½ litra bulionu warzywnego • 1 łyżka musztardy francuskiej • 100 ml oleju do smażenia • 1 łyżka masła • przyprawy: sól, pieprz, majeranek, ziele angielskie (kilka ziarenek), liść laurowy, czerwona papryka słodka

Mięso przed smażeniem kroimy na mniejsze kawałeczki, smarujemy marynatą zrobioną z oleju (połowowa z przepisu) i przypraw oraz musztardy. Odkładamy na ok. 1 godz. W rozgrzanym rondlu podgrzewamy resztę oleju i smażymy mięso z każdej strony. Zdejmujemy na tę samą patelnię, dodajemy pokrojone w kostkę cebule, masło i podsmażamy. Dodajemy czosnek i pokrojoną paprykę, pieczarki, a następnie czerwone wino. Następnie wykładamy mięso i bulion, wszystko razem dusimy ok. 1 godz., pod koniec dodajemy pokrojone w kostkę ogórki kiszone. Gulasz możemy podbić kwaśną śmietaną. Takie danie idealnie pasuje do placków ziemniaczanych, klusek śląskich czy tłuczonych ziemniaków. ©℗



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Przeżycia, rzecz bezcenna

JOANNA BOJAŃCZYK

Zawsze pasjonowały mnie epokowe odkrycia anglosaskich uczonych (ironia!). Polegają one głównie na tym, żeby w niskonakładowym magazynie naukowym zadekretować uroczyście coś, co wszyscy od dawna wiedzieli, np. że jak się dużo je, to się tyje.

Tym razem nie chodzi o odkrycie uczonych z Berkeley, tylko dziennikarzy z wysokonakładowego tygodnika „The Economist". Ekscytują się oni nowym zjawiskiem: bogaci jeszcze niedawno kupowali luksusowe dobra materialne – odrzutowce, drogie zegarki, drogie wina, a teraz te dobra im zbrzydły. W końcu sklepy Prady, Vuittona są na każdym rogu. Mieć coś drogiego to banał. Nawet porządny, sporych rozmiarów diament można sobie kupić u Cartiera. Tylko po co?

Ale coś przeżyć, oczywiście w luksusie, to co innego. Najlepsze hotele, restauracje, bilety na najważniejszy mecz futbolu amerykańskiego w Stanach Zjednoczonych (finał Super Bowl). Można będzie się pochwalić przed znajomymi, chyba że oni wpadli na ten sam pomysł.

Już wcześniej tego przełomowego odkrycia – że bardziej niż dobra materialne liczą się przeżycia – dokonał Callum Williams, nieżyjący już dziennikarz ekonomiczny „The Economist". Teraz ta teoria się potwierdza. Bogatym łatwo dostępne, nibyluksusowe rzeczy już się znudziły. Teraz żądni są przeżyć. „Experience" to jest coś, za co gotowi są płacić. Bilet na Super Bowl kosztuje teraz dwa razy tyle, ile w 2019 r., wstęp na Metropolitan Museum Gala – kilkanaście tysięcy dolarów – nie dość, że tak dużo, to ten wstęp jest jeszcze bardzo trudny do zdobycia.

Jak przystało na magazyn ekonomiczny, „The Economist" zamieszcza nawet wykres, który pokazuje, że dobra materialne stoją w miejscu, podczas gdy doświadczenia pną się jak szalone. Moje zdanie nie ma znaczenia w kręgu najbogatszych tego świata, ale dla tych, którzy poszukują „experience", mam kilka propozycji. Parę dni w Bangladeszu, z zakwaterowaniem w popularnej dzielnicy i kilkugodzinną pracą w jednym z tzw. sweat shops, gdzie produkują ubrania. Z kategorii turystyki „przeżyciowej" polecają się również miasta Lagos w Nigerii, a Mali, malowniczy kraj Afryki Zachodniej, gwarantuje przeżycia widokowe i nie tylko.

PS W początkowej scenie serialu „Sukcesja" rodzina zbiera się na urodzinach magnata finansowego i patriarchy rodziny. Każdy przynosi prezent. Zegarek Patek, samochód Maserati itp. Obdarowany sprawia wrażenie znudzonego darami. Iskrę jego zainteresowania wywołuje dopiero słoik z burawą, galaretowatą zawartością. Jest to zakwas na chleb, podarek symboliczny i bezcenny. Piec chleb to jest dopiero „experience". ©℗

eprasa.pl 7deb5b8e48



PIECZEŃ RZYMSKA

W szponach mediów

PIOTR KOWALCZUK

Czym naprawdę żyją Włosi? Sądząc po tym, co dzieje się we włoskich mediach i Internecie, wcale nie toczącymi się wojnami, geopolityką, działaniami rządu czy futbolem. Od kilku miesięcy gazety i stacje telewizyjne wałkują sprawę mordu sprzed 18 lat, gdy w miejscowości Garlasco zamordowana została 26-letnia kobieta. Na 16 lat więzienia został skazany jej narzeczony. Ale znaleziono jakieś nowe odciski palców, jakieś podsłuchane rozmowy, więc trwa walka o wznowienie procesu.

Niemal codziennie do dzienników telewizyjnych i na łamy gazet trafiają nowe rewelacje. Każde szanujące się medium posiada swojego znakomicie zorientowanego w tragicznej sprawie „garlascologa". Do studiów telewizyjnych wieczorem zapraszani są prawnicy, policjanci, krewni ofiary i domniemanego sprawcy, a także znane postaci włoskiego życia publicznego. I nie ma od tego ucieczki. Próbujesz uciec na inny kanał, ale z „Garlasco" wpadasz ponownie w „Garlasco".

Naturalnie fachowcy badający oglądalność świetnie wiedzą, co się najlepiej sprzedaje. Zapewne wyszło im, że mordem sprzed 18 lat pasjonuje się większość telewidzów. Być może to rzecz kuriozalnych, makabrycznych gustów Włochów. Chociaż trudno wykluczyć, że media świetnie wytresowały odbiorców, którzy już bez „Garlasco" żyć nie potrafią.

Jednak ostatnio „Garlasco" ma konkurencję. Hasło tej historii to „Neorurali", czyli jakby „Neowieśniacy". Australijka Catherine Birmigham i Brytyjczyk Nathan Trevallion pobrali się i mają troje dzieci w wieku od sześciu do ośmiu lat. W 2021 r. kupili domek w lesie koło Chieti w Abruzji, by uniezależnić się od cywilizacji i żyć w symbiozie z naturą. Mają osiołka i konika. Są tak radykalni, że zburzyli łazienkę i wyrzekli się prądu i gazu. Żyli sobie szczęśliwie, ale grzybami zatruła się córeczka. Musieli więc wejść w kontakt z cywilizacją i włoską administracją, która skierowała sprawę do sądu, bo uznała, że dzieci nie mają należytej opieki. Sąd tymczasowo odebrał im prawa rodzicielskie. Teraz dzieci przebywają w specjalnym ośrodku opiekuńczym. Mama ma pozwolenie na widzenia.

Dobra włoska dusza, pan Gino Russo, zobowiązał się pokryć koszty prawnika, który w imieniu rodziców będzie walczył o zwrot dzieci. Jakiś budowlaniec zobowiązał się tak wyremontować ich leśny domek, że spodoba się sędziemu, a w tym czasie udostępnić im własny pusty domek w lesie ze wszystkimi wygodami. Słowem, opowieść wigilijna. A Włosi z tej okazji dyskutują, do kogo należą dzieci: Czy do rodziców czy do państwa? ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



DEKAMERONKI

Amok

JERZY KARWELIS

Idą dni, w których decydują się na lata losy Polski. Nie to, że jest to jakiś moment przełomowy, ale wytyczane są kierunki, w których losy świata będą nas wciągały w dzisiejsze rozwiązania. Marudzenie, że nie ma nas przy stole, to jakaś głupota. A czemu mielibyśmy być? Przecież nasza suwerenność została, również decyzją skołowanego ludu, oddana w ręce obcych i ci, w różnych gremiach, decydują za nas.

A my co? Ano – nic. Zajrzałoby się do starych przedrozbiorowych zapisków i też by się zobaczyło, że żyliśmy wtedy jakby na innej planecie, popuszczaliśmy pasa, kiedy nad nami zbierały się wiekowe chmury. Jak za parę ładnych lat ktoś, kto jeszcze będzie znał język polski, zajrzy do dzisiejszych newsów i sporów, to się mocno zdziwi. Kiedy Polska dołącza się do bezzwrotnej pożyczki dla Ukrainy, która tylko przedłuży coraz bardziej przegrywaną wojnę, kiedy TSUE zakwestionował naszą podmiotowość jako państwa, kiedy Mercosur, który wypatroszy nasze bezpieczeństwo żywnościowe tylko po to, by się podniósł niemiecki przemysł samochodowy, kiedy klepie się zapożyczanie całej Europy na przyszłą armię pod niemieckim dowództwem, czym zajmuje się Polska i jej władze?

Mamy premiera z Twittera. Działalność rządu sprowadza się do złośliwych komentarzy, szef dyplomacji to już kompletny odjazd – nie siedzimy przy stolikach, bo jakieś kuriozum połączenia osobowości egotycznej i jednocześnie zakompleksionej siedzi przed ekranikiem swego smartfona i ładuje sarkazmy w stronę uosobionego wroga publicznego numer jeden, który przypadkiem jest systemowo głową państwa. I kto za taki cyrk ma nas posadzić przy jakimkolwiek stole?

Rząd – jak każdy w plemiennej Polsce – żyje z konfliktu podnoszenia napięcia na coraz wyższe poziomy. Ale – jak twitterowa aktywność Tusków – jest to skierowane do coraz mniej licznego, ale za to zadziornego, twardego elektoratu. Napuszczanie Polaków na siebie może mieć tylko znaczenie na rynek wewnętrzny, potrzebne do uzyskania i utrzymania władzy, i przez dwubiegunowość kompletnie znosi energię Polaków. Na użytek zewnętrzny czyni z nas bandę dzieciaków, z którymi nie ma o czym rozmawiać, trzeba tylko ich pilnować, by czegoś nie potłukli.

Jeśli ktoś za wiele lat zajrzy w zapiski tego decydującego momentu, to zobaczy, że Polacy zajmowali się wtedy ochoczo dyskusją o rozmiarach psiego kojca czy o zabranym paszporcie ucieczkowego ministra. To będzie świadectwo poziomu ogłupienia suwerena, który jest zapisany w konstytucji jako sprawujący władzę. I żeby mi później nie było płaczu, że to wszystko przez te elity… ©℗

eprasa.pl 7deb5b8e48



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Dyrektor nieudacznica

Bardzo interesującą opinię wygłosiła ostatnio dyrektor Wywiadu Narodowego USA, Tulsi Gabbard. Nadzoruje ona wszystkie organizacje wywiadowcze Stanów Zjednoczonych, w tym osławioną CIA. W swoim opublikowanym na portalu X wpisie powołała się na wiedzę dostępną podległym jej instytucjom, nie jest to więc jej osobisty punkt widzenia ani przelotna refleksja. Tulsi Gabbard skrytykowała publicznie „podżegaczy wojennych głębokiego państwa (Deep State)" oraz podporządkowane im „propagandowe media". Zdaniem dyrektor Wywiadu Narodowego USA próbują one storpedować pokojowe wysiłki prezydenta Donalda Trumpa, zmierzające do zakończenia wojny na Ukrainie. Tulsi Gabbard stwierdziła, że zdaniem podległych jej służb wywiadowczych Rosja nie ma możliwości „podbicia i okupacji Ukrainy", nie mówiąc już nawet o podobnym potraktowaniu Europy.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Zgodnie ze znanym przysłowiem „uderz w stół, a nożyce się odezwą" wypowiedź Tulsi Gabbard odbiła się wśród „propagandowych mediów" donośnym echem. Dotarło ono do Polski, czemu postanowiła dać wyraz znana publicystka i wieloletnia menedżerka mediów publicznych – Agnieszka Romaszewska. „Właśnie takie rezultaty można zaobserwować, gdy służbą wywiadowczą kieruje ktoś pozbawiony pewności siebie i niezbędnej wiedzy fachowej. Pani Gabbard wyrażała podobnie pacyfistyczne poglądy na wcześniejszym etapie swojej kariery, gdy popierała Berniego Sandersa, a nie Donalda Trumpa" – napisała na portalu X Romaszewska.

Militarne i wywiadowcze doświadczenia dyrektor Gabbard wydają się nieco bardziej rozległe od tych, którymi poszczycić się może była dyrektor telewizji Biełsat. „Pozbawiona pewności siebie" Gabbard już w roku 2004 odbyła ochotniczo roczną służbę wojskową w Iraku, gdzie nagrodzona została odznaką Combat Medical Badge. Nie jest to wyróżnienie przyznawane psychicznym słabeuszom robiącym karierę za biurkiem. Żeby je zdobyć, należy wykazać się osobistą odwagą, pod ogniem nieprzyjaciela niosąc rannym kolegom pomoc medyczną. W latach 2008–2009 Tulsi Gabbard służyła w Kuwejcie, ćwicząc wyspecjalizowane jednostki antyterrorystyczne. Karierę wojskową zakończyła w roku 2021, w stopniu podpułkownika. Jak na osobę o godnych publicznego napiętnowania „pacyfistycznych poglądach" było to osiągnięcie nie byle jakie. Tulsi Gabbard otrzymała też za udział w kampanii irackiej Iraq Campaign Medal with Bronze Star, Meritorious Service Medal, Army Commendation Medal, Army Achievement Medal, Army Good Conduct Medal, National Defence Service Medal, a za służbę w jednostkach antyterrorystycznych – Global War on Terrorism Expeditionary Medal oraz Global War on Terrorism Service Medal. Aż strach pomyśleć, jakimi odznaczeniami szczycić się muszą amerykańscy żołnierze pozbawieni tak dyskwalifikujących słabości charakteru.

O wojskowych bądź wywiadowczych kompetencjach Agnieszki Romaszewskiej milczą niestety media. W niewielkim tylko stopniu zrekompensować je mogą toczone ze zmiennym szczęściem pojedynki o dyrektorskie posady w telewizji publicznej, które toczyła dyrektor Romaszewska, wielokrotnie odwoływana i przywracana do pracy przez rozmaite, w podobnym stopniu upolitycznione zarządy TVP na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza. Powszechnie wiadomo, że atmosfera w TVP potrafi być toksyczna, trudno ją jednak porównać ze zdobywaniem Faludży. Lekceważenie okazywane przez Agnieszkę Romaszewską dyrektor amerykańskiego Wywiadu Narodowego tłumaczyć sobie można jej nadzwyczajną pewnością siebie. Opisując własne dokonania kulinarne podczas ostatnich świąt, stwierdziła Romaszewska na Facebooku: „Potrafię godzinę dosmaczać sałatkę albo kutię, próbując po trochu i zmieniając… W zasadzie to mogłabym chyba być szefową kuchni w restauracji…". Jest to z pewnością lepszy pomysł niż kształtowanie polskiej polityki wschodniej, która, nie bez udziału pani Agnieszki, kończy się właśnie spektakularną katastrofą. ©℗

eprasa.pl 7deb5b8e48



WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Jest nadzieja

Jest nadzieja. Może jeszcze nie w naszej polityce, bo jak się patrzy na miny premiera i słyszy kwestie wypowiadane przez niektóre ministry, to nadzieja gaśnie, ale jest jeszcze odrobina nadziei w odniesieniu do rozwoju cywilizacji. W wywiadzie dla „Gościa Niedzielnego" prof. Bojan Žalec, dyrektor Instytutu Filozofii i Etyki Społecznej na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu w Lublanie, zauważył, że ciągle nie wiadomo, jak wdrożyć w sztucznej inteligencji cztery cechy ludzkiego umysłu: ogólność, intuicję, abdukcję i zdrowy rozsądek. Sztuczna inteligencja potrafi rozwiązywać szczegółowe problemy, ale bardzo słabo uogólnia doświadczenia. Ogólność to więc suma doświadczeń, z których człowiek czerpie natchnienie, gdy przychodzi potrzeba szukania rozwiązań w sytuacji nie do końca jasnej. Jeśli więc dobrze profesora rozumiem, to kiedy na ogół jesteśmy pogodzeni ze sobą i ze światem, i nie szarpiemy się ze swoimi namiętnościami zbyt mocno, łatwiej nam pokonywać życiowe przeszkody. To chyba zgodne z intuicją.

Intuicji nie da się właściwie zdefiniować. To coś takiego – jak mówił Janusz Gajos – jak kultura, coś, co się „w pale nie mieści". Intuicja czasem pomaga, a czasem zawodzi, ale potrafi pokierować naszym życiem wbrew mechanizmom informatycznym, które są także wbudowane w nasze władze umysłowe. Oczywiście gdzieś tam, na dole, rządzi naszym rozumem ten ciąg 010110101 itd., ale działa tam także zasada prawdopodobieństwa, kierująca ruchem cząstek elementarnych, z których jesteśmy zbudowani. Kto wie, może właśnie intuicja czyni nadludźmi?

Abdukcja to intuicja wsparta przez wiedzę i doświadczenie, to zdolność tworzenia hipotez, które potem weryfikujemy. Zatem to chyba abdukcja jest tym, co pozwala stwierdzić (z dużą dozą prawdopodobieństwa), że jeśli ktoś zapowiada wzrost stopy życiowej oraz podatków i cen jednocześnie albo zleca badanie wpływów rosyjskich osobom podejrzewanym o uleganie tym wpływom, to może się mylić.

Wreszcie zdrowy rozsądek to coś, co np. podpowiada, co jest ważne, a co nie. „Jesteśmy ucieleśnioną tajemnicą" – powiada prof. Žalec i jest w tym wiele racji. To prawda, że nadal niewiele wiemy o ludzkiej świadomości jako fenomenie obejmującym zdolności poznawcze, ale także zbiory danych o nas samych i otaczającym nas świecie oraz powiązań między tymi danymi i sposobami przetwarzania tych danych.

Do tych wątpliwości dodać trzeba wyobraźnię i sumienie – dziwny, czasem zaniedbany mechanizm podpowiedzi, co jest dobre, a co złe i co należy wybierać, a czego należy unikać niezależnie od korzyści. Profesor nie wspomniał też o poczuciu humoru. Z tym jest najgorzej. Nie wiem, czy roboty potrafią się śmiać z siebie samych lub zauważać śmieszność absurdów. U ludzi ta cecha jest też rzadka, ale podejrzewam, że z robotami jest gorzej.

Wspomniane przez prof. Žalca cechy ludzkiego umysłu występują oczywiście w większej mierze u ludzi rozwiniętych psychicznie i moralnie, czyli – potocznie mówiąc – mądrych. Człowiek pozbawiony umiejętności uogólniania, intuicji czy zdrowego rozsądku siłą rzeczy jest bardziej skazany na uzależnienie od sztucznej inteligencji, z którą sobie nie poradzi i która wskaże mu, co robić bez własnej refleksji. Może więc powszechne ogłupianie akademickie, medialne i polityczne jest metodą uzależniania nas od władz, które dysponować mogą sztuczną inteligencją? Dla naszego własnego dobra rozwijajmy zatem ogólność, intuicję, abdukcję i zdrowy rozsądek i te inne rzeczy, o których wspomniałem. Może to coś da? ©℗

Człowiek pozbawiony umiejętności uogólniania, intuicji czy zdrowego rozsądku siłą rzeczy jest bardziej skazany na uzależnienie od sztucznej inteligencji, z którą sobie nie poradzi i która wskaże mu, co robić bez własnej refleksji. Może więc powszechne ogłupianie akademickie, medialne i polityczne jest metodą uzależniania nas od władz, które dysponować mogą sztuczną inteligencją? Dla naszego własnego dobra rozwijajmy zatem ogólność, intuicję, abdukcję i zdrowy rozsądek

eprasa.pl 7deb5b8e48

OCIEPLIĆ



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

O ociepleniu klimatu najlepiej rozmawiać zimą – wtedy wszyscy są za ociepleniem. Gdyby ocieplenie rzeczywiście nastąpiło i było znaczące, wówczas zimą mamy mniej palenia w piecu, czyli emisja CO_2 spada, czyli dokładnie to, czego chcą zielone agendy. Gdyby ocieplenie było znaczące, wówczas mniej środków pójdzie na odśnieżanie ulic – mniej diesla do pługów śnieżnych, mniej CO_2, a także mniej soli sypanej na ulice i chodniki, a przecież sól jest szkodliwa dla środowiska. Mniej grubych płaszczy i wełnianych swetrów. Mniej wełny mineralnej do ocieplania budynków. Mniej opon zatruwających środowisko, bo skoro zimy nie ma, to opony zimowe niepotrzebne. Same korzyści i wszystkie pasują do zielonego porządku świata.

Ci prześladowcy od klimatu, którzy nam dokręcają śrubę i niszczą gospodarkę, skupiają się wyłącznie na negatywach, a przecież z ocieplenia klimatu wynika masa pozytywów: ogólnoplanetarne zmniejszenie zużycia energii na ogrzewanie. I do tego Putin słabnie, bo już nie potrzebujemy od niego tyle gazu na zimę ani ropy.

***

Są w sieci różne modele pokazujące, co by było, gdyby ocieplić klimat o jeden stopień, a potem o dwa… I możesz sobie suwać wajchą, zmieniając temperaturę, a maszyna wylicza z algorytmu, co by wtedy było. Proponuję najpierw podkręcić temperaturę na Ziemi do poziomu, jaki znamy z czasów Imperium Rzymskiego. Wtedy było o kilka stopni cieplej i… północne rejony Sahary to nie był suchy piach, wydmy, wielbłądy i karawany, lecz ogrody Rzymu. Tunezja, Libia – te kraje zajmowały się produkcją ogrodniczą i sadownictwem. Czyli gdyby nam dzisiaj zależało na tym, aby miliony ludzi w biednej Afryce miały co jeść, powinniśmy pracować na ocieplenie klimatu. Gdyby nam zależało, no ale ci zieloni z Unii jedynie mówią o tragediach, a nie szukają korzyści.

Oni mówią też o przeludnieniu planety. Kolosalna bzdura. Mamy, owszem, wiele przeludnionych miast, ale obok nich mamy ogromne pustkowia. To, co najmocniej zaskakuje turystów jadących w poprzek USA, to rozległe pustkowia. Ogromne obszary dzikiej ziemi gotowej do zagospodarowania i zasiedlenia przez miliardy ludzi. Turysta jadący do USA spodziewa się, że skoro Stany Zjednoczone są mocarstwem, to tam wszędzie jest gęsto od ludzi i miast. Nieprawda. Ameryka to ogromne obszary dobrej ziemi nadal niezamieszkane.

Największe pustkowia ma Australia – kilka miast na wybrzeżu, a cały środek kontynentu pusty. Czemu pusty? Bo tam jest teraz bardzo sucho. Co zrobić, aby więcej padało? Ocieplić klimat – wtedy z oceanów paruje więcej wody, a potem ta woda musi gdzieś spaść. Ten sam model co na północnej Saharze. Przerabiałem to w szkole na zajęciach z geografii i historii. Cieplejszy klimat na ziemi oznacza więcej wilgoci w atmosferze, czyli ogólnie więcej deszczu. A woda to życie.

Z wykopalisk wiadomo, że środek Australii nie zawsze był pustynią. Kiedyś było cieplej i więcej padało; tam, gdzie dziś jest pustynia lub sucha sawanna, rosły puszcze. Czyli gdyby tak trochę ocieplić planetę, to w centrum Australii zrobi się klimat dobry dla rolnictwa i osadnictwa.

***

Kręcimy wajchą i przyglądamy się, jak wraz z ociepleniem klimatu przesuwają się na północ zasięgi niektórych roślin uprawnych. Winorośl, czyli winogrona (głównie do produkcji win), uprawiano w Małopolsce w X w. jeszcze przed chrztem Polski. Po roku 966 na terenie ówczesnej Polski pojawiło się chrześcijaństwo, a wraz z nim zapotrzebowanie na wino. Skoro już Polacy nauczyli się robić wino mszalne, to zaczęli też pić wino dla przyjemności. W późnym średniowieczu winnice rosły nawet na stokach wzgórza wawelskiego. A potem przyszło ochłodzenie klimatu i pod koniec wieku XV winnice zaczęły znikać. Nastąpiło załamanie produkcji. Zaczęliśmy pić wino z importu.

W XIX w. klimat zaczął się znowu ocieplać (i robi to do dzisiaj, absolutnie bez udziału człowieka), a dzięki temu produkcja wina wraca do Polski. Ocieplanie się klimatu w normalnym, naturalnym cyklu zajmie kilkaset lat. No ale jeżeli prawdą jest to, o czym opowiadają zieloni z Unii – że działalność gospodarcza człowieka ma wpływ na klimat i że planeta płonie (oni tak twierdzą) – to w takim razie należałoby robić wszystko to, co zieloni chcą ograniczać. Gdybyśmy zamiast wiatraków postawili na spalanie węgla – klimat się ociepli prędzej, tak? No to palmy węgla jak najwięcej, a wiatraki wywalmy do morza, bo wtedy klimat zrobi się cieplejszy szybciej i da się szybciej odtworzyć polskie winnice, a następnie sady pomarańczowe w Gdańsku.

***

Klimatyści mają obsesję katastrofy. Mówią, że wzrost temperatury na Ziemi spowoduje stopnienie lodu na biegunach, roztopiony lód wleje się do oceanu, poziom wód morskich podniesie się i zaleje różne lądy. Wyspy na Pacyfiku znikną pod wodą, linia brzegowa Holandii się cofnie… Bzdury.

Oto proste doświadczenie ze szkoły: szklanka pełna lodu. Lód może być w dowolnej formie: kostki pływające w wodzie, śnieg, jednolita bryła – obojętne – w każdej sytuacji, gdy lód się rozpuści poziom zawartości w szklance opada. Lód ma strukturę krystaliczną i ogólnie dużo wolnej przestrzeni w środku. Lód zajmuje ok. 10 proc. więcej miejsca niż ta sama woda w płynie, czyli gdyby w wyniku ocielenia klimatu czapy lodowe uległy roztopieniu, poziom wody w oceanach opadnie, a nie wzrośnie. To kwestia fizyki. Ponadto w wyniku ocieplenia część wody z roztopionego lodu wyparuje i zawiśnie w atmosferze w postaci chmur. Poziom oceanów opadnie jeszcze bardziej.

A jak mocno opadnie? Nawet tego nie zauważymy. Pięćset lat temu klimat był cieplejszy, a na mapach z tamtych czasów widać tę samą linię brzegową co teraz. W Brukseli rządzą niebezpieczni wariaci. Sekta. To oni są foliarzami, nie my. ©℗

eprasa.pl 7deb5b8e48

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKI

KS. ROBERT SKRZYPCZAK: „NADCHODZĄ BARBARZYŃCY", FABIO RAGONA: „10 PRZYKAZAŃ WEDŁUG 10 KARDYNAŁÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1326~~ ZŁ

548,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 778 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 7deb5b8e48



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



CZY NAPOLEON CYNICZNIE WYKORZYSTAŁ POLAKÓW?

Polska napoleońska – Możemy kręcić nosem na Napoleona, ale trzeba pamiętać o tym, że żadna siła polityczna w Europie nie dawała w tym okresie Polakom więcej niż on – mówi w wywiadzie prof. Jarosław Czubaty

Betlejemski cud z kamienia – To, że przetrwała półtora tysiąca lat, można postrzegać w kategoriach cudu. Bazyliki Narodzenia Pańskiego w Betlejem nie zniszczyły nawet zaciekłe wojny toczone w Palestynie

Jak Polska odzyskała wzrok – Pierwszy o ślepocie Mieszka I i odzyskaniu przez niego wzroku napisał Gall Anonim. Później w swoich kronikach powtórzyli to kolejni dziejopisarze, aż w końcu zajął się tym tematem zdolny polski malarz. Jak rozumieć te zastanawiające opowieści?

Fałsz pogańskiej męczennicy – Wbrew sugestiom reżysera filmu „Agora" Hypatia padła ofiarą mordu politycznego, a nie religijnego

Z Sarn na Sybir – Wiesław Adamczyk do końca życia przeżywał tragedię, która spotkała jego rodzinę w Związku Sowieckim. Swój wolny czas poświęcał jednak również na dokumentowanie dramatów innych małych zesłańców

Łotewskie „Dzikie Koty" – Pod koniec wojny Niemcy starali się wykorzystać Łotyszy do spowalniania sowieckiego uderzenia. Ci jednak widzieli, jakie są prawdziwe zamiary „partnerów" w Berlinie

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 7deb5b8e48